

OKO  
— NA  
— ŚWIAT

# Dinaw Mengestu

Wszystkie  
nasze imiona

Najlepsza powieść roku w opinii  
„The New York Times”, „The Washington  
Post”, „NPR” i „The Boston Globe”

Świat Książki



Anne-Emmanuelle,  
Gabrielowi i Louisowi-Selassie

## Część I

## ISAAC

Kiedy Isaak i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy na uniwersytecie, obaj udawaliśmy, że kampus i ulice stolicy znamy tak dobrze jak gliniaste drogi zapadłych wiosek, gdzie dorastaliśmy i mieszkaliśmy jeszcze kilka miesięcy temu, choć pobyt w mieście był dla nas zupełnie nowym doświadczeniem. Nie mieliśmy pojęcia, co oznacza życie w tak bliskim sąsiedztwie tylu ludzi, których twarzy, a co dopiero imion, nigdy nie poznamy. W tamtych czasach stolica przeżywała rozkwit. Przybywało mieszkańców, pieniędzy, nowych samochodów i jeszcze nowszych budynków, w większości postawionych w pośpiechu tuż po odzyskaniu przez kraj niepodległości, w porywie napędzanym szumnymi obietnicami socjalistycznego, panaafrykańskiego marzenia, które po niemal dziesięciu latach wolności podobno było tuż za rogiem i, jak zapewniali pospołu prezydent i radio, miało się spełnić lada dzień. Kiedy Isaak i ja przyjechaliśmy do stolicy, sporo tych budynków zaczynało powoli niszczeć, zaniedbanych czy wręcz zupełnie zapomnianych, lecz nadal utrzymywała się nadzieja, że nadejdzie lepsze jutro, a nam, jak wszystkim innym zresztą, chodziło o to, żeby upomnieć się o należyty udział w przyszłym dobrobycie.

W drodze do stolicy rozstałem się ze wszystkimi imionami, które nadali mi rodzice. Miałem niespełna dwadzieścia pięć lat, lecz wiek o niczym nie świadczył. Odrzuciłem te imiona, kiedy autobus, którym podróżowałem, przejechał przez granicę i znalazłem się w Ugandzie. Zbliżaliśmy się do Jeziora Wiktorii; wiedziałem, że Kampala leży gdzieś niedaleko, na przeciwległym brzegu, lecz już wtedy określałem ją w myślach jako „stolicę”. Miasto o nazwie Kampala nie odpowiadało rangą moim wyobrażeniom, było częścią Ugandy, „stolica” zaś, tak długo, jak pozostawała nienazwana, wymykała się tego rodzaju zależności. Podobnie jak ja nie należała do nikogo i każdy mógł rościć sobie do niej prawo.

Pierwsze tygodnie pobytu w stolicy zeszyły mi na próbach naśladowania chłopaków, którzy gromadzili się w okolicach uniwersytetu albo przesiadywali w kawiarniach i barach nieopodal. W tamtych czasach wszystkim chłopcom w naszym wieku marzyło się zostać bojownikiem o sprawę. W kampusie, a nawet w dzielnicach nędzy, w których mieszkaliśmy Isaak i ja, pełno było Lumumbów, Marleyów, Malcolmów, Césairów, Kenyattów, Senghorów i Selassich, chłopców każdego ranka po przebudzeniu przywdziewających strój swoich idoli – czarne kapelusze i oliwkowe mundury. Nie mogłem się z nimi równać, więc tylko zapuściłem rzadką bródkę. Kupiłem używane zielone spodnie, które nosiłem codziennie nawet wtedy, kiedy już poprzecierały się na kolanach. Uważałem się za początkującego rewolucjonistę, mimo że do stolicy przyjechałem z innych pobudek. Dziesięć lat wcześniej na uniwersytecie odbył się ważny zjazd afrykańskich pisarzy i uczonych. Dowiedziałem się o nim z gazety, która trafiła do mojej wioski z tygodniowym opóźnieniem. Konferencja ta nadała ostateczny kształt moim młodzieńczym pragnieniom, które do tej pory ograniczały się po prostu do porzucenia rodzinnych stron. Odtąd wiedziałem już, dokąd mam się udać i kim chcę zostać: sławnym pisarzem otoczonym podobnie myślącymi ludźmi w sercu najwspanialszego na całym kontynencie miasta, bo takim zapewne było.

Przybyłem do stolicy kiepsko przygotowany. Przeczytałem z tuzin razy te same wiktoriańskie powieści i ubrałem sobie, że nadal tak się mówi po angielsku. Do wszystkich zwracałem się „sir”. Nikt, z kim rozmawiałem, nie wierzył, że ma przed sobą

rewolucjonistę, a na to, żeby podawać się za stawiającego pierwsze kroki pisarza, brakowało mi śmiałości. Zanim poznałem Isaaka, nie udało mi się nawiązać żadnych przyjaźni. Z długimi chudymi nogami i pociągłą twarzą, zdaniem Isaaka, wyglądałem bardziej na profesora niż na bojownika. Tak też na początku mnie nazywał: „Profesor”; to był pierwszy, lecz nie ostatni przydomek, jakim mnie obdarzył.

– A jak mam się do ciebie zwracać? – zapytałem.

Zakładałem, że podobnie jak pozostali na użytek publiczny przyjął inne imię, pod którym chciał być znany. Był niższy ode mnie, ale znacznie lepiej zbudowany. Na rękach prężyły mu się mięśnie i żyły, których wypukłości niczym blizny znaczyły całe przedramiona. Miał posturę typową dla żołnierza, czego nie można było powiedzieć ani o jego twarzy, ani o sposobie bycia. Często uśmiechał się i żartował, i przez myśl by mi nie przeszło, że jest w stanie zrobić komuś krzywdę.

– Na razie wystarczy „Isaak” – odparł.

Imię „Isaak” nadali mu rodzice i tylko nim się posługiwał przez cały ten czas, kiedy przebywaliśmy w stolicy. Jego rodzice zginęli podczas ostatniej serii walk poprzedzających zdobycie niepodległości. Zostawili mu w spadku imię „Isaak”, a kiedy jego rewolucyjne marzenia legły w gruzach i stanął przed wyborem: zostać czy uciekać z kraju, imię to przekazał mnie jako swój ostatni i najcenniejszy dar.

\*

Od początku Isaak gorzej ode mnie znosił pobyt w stolicy. To miasto zawsze było mi obce i, co dopiero później zrozumiałem, takie miało pozostać bez względu na to, jak wyobrażałem sobie swoją przyszłość. Z Isaakiem sprawa przedstawiała się inaczej. Uganda była jego ojczyzną, a Kampala stanowiła jej serce. Jego rodzina pochodziła z północy kraju, wywodziła się z tamtejszych roślejszych, ciemniejszych plemion, które, jak uznał pewien uczony z Cambridge, odznaczały się większą wojowniczością niż ich drobniejsi kuzyni z południa. Gdyby Brytyjczycy się nie wynieśli, Isaaka czekałaby świetlana przyszłość. Już we wczesnych latach nauki dał się poznać jako uczeń na tyle zdolny, by mówiono, że w przyszłości mógłby zostać wysłany na studia za granicę, może do prywatnej szkoły w Londynie, gdzie kształciłby się za pieniądze z rządowego stypendium. Lecz całe to kolonialne przedsięwzięcie skończyło się nagle, jakby w ciągu jednego krwawego popołudnia, i chłopcy, tacy jak Isaak zostali osieroceni po raz drugi. Choć Isaak przyjechał do stolicy zaledwie kilka tygodni przede mną, na podstawie zasłyszanych pogłosek i opowieści nabrał przekonania, że łatwo odnajdzie się w nowym środowisku i szybko wybije na sam szczyt w kręgach, w których będzie się obracał. To, że kiedy się poznaliśmy, wciąż był biedny, nie miał żadnych znajomości ani osiągnięć, stanowiło najbardziej oczywistą przyczynę jego frustracji, ale podejrzewałem, że tkwią w nim jeszcze inne źródła rozżalenia i udreki, z których nawet on sam ledwo zdaje sobie sprawę.

\*

Isaak i ja zaprzyjaźniliśmy się na podobieństwo dwóch bezpańskich psów, które wiąże ta sama trasa pokonywana każdego dnia w poszukiwaniu jedzenia i towarzystwa. Zamieszkaliśmy we wschodniej części miasta, górzystej i bardziej niedostępnej, nawiedzanej przez lawiny błotne. On zatrzymał się u znajomych swoich krewnych, którzy udostępnił mu miejsce na podłodze w dużym pokoju. Ja wynajmowałem łóżko na

zapleczu pasmanterii, która w weekendy przeradzała się w zaimprovizowany bar dla wtajemniczonych. W piątkowe i sobotnie noce wolno mi było wracać do domu dopiero o drugiej lub trzeciej w nocy, kiedy właściciel i jego przyjaciele zdążyli już zabawić się w moim łóżku z młodymi dziewczynami z sąsiedztwa. Bez grosza przy duszy i bez zajęcia wałęsałem się po okolicy – przemierzałem gmatwaninę wąskich, wyboistych dróg wijących się po zboczu wzgórza, z którego wierzchołka biegła w dół nowa, niedawno położona, asfaltowa ulica. Roztaczał się stamtąd widok na slumsy ciągnące się do niegdyś żywej, zielonej doliny, świetnie nadającej się do wypasania bydła, która wskutek niedawnego masowego napływu ludności do stolicy stała się ciasnym skupiskiem blaszanych dachów w płataninie kabli, otoczonych płytkimi dołami na śmieci i odchody. To właśnie tam dwukrotnie natknąłem się na Isaaka, ale wtedy jeszcze nie nawiązaliśmy rozmowy. Stał na zboczu, wpatrując się nie w rozciągającą się w dole stolicę, lecz w przejeżdżające drogą samochody, jakby planował złożyć życie w ofierze i zaraz rzucić się pod koła któregoś z nich. Zdobyliśmy się jedynie na szybkie skinienie głowy. Bardziej wylewny gest w podobnych okolicznościach niechybnie zaniepokoiłby drugą stronę i gdybym wkrótce potem nie zobaczył Isaaka na uniwersytecie, być może jeszcze przez długie lata pozdrawialibyśmy się po prostu skinieniem głowy, i to wszystko. Jednak kilka dni po naszym drugim spotkaniu spostrzegłem Isaaka na terenie kampusu. Obaj ze wszystkich sił staraliśmy się stworzyć wrażenie przynależności; stawaliśmy obok, lecz nie za blisko, dyskutujących w grupkach studentów. Był drugi tydzień sierpnia. Rozpoczął się nowy rok akademicki i, jak zwykle o tej porze, studenci tłoczyli się na trawiastym dziedzińcu okolonym strzelistymi palmami, które przydawały kampusowi daleko więcej tropikalnej świetności, niż na to zasługiwał. Kiedy ujrzałem Isaaka, zrozumiałem, że nie zjawiał się na uniwersytecie ze studenckiego obowiązku, ale dlatego, że podobnie jak ja uważał, że tam, pośród świetnie zapowiadającego się pokolenia przyszłości, było jego miejsce. Każdemu, kogo poznał, wmawiał, że jest studentem; pod tym względem się nie różniliśmy i obaj byliśmy wówczas święcie przekonani, że pewnego dnia zapiszemy się na studia.

I właśnie przyjmując takie założenie – że obaj jesteśmy kłamcami i pozerami słabo przygotowanymi do odgrywania wybranych przez siebie ról – Isaak mnie zagadnął. Staliśmy w tłumie zebranych wokół stołu pośrodku dziedzińca, przy którym jeden z młodzieńców ze starannie wymodelowanymi fryzurami afro odczytywał listę żądań. Gdybyśmy nie znaleźli się tam w tym samym czasie, być może poruszyłoby nas wystąpienie młodzieńca domagającego się lepszych wykładów, niższego czesnego i większej swobody dla studentów, ale jak tylko się rozpoznaliśmy, nie mogło być mowy o odczuwaniu jedności ze zgromadzonymi. Od chwili, kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia, uwagę bez reszty pochłonęła mgliście znajoma twarz tego drugiego, wykrzywiona w grymasie, który można by uznać za wyraz wrogości. Pewnie tylko dwóch spotykających się na środku pustyni podróżników, wędrujących w samotności tak długo, że ziemia zaczęła wydawać im się całkowicie bezludna, potrafiłoby się domyślić, co wtedy poczuliśmy. W świecie slumsów niewiele obchodziło nas istnienie drugiego. Tutaj dla siebie nawzajem znaczyliśmy wszystko.

Isaak zaczął na koniec przemówienia. Ostatnie słowa: „To jest nasz uniwersytet”, przyjęte zostały krótką owacją. W tamtych czasach wszystko miało być nasze. Stolica, kraj, nawet cała Afryka była do wzięcia i przynajmniej pod tym względem nasz stosunek do przyszłości przypominał postawę angielskich poprzedników. Wielu

spośród zebranych tam młodzieńców dowiodło później słuszności tego porównania, kiedy zachłannie przywłaszczali sobie bogactwa tego kraju.

Kiedy tłum się przeredził, Isaak przystąpił do działania. Ruszył w moim kierunku długim, swobodnym krokiem. Ramiona podnosiły mu się i opadały, nadając jego ruchom niemal drapieżną wymowę. Poczujęm się zaszczyty. „Zaraz mnie dopadnie”, pomyślałem, i choć wiedziałem, że przemoc fizyczna nie wchodzi w grę, słusznie zakładałem, że może grozić mi niebezpieczeństwo. Stał przy mnie, ale odezwał się dopiero po kilku sekundach.

– Powinniśmy porozmawiać, ale nie tutaj.

Tego rodzaju konspiracyjnym językiem posługiwał się z wrodzoną łatwością. W ciągu następnych miesięcy często padały z jego ust takie zwroty, jak: „Powinniśmy porozmawiać na osobności” albo „Chodźmy gdzieś porozmawiać”. Isaak umiał sprawić, że jego rozmówca czuł się kimś szczególnym.

Skinąłem głową na znak, że się zgadzam. Od początku byłem łatwą ofiarą jego machinacji, czułem, jak wchłania mnie jego rzeczywistość, i co ciekawe, dawało mi to nieznanne od czasu przyjazdu do stolicy uczucie, że przynajmniej gdzieś przynależę.

Oddaliliśmy się od kampusu i dotarliśmy do dzielnicy, w której nigdy wcześniej nie byłem. Przez całą drogę Isaakowi usta nie zamykały się nawet na chwilę. Ochoczo dzielił się ze mną własną wersją historii, w której fakty swobodnie przeplatały się z mitami. Każdą z opowieści niezmiennie rozpoczynał od „Czy wiesz, że”, co u niego stanowiło odpowiednik „Pewnego razu”.

– Czy wiesz, że – mówił – jeszcze dziesięć lat temu Afrykańczykom nie wolno było osiedlać się w pobliżu uniwersytetu? To właśnie tam Brytyjczycy zamierzali zbudować nowy pałac dla swojego króla. Gdyby przegrali drugą wojnę światową, przesiedliliby w to miejsce wszystkich Anglików. Ta część miasta była przeznaczona tylko dla nich. Wszystko miało wyglądać tak jak w Londynie, żeby nie cierpieli za bardzo z powodu klęski. Zamierzali dookoła postawić mur i pozmienić mapy; że niby Londyn jest w Afryce. Ale za każdym razem, kiedy zaczynali budować mur, ktoś wysadzał go w powietrze. Tak rozpoczęła się nasza walka o niepodległość.

Słuchałem, zdając sobie sprawę, że Isaakowi chodzi głównie o to, żeby mnie rozbawić. Nie miało znaczenia, czy wierzę mu, czy nie, najważniejsze, że dawałem się oczarować. Przystanęliśmy przed kawiarenką przy ulicy obstawionej budkami krytymi blachą, w których sprzedawano dżinsy, koszulki i jaskrawe, wzorzyste suknie do kostek. Podobne ulice widywało się w całym mieście i na całym kontynencie. Ta jednak wyróżniała się obecnością niedawno wzniesionych trzypiętrowych betonowych budynków, które stały w parach mniej więcej co trzydzieści metrów. Zbudowano je szybko i byle jak jako siedziby prywatnych przedsiębiorstw, które lada dzień miały hurmem napłynąć do stolicy. Ziejąca z nich pustka była o wiele bardziej wymowna niż sąsiadujące z nimi liche sklepiki i tłumy przelewające się w ich cieniu, choć nie wiadomo było jeszcze wtedy, czy pustostany świadczyły o rychłym urzeczywistnieniu się świetlanej przyszłości, czy przeciwnie, o jej niespełnionych obietnicach.

Wskazałem parę budynków z przyciemnianymi szybami po przeciwnej stronie ulicy.

– I kto niby ma tam zamieszkać? – zapytałem Isaaka.

– To nie są domy mieszkalne – odparł, wyciągając rękę. – Widzisz przecież, że są koszmarnie brzydkie. Wkrótce cała stolica będzie tak wyglądać. Na tym polega tajny

plan rządu. Stawia je, żeby zniechęcić Brytyjczyków do powrotu. – Położył palec na ustach. – Oczywiście mówię ci to w zaufaniu.

– Oczywiście.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kiedy oczekuje, że potraktuję go serio.

Siedliśmy przy stoliku pod gołym niebem. Isaak zamówił dla nas herbatę. Kiedy ją podano, zbyt chłodną jego zdaniem, kazał ją zabrać i zaparzyć nową. Chciał popisać się przede mną umiejętnością stawiania na swoim; w tym przypadku chodziło o odpowiednio podgrzaną wodę.

Kiedy kwestia herbaty została załatwiona po jego myśli, założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Więc ty też chodzisz na uniwersytet – powiedział.

– Zgadza się – odparłem.

– Codziennie?

– Codziennie.

Dopiero kiedy to uzgodniliśmy, nabraliśmy pewności, że obaj mamy na myśli to samo. Twarz Isaaka przybrała łagodniejszy wyraz. Zniknęła z niej ta wymuszona wesołość, którą popisował się bez przerwy od chwili, kiedy do mnie podszedł.

– Mój dziadek chciał, żebym studiował medycynę – mówił. – Ale ja mam inne plany.

– To co będziesz studiował?

– Jesteśmy w Afryce – stwierdził. – Tutaj wchodzi w grę tylko jedno. – Czekał, aż dopowiem. Po kilku pełnych napięciach sekundach westchnął i powiedział: – Polityka. Nic innego nie mamy.

Wtedy nie umiałem jeszcze przemawiać z takim fałszywym, choć łatwo udzielającym się, przekonaniem. Kiedy Isaak zapytał, co zamierzam studiować, musiałem zebrać się na odwagę, żeby odpowiedzieć:

– Literaturę.

Uderzył ręką w stół.

– Doskonale – stwierdził. – Nawet wyglądasz na profesora. Jaką literaturę będziesz studiował?

– Całą, jaka jest – powiedziałem tym razem śmieiej, ponieważ wierzyłem w to, co mówię.

W czasie kiedy tak sobie gawędziliśmy z Isaakiem, uczestnicy pamiętnej konferencji już zaczęli rozpraszać się po świecie; kilku pisarzy podobno przebywało na wygnaniu w Ameryce, o innych krążyły słuchy, że nie żyją albo zapredali się jakiemuś skorumpowanemu rządowi. Lecz ja wciąż marzyłem, że któregoś dnia stanę się jednym z nich.



## HELEN

Kiedy poznałam Isaaka, byłam niemalże, jak określiłaby to moja matka, „kobietą w pewnym wieku”. W jej pojęciu czyniło to ze mnie wrażliwą i bezbronną istotę, choć ja nigdy tak się nie czułam, nawet jako dziewczynka dorastająca w domu, w którym dużo łatwiej byłoby dorastać chłopcu. Moja matka mówiła szeptem. W domu odzywała się ściszym głosem, żeby nie drażnić ojca wiecznie zdenerwowanego albo pogrążonego w przygnębieniu; nie zarzuciła tego zwyczaju nawet po jego odejściu. Mieszkaliśmy w spokojnym, sielskim miasteczku na Środkowym Zachodzie i dla matki najważniejsze było zachowywanie pozorów. Chodziło przede wszystkim o to, żeby wszelkie rodzinne kłopoty były starannie zamaskowane; nikt nie powinien się domyślać, że stajesz na głowie, żeby starczyło na hipotekę, albo że twoje małżeństwo rozpadło się na długo wcześniej, nim podpisaliście z mężem akt rozwodowy. Spodziewała się, jak sądzę, że pójdę w jej ślady i będę ściszać głos – i kto wie, może przez pewien czas, kiedy byłam małą, naśladowałam ją pod tym względem, lecz intuicja mi podpowiada, że to mało prawdopodobne. Nigdy nie umiałabym ograniczyć się do szeptu. Za bardzo lubiłam swój głos. Gdybym mogła wybrać, co będę robić w przyszłości, pewnie zostałabym piosenkarką. Rzadko kiedy czytałam książkę w milczeniu. Chciałam, żeby każda opowieść zabrzmiała głośno, więc często czytałam w samotności w ogrodzie za domem, tak rozległym, że nawet gdybym wykrzykiwała opowieść na całe gardło, nikt z sąsiedniego domu by mnie nie usłyszał. Chodziłam tam czytać nawet zimą, kiedy gałęzie drzew uginały się pod ciężarem lodu, a te kilka kurczaków, które trzymaliśmy, trzeba było przenieść do piwnicy, żeby nie zamarły na śmierć. Kiedy byłam starsza, a wybujała trawa, której nikomu nie chciało się kosić, sięgała mi niemal do kolan, chodziłam do ogrodu z książką czasami tylko po to, żeby się wykrzyzczeć.

\*

Isaakowi nie przeszkadzało, że podnoszę głos, i to mnie w nim ujęło. Jechałam trzy godziny, przekraczając granice wielu hrabstw i nawet granicę stanu, żeby odebrać go z lotniska w ramach przysługi, jaką zgodziłam się wyświadczyć mojemu szefowi, Davidowi, który wcześniej tego ranka wyjaśnił mi, że owszem, zajmowanie się obcokrajowcami nie należy do naszych obowiązków, lecz on zrobił wyjątek dla Isaaka, idąc na rękę staremu znajomemu, i teraz wypadałoby, żebym ja postąpiła tak samo.

Z przyjemnością podjęłam się tego zadania. Pracowałam w opiece społecznej od pięciu lat i doszłam do przekonania, że wyczerpałam już swój zapas życzliwości, obcując z ubogimi, zmęczonymi i wywłaszczonymi, nieważne, czy byli biali, czarni, starzy, świeżo po wyjściu z więzienia, czy tylko bez dachu nad głową. Nawet odwiedzając weteranów wojennych, wśród których trafiali się znajomi z dzieciństwa i szkolni koledzy, na koniec przepisowych półgodzinnych widzeń czułam jedynie rozpaczliwą chęć opuszczenia ich towarzystwa, jakby udręka była zaraźliwa. Wprawdzie pozostały we mnie resztki zapału, lecz już ani krzty wiary potrzebnej do tego, żeby utrzymać się na powierzchni w pracy, gdzie każdy kontakt z drugim człowiekiem kładzie się na tobie ciężarem jak kamień u szyi w chwili, kiedy czujesz, że dopływasz do brzegu. Zgodnie z tym, co głosiły nasze wizytówki i nagłówki na papierze listowym, byliśmy Luterską Agencją Pomocy Humanitarnej, lecz religijne afiliacje skończyły się trzydzieści lat temu, kiedy na początku drugiej wojny światowej zamknięty został ostatni kościół luterski

w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, a wszyscy parafianie przenieśli się do Kościoła metodystycznego.

Zwykliśmy powtarzać, cała piątka zatrudniona w biurze, że nie tylko nie mamy nic wspólnego z Kościołem luterańskim, ale również z agencją z prawdziwego zdarzenia. Zawsze działaliśmy ze skromnym budżetem, który na dodatek co roku się kurczył, kiedy rząd obcinał kolejne dotacje; mieliśmy do dyspozycji skąpe środki i malejący zapas dobrych chęci i zapewnień, że nadejdą jeszcze tłuste lata. David powiedział kiedyś, zresztą powtarzał to później wielokrotnie: „Powinniśmy zmienić nazwę na «Agencja Pomocy». Kiedy ktoś was zapyta, czym się zajmujecie, będziecie mogli odpowiedzieć: «Pracuję w Agencji Pomocy». A na pytanie, jakiej pomocy udzielacie, odpowiecie po prostu: «Czy to ma jakieś znaczenie?»”.

Poczucie humoru Davida wyrażało się w umiarkowanym i niezbyt zjadliwym sarkazmie. On sam twierdził, że to odtrutka na powagę, jaka podobno wiąże się z naszą działalnością.

\*

Niewiele wiedziałam o Isaaku. Słyszałam tylko, że pochodzi z jakiegoś afrykańskiego kraju i prawdopodobnie kiepsko mówi po angielsku i że stary znajomy Davida załatwił mu wizę studencką, a przyjazd do Stanów miał go uchronić przed groźącym rzekomo niebezpieczeństwem. Miałam odgrywać wobec niego rolę nie tyle opiekunki społecznej, ile damy do towarzystwa – osobistej przewodniczki po centrach handlowych, sklepach spożywczych, bankach i urzędniczych zawilosciach miasta. Z kolei ja upatrywałam w Isaaku wybawienia, przynajmniej na najbliższy rok. Wyobrażałam sobie, że dzięki niemu uda mi się wykręcić chociaż od części ponurych zebrań poświęconych finansom, a także od obowiązkowych wizyt w szpitalu, minimum dwóch w tygodniu. Lecz co najważniejsze, zapewnił mi prawo do odmowy przyjęcia nowych nieuleczalnie chorych podopiecznych. W zeszłym roku uczestniczyłam w dwudziestu dwóch pogrzebach i choć część zmarłych była mi właściwie obca, czułam, że moje serce jest u granic wytrzymałości.

\*

Pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy na widok Isaaka, była ta, że jest wyższy i na oko zdrowszy, niż sobie wyobrażałam. To pozwoliło mi uświadomić sobie dwie rzeczy: że w moim mniemaniu Afrykańczycy są niskiego wzrostu i nawet ci, którzy przelecają pół świata i wylądują w samym środku Ameryki, prawdopodobnie będą wykazywać oznaki choroby czy niedożywienia. Drugą moją myślą – lub trzecią, w zależności od tego, jak kto policzy – było to, że „jest całkiem przystojny”. Wypowiedziałam te słowa na głos, żeby sprawdzić, na ile były szczerze. Poczułam, jak pod ich ciężarem mój środkowozachodni światek lekko zadrżał.

\*

Znaliśmy się od niespełna godziny, kiedy Isaak oznajmił, że nie przeszkadza mu moja skłonność do podnoszenia głosu. Do tego czasu zdążyłam już przeprosić go za to, że tak późno zjawiłam się na lotnisku i że nie przygotowałam tabliczki z nazwiskiem na powitanie. Później, w samochodzie, przeprosiłam za to, że za szybko prowadzę, i w końcu, kiedy dojeżdżaliśmy do miasteczka, przeprosiłam za swój donośny głos.

– Pewnie za głośno mówię. Przepraszam – powiedziałam.

Przysięgałam sobie wiele razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, że nigdy więcej nie będę za to przepraszała. Częstotliwość, z jaką łamałam tę obietnicę, w żadnej mierze nie łagodziła rozczarowania, jakie zaraz potem niezmiennie mnie ogarniało.

– Nie musisz za nic przepraszać – powiedział Isaak. – Mów tak głośno, jak ci się podoba. Łatwiej cię zrozumieć.

Gdybym go uściskała lub chociaż podziękowała za próbę obrócenia mojej wypowiedzi w żart, zapewne oboje poczulibyśmy się niezręcznie, chciałam jednak dać mu jakoś do zrozumienia, że zazwyczaj tak łatwo się nie wzruszam, że jestem wesoła i skora do śmiechu. Starłam się więc barwnie i interesująco opisać mu miasteczko, do którego dojeżdżaliśmy.

– Nazywa się Laurel. Wymawia się tak jak nazwę rośliny.

Podejrzywałam jednak, że co do wymowy mogłam się nieco mylić, więc szybko wskazałam ogromną cegielnię, która górowała nad okolicą; jedynie silos zbożowy mógł się z nią równać.

– Kiedyś mieściła się tam fabryka bomb – wyjaśniłam.

Chodziły słuchy, że w cegielni ma powstać największe w kraju kryte centrum handlowe. Nie miałam pewności, czy Isaak wie, co to jest centrum handlowe, więc pominęłam tę informację.

Mijaliśmy stacje benzynowe i przydrożne restauracje stojące obok siebie wzdłuż drogi w skupiskach co kilkaset metrów; przestrzeń między nimi jeszcze nie została zabudowana. Zastanawiałam się, co mogłoby zaciekawić Isaaka. Wskazałam ręką kolejny ciąg hipermarketów, obok którego przejeżdżaliśmy, i powiedziałam:

– Piętnaście lat temu stała tam ferma świń.

Przestraszyłam się, że nie wie, co to jest ferma świń, albo że pomyśli, że się przechwalam, lub co gorsza, skarżę na stan hodowli tuczników w miasteczku komuś, kto dopiero co przybył z kraju, w którym może wcale nie ma ferm hodowlanych albo świń. Korciło mnie, żeby go przeprosić, ale w samą porę ugryzłam się w język. Kiedy wjechaliśmy na główną ulicę, niegdyś tętniącą życiem, staroświecką i na swój sposób uroczą, zapytałam, czy chciałby jeszcze coś zobaczyć w naszym miasteczku, zanim zawiozę go do nowego mieszkania.

– To miło, że zapytałaś – odparł. – Chciałbym zobaczyć waszą uczelnię, jeśli to nie sprawi ci kłopotu.

Spojrzałam na jego dłonie. Trzymał je na udach, plecy miał wyprostowane jak uczeń, który chce pokazać, że zachowuje się wzorowo. Pomyślałam: „Teraz wiem, co to znaczy zeszywnieć ze strachu”.

Obeszliśmy szybko południową część kampusu. Nasz uniwersytet nie był ani największą, ani najbardziej renomowaną uczelnią w stanie, ale podejrzewałam, że był najładniejszy. Isaaka, jak wszystkich zresztą, z miejsca urzekły rosnące tam drzewa – stuletnie dęby; zwłaszcza w sierpniu wydawały się bardziej nieodzowne dla istnienia uniwersytetu niż budynki, które się na niego składały. Za każdym razem, kiedy odwiedzałam swoją starą uczelnię, ogarniała mnie melancholia. Zaproponowałam Isaakowi, że pokażę mu bibliotekę.

– Świetny pomysł – podchwycił.

Staliśmy w czytelni – ogromnym, okazałym pomieszczeniu, które, jak określił to na wykładzie jeden z profesorów, unaoczniło zderzenie środkowozachodniego

i klasycznego zmysłu estetycznego – kiedy stwierdziłam, że dla dobra samego Isaaka czas położyć kres jego oficjalnej grzeczności. Od dobrych kilku minut wpatrywał się w milczeniu w regały zastawione książkami oprawionymi w skórę, w kolumny z marmuru i podłogę wyłożoną grubą zieloną wykładziną, której nie powstydzilby się salon w niejednym mieszkaniu w miasteczku. Spojrzał pod nogi, nim wszedł na wykładzinę, i dałabym głowę, że się zastanawiał, czy powinien zdjąć buty. Patrzył na regały z nabożnym podziwem, kiedy krzyknęłam: „No i co?! Jak ci się podoba Ameryka?!”, wprawdzie nie na całe gardło, lecz z pewnością niewiele ciszej.

Do rozpoczęcia nowego semestru pozostały jeszcze dwa tygodnie i czytelnia świeciła pustkami. Garstka zebranych na sali osób odwróciła się w naszą stronę i popatrzyła wymownie. Widziałam, że siedząca w głębi bibliotekarka powoli wstaje i zmierza w moim kierunku. Tymczasem Isaak odwrócił się i bez słowa wyszedł z czytelnia. Zaczęłam układać w myśli kolejne przeprosiny – pod adresem Isaaka, bibliotekarki i Davida, gdyby mój podopieczny się ulotnił. Odczekałam jeszcze minutę i ruszyłam za nim, gdy bibliotekarka już do mnie dochodziła: gdybym od razu wybiegła za Isaakiem, w naszym prowincjonalnym miasteczku zostałyby to w tamtych czasach złe odebrane.

Isaak nie odszedł daleko. Stał kilka kroków od wejścia, na schodach. Ręce włożył do kieszeni i wyglądał tak, jakbym przyłapała go podczas leniwej popołudniowej przechadzki po kampusie.

– Przepraszam, że tak nagle wyszedłem – powiedział. – Nie dosłyszałem, co do mnie wołałaś. Następnym razem, proszę, postaraj się mówić głośniej.

Znów miałam ochotę go uściskać. Przez jego słowa przebijał naturalny, niewymuszony wdzięk, i coś więcej – serdeczność. Nikt inny nie mówił do mnie takimi długimi, wyszukаныmi zdaniami. Kiedy otrzymałam jego akta, przestrzegano mnie, żebym nie czuła się urażona, gdyby niewiele się odzywał, ponieważ prawdopodobnie słabo zna angielski. Lecz po naszym pierwszym wspólnie spędzonym popołudniu miałam wrażenie, że rozmawiałam z postacią z dziewiętnastowiecznej angielskiej powieści.

Następnego dnia w biurze David zapytał mnie o Isaaka. Powiedziałam, że jest miły, ma ładny uśmiech i interesującą twarz. Wszystko to było prawdą, lecz nie w pełni oddawało to, co naprawdę chciałam wyrazić. David słuchał jednym uchem, jak opisuję Isaaka. Kiedy skończyłam, zapytał:

– I co jeszcze zauważyłaś poza tym, co widać na pierwszy rzut oka?

– Dziwnie mówi – stwierdziłam.

– Jak to dziwnie?

– Staroświecko.

– To coś nowego. Może to wina jego angielszczyzny?

– Nie – odparłam. – Po angielsku mówi świetnie. Takim językiem rozmawiają bohaterowie w powieściach Dickensa. Przynajmniej tak to dla mnie brzmi.

– Nigdy nie czytałem Dickensa – oświadczył David.

Ja również nie czytałam Dickensa, lecz było już za późno, żeby się przyznać, że lubiłam jego nazwiskiem określać wszystko, co kojarzyło mi się z dziewiętnastowieczną Anglią. W ten sposób przylgnął do Isaaka przydomek „Dickens”. Posługiwaliśmy się nim z upodobaniem, David i ja. Kiedy wybierałam się z Isaakiem na zakupy, bo trzeba było umeblować mu mieszkanie, mówiłam Davidowi: „Jadę zobaczyć się z moim starym kumplem Dickensem”. Na zebraniach David pytał, jak Dickens radzi sobie w naszym

uroczym miasteczku, które zaledwie dziesięć lat wcześniej zniosło segregację w toaletach publicznych, autobusach, szkołach i restauracjach i wciąż niezbyt życzliwie odnosiło się do kwestii przestawania ze sobą przedstawicieli obu ras.

– Radzi sobie naprawdę znakomicie – odparłam, siląc się na brytyjski akcent.

\*

Miesiąc później, kiedy mieliśmy już za sobą kilka nocy spędzonych w czułym uścisku w jego łóżku, przyniosłam Isaakowi egzemplarz *Opowieści o dwóch miastach*. Widziałam w jego sypialni rosnące sterty książek, używanych i wypożyczonych, lecz nie zauważyłam wśród nich żadnej powieści Dickensa.

– Upominek – powiedziałam, wręczając mu niezapakowaną książkę. Uśmiechnął się i podziękował, nie patrząc na okładkę.

– Czytałeś? – spytałam.

– Nie – odparł. – Ale zaraz zamierzam się do tego zabrać.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Tak łatwo było zrobić mu przyjemność.

– W biurze nadaliśmy ci przydomek – wyznałam. – Mówimy o tobie Dickens.

Dopiero wtedy spojrzał na okładkę.

– Dickens – powtórzył.

Po raz kolejny się przestraszyłam, że postawiłam go w niezręcznej sytuacji. Obrócił książkę i zaczął czytać notę z tyłu na okładce. Kiedy skończył, uśmiechnął się. Jego twarz przybrała taki sam wyraz, jak wtedy, kiedy odnalazłam go na schodach przed biblioteką.

– Mogło mi się trafić coś znacznie gorszego – stwierdził.

\*

Naszemu związkowi brakowało właściwego początku. Isaak i ja pominęliśmy tradycyjny ceremoniał zalotów i niezręcznych kolacji, którymi większość par odmierza odległość dzielącą je od sypialni. Nikt nie przyglądał się naszej rosnącej zażyłości, nie było nikogo, kto zawyrokowałby, czy będzie z nas dobrana para, czy nie. Do pierwszego pocałunku doszło w mieszkaniu Isaaka, kiedy przyjechałam bez zapowiedzi, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Od jego przyjazdu minęły dwa tygodnie i zdążyliśmy już wypracować pewien porządek zajęć. Co drugi dzień, o czwartej po południu, zabierałam Isaaka na miasto. Na początku zajmowaliśmy się głównie załatwianiem bieżących spraw. Woziliśmy go do sklepu, do banku, na pocztę.

Dotrzymywałam mu towarzystwa, kiedy czekał na fachowców z firmy telekomunikacyjnej. Wybrałam mu sofę, ławę i komodę w hipermarkecie sieci Goodwill; wiązała się z tym wyprawa do innego miasta.

\*

Isaak oświadczył, że umie gotować, ale nie w tym kraju.

– Tutaj nawet jajka są inne – powiedział. – Białe i jakieś podejrzenie duże. I nie znam się na mięsie.

Przekazałam mu więc tych kilka sztuczek kulinarnych, które wpoila mi matka. Nauczyłam go wybierać w sklepie najlepsze steki tak, żeby nie przepłacać. Dla podkreślenia różnicy podniosłam opakowanie przecenionej wołowiny i powiedziałam:

– Jest poprzeraściana tłuszczem. Widzisz? Dzięki temu szybko nie wysycha.  
Dodałam, że na wszelki wypadek powinien ją nasmarować masłem. Natomiast jajka to zupełnie inna historia, tłumaczyłam.  
– Nie cierpię jajek. Będziesz musiał sobie do nich poszukać innej kobiety.  
Wiedziałam, że David przydzielił mi Isaaka, zakładając między innymi, że to zadanie obudzi mój instynkt macierzyński, poza tym jako jedyna w biurze pracownica bez rodziny będę swobodnie dysponowała czasem. Przede wszystkim nigdy nie miałam instynktu macierzyńskiego. Patrzyłam, jak koledzy i koleżanki z liceum i ze studiów wkraczą w dorosłość, pobierają się, płodzą dzieci, a ja najwyżej stwierdzałam: „Miło byłoby mieć rodzinę”. Za to moja matka była zupełnie inna i gdyby Isaak pochodził z Wyoming, mogłabym jej go podrzucić od razu pierwszego dnia i nie przejmować się jego losem aż do wyjazdu.  
– Utuczylbyś się przy niej – powiedziałam. – A wasze rozmowy ograniczałyby się pewnie tylko do tego, co jest w lodówce i o jakiej porze są posiłki.

\*

Pocałunek ten przytrafił się nam 3 września, w przejściu między salonem a sypialnią, kiedy wróciliśmy do jego mieszkania ze świeżo zakupionymi sztućcami i talerzami. On szedł do sypialni, a ja wychodziłam z łazienki i wpadliśmy na siebie w korytarzu tak wąskim, że mogła precyzyjnie się nim tylko jedna osoba. Przynajmniej wybawiło nas to z zakłopotania. Postawieni siłą rzeczy twarzą w twarz, cóż mogliśmy zrobić innego niż się uśmiechnąć?

– To ty też tu mieszkasz? – zapytał Isaak.  
– Zadomowiłam się, jak widać – odpowiedziałam.

Pod wpływem impulsu pochylił się ku sobie, ja uniosłam się na palcach, a Isaak zniżył głowę. Całowaliśmy się dłuższą chwilę, żeby się upewnić, że nie doszło do tego przypadkiem. Kiedy otworzyliśmy oczy i odsunęliśmy się od siebie, na twarzach malowało się nie tyle zaskoczenie, ile ulga, że ta pierwsza chwila bliskości fizycznej okazała się tak zwyczajna, niemal powszednia, jakbyśmy od lat mieli w zwyczaju się całować, mijając w korytarzu.

Spieszyłam się do biura, ale nawet gdyby nie było już późno i tak zdobyłabym się na dramatyczny gest na pożegnanie. Wzięłam żakiet i pomyślałam, że energicznie ruszę do wyjścia, zatrzymując się na jeden krótki pocałunek, lecz kiedy przechodziłam obok, zapragnęłam wtulić twarz w szyję Isaaka, żeby poczuć jego zapach, a on mi na to pozwolił.

– Jesteś jak kot – stwierdził.  
– A ty pachniesz cebulą – odparłam.

Przycisnęłam szyję do mojego karku. Staliśmy w takiej pozycji dobrą minutę, po czym się uwolniłam w obawie, że on zrobi to pierwszy. Kiedy po dwóch dniach znów się u niego zjawiłam, zaraz po wejściu zaczęłam chodzić z pokoju do pokoju. Isaak zapytał, co wyprawiam. Wzięłam jego rękę i uszczypnęłam fałdę między kciukiem a palcem wskazującym, a potem go objęłam.

– Upewniam się, że naprawdę istniejesz – wyjaśniłam.  
Uniósł mój podbródek i pocałował mnie szybko.

– Czy to jakoś pomaga? – zapytał.

Pomagało, ale trzeba było czegoś więcej. W porównaniu z innymi Isaak wydawał

się jakby utkany z nicości; nie tyle duch, ile zarys postaci, który starałam się wypełnić treścią.

Napierając, przewróciłam go na łóżko. Czułam, że drżą mu nogi; pocieszyło mnie odkrycie, że się denerwuje.

– Nadal nie jestem przekonana – powiedziałam.

Moje wątpliwości posłużyły za przykrywkę potrzebną nam obojgu, żeby się przełamać. Isaak całował mnie po szyi, a ja ściągnęłam mu koszulę i przyciągnęłam jego rękę do bluzki na znak, żeby poszedł za moim przykładem. Pocałowałam go w pierś, on odwzajemnił się tym samym. Kiedy już się rozebraliśmy, zapytał:

– A teraz?

Uniosłam biodra i naprowadziłam go do środka.

– Już prawie, prawie jestem przekonana.

Prawa noga wciąż mu drżała. Wiedząc, że się boi, jeszcze mocniej pragnęłam się go trzymać i pomyślałam, że z czasem może uda mi się wypełnić w nim te puste miejsca.

Z braku oparcia, jakie daje świat zewnętrzny, nasza zażyłość należała do odrębnej rzeczywistości, która zaczynała się i kończyła po drugiej stronie drzwi jego mieszkania. Nigdy podobny związek nie łączył mnie z żadnym mężczyzną, lecz wiedziałam, jak łatwo ten małeńki świat, który powoli budowaliśmy Isaak i ja, może ulec zniszczeniu.

– Na każdym kroku jestem od ciebie zależny – mawiał często w pierwszych naszych wspólnych miesiącach. Czasami brzmiało to jak żart, czasami – jak wyrzut. Kwitował w ten sposób moją odpowiedź na pytanie, gdzie leżą jego okulary, mówił tak też, gdy wyjmowałam z pralki jego pranie i wkładałam do suszarki, bo wiedziałam, że ma zwyczaj zostawiać w pralce na noc wilgotne rzeczy. Brzmiało uroczco i czule; myślałam wtedy, że nie byłoby źle zakochać się w mężczyźnie, który docenia te wszystkie drobiazgi, jakie dla niego robisz, i umie wyrazić wdzięczność, nie sprawiając, że czujesz się jak jego matka. Innym razem z kolei, kiedy wypowiadał te słowa, uświadamiałam sobie, jak bardzo nienawidzi sytuacji, która zmusza go do ich wypowiedzenia, i jak bardzo, przynajmniej w takich chwilach, być może nienawidzi też mnie.

Lista sytuacji, w których był ode mnie zależny, wydłużała się w miarę jego pobytu w naszym miasteczku. Na początku sprawy, w których nie mógł się beze mnie obejść, ograniczały się do moich obowiązków: przewiezienia go z jednego miejsca w drugie, ponieważ nie miał samochodu ani prawa jazdy, objaśnienia podstawowych zasad postępowania, na przykład: w jakich przypadkach dzwonić pod numer 911. Później potrzebował, żebym siedziała z nim po ciemku i trzymała go za rękę, kiedy opłakiwał drogą osobę. Raz nawet zadzwonił do biura i poprosił, żebym nie odkładała słuchawki, bo chciał po prostu posłuchać, jak inni rozmawiają. Nie umiał wykorzystać wolnego czasu. Gromadził książki – poważne rozprawy historyczne i biografie, a do tego niewielki zbiór romansów, które ukrywał pod łóżkiem. Czytał zachłannie. Kiedy spytałam dlaczego, odpowiedział, że stara się nadrobić stracony czas, bo do tej pory nie miał dostępu do tak dobrze zaopatrzonych bibliotek, ale podejrzewam, że w ten sposób wypełniał sobie długie, puste godziny. Był odcięty od korzyści, ale też strat, związanych z życiem w bliskim, nieprzerwanym kontakcie z własną przeszłością. Jeśli w ogóle zasługiwał na litość, to z powodu tego szczególnego osamotnienia, jakie wynika z braku czegokolwiek, co można by uznać za swoje. Wyzwiska, jakimi niekiedy go tu obrzucano, „czarnuch” czy „chłoptaś”, były niczym w porównaniu z tym, że nie miał u boku nikogo,

kto znałby go jeszcze z czasów poprzedzających przyjazd tutaj, kto przypominałby samą swoją obecnością, że on jest kimś zupełnie innym.



## ISAAC

W tamtych czasach uniwersytet przyciągał rzesze młodych radykałów, aspirujących do miana rewolucjonisty, z całej wschodniej i środkowej Afryki. Zaczęli się tam zbierać, kiedy prezydent wkrótce po dojściu do władzy ogłosił kraj pierwszą socjalistyczną republiką w Afryce – „ostoją wolności i równości, gdzie wszyscy ludzie są braćmi”, jak się wyraził podczas pamiętnego wystąpienia radiowego tuż po przeprowadzeniu pierwszego w historii państwa zamachu stanu. Miliony uwierzyły jego słowom. Zwracał się do narodu odpowiednim językiem: wzniośle, pompatycznie, a jednocześnie uniżenie. Wywodził się z rodziny o tradycjach wojskowych, ale twierdził, że nie jest wojakiem, lecz zwykłym farmerem, co chwycił za broń, żeby wyzwolić swój lud najpierw spod panowania Brytyjczyków, a potem spod władzy skorumpowanych urzędników, którzy po nich nastali. Krążyły pogłoski, że ma fotograficzną pamięć, że po mistrzowsku gra w szachy i koniec każdego tygodnia spędza na swojej farmie, gdzie dogląda bydła i upraw. Był dla ludzi ideałem głowy państwa i ucieleśnieniem marzeń. Gazety codzienne zamieszczały zdjęcia prezydenta w różnych wcieleniach: prezydent jako ojciec otoczony wianuszkami dzieci; prezydent jako przywódca wioski w jaskrawej czerwono-niebieskiej szacie z laską w ręku, wreszcie prezydent jako światły mąż stanu w trzyczęściowym garniturze maskującym tuszę i przydającym szlachetności jego byczej głowie.

Hojnie wspierał uniwersytet, podobno z własnej kieszeni. Jego podobizna wisiała tu i ówdzie w kampusie, przez jakiś czas pojawiały się nawet pogłoski, że uniwersytet zostanie przemianowany i będzie nosić jego imię. Studentom odpowiadał ten patronat. Tak długo, jak się dało, hołubili socjalistyczną, panafrykańską wizję, jaką roztoczył przed nimi prezydent, i przymykali oko na szerzącą się w stolicy korupcję i przemoc. Lecz do czasu, kiedy w kampusie zjawiliśmy się my, wizja praktycznie się rozwiła. Wśród studentów zarysowały się podziały ideologiczne na zwalczające się obozy niewiele w istocie różniące się poglądami. Odróżnianie wśród studentów gromadzących się na trawniku w permanentnym proteście prawdziwych rewolucjonistów od kampusowych pozerów stało się dla mnie i Isaaka sprawą o pierwszorzędym znaczeniu.

– Jeśli masz zostać pisarzem – rzekł Isaak – musisz umieć dostrzec różnicę między chłopcami, których dowożą na uniwersytet szoferzy w limuzynach, a tymi, którzy walczyli o to, żeby się tu dostać.

Nie powiedziałem mu, że ta różnica nie ma dla mnie znaczenia. Nie należałem ani do jednego, ani do drugiego obozu i nie widziałem powodu, żeby za którymś z nich się opowiedzieć. Część studentów naprawdę rwała się do walki i do rewolucji, a inni tylko udawali dla własnej korzyści. W tym układzie zawsze było miejsce dla takiego outsidera jak ja, jeśli tylko będę bezpiecznie przyglądał się z boku, lecz jeśli miałem nauczyć się ich rozróżniać, musiałem patrzeć oczami Isaaka.

Spacerowaliśmy po głównym dziedzińcu, a Isaak wskazywał różne gromadki studentów i pytał, co sądzę o danej osobie czy o danej grupie.

– Czy to prawdziwy rewolucjonista?

Na początku nie szczęściło mi się w tej grze. Isaak twierdził, że w ponad połowie przypadków się pomyliłem. Po kilkunastu próbach zapytałem, skąd pewność, że zawsze ma rację.

– Wiesz, po czym można ich poznać? – zapytał.

Przyklęknął, zdjął but i ruszał przybrudzonymi paluchami. Wziął go do ręki; but, podobnie jak mój, był zakurzony i naprawiany tyle razy, że z podeszwy niewiele już pozostało.

– Przyjrzyj się ich butom. Ten, kto dociera na uniwersytet pieszo, ma buty tak zniszczone, jak my.

\*

Przez kilka dni wylegiwaliśmy się na trawniku i wytykaliśmy palcami wszystkie wypucowane buty, jakie paradowały nam przed nosem. Po całym dniu przestałem postrzegać studentów jako niezróżnicowaną masę. Owszem, wchodzili w skład jednego ciała, lecz tworzyli różne kręgi luźno ze sobą powiązane i tylko rzadko się z sobą stykające.

Po dwóch dniach oświadczyłem Isaakowi:

– Już nie muszę patrzeć na buty. Zdradza ich poza, w jakiej stoją.

Wskazywałem gromadki studentów w głębi dziedzińca ze słowami: „Szofer z limuzyną”, i według Isaaka za każdym razem trafiałem. Uprzywilejowanie nadawało hardość spojrzeniu, przejawiało się w uniesionym podbródku. Wiedziałem o tym jeszcze przed przyjazdem do stolicy, ale sądziłem, że na uniwersytecie panują bardziej postępowe zasady. Po kilku dniach wychwytywania wzrokiem i pokazywania palcami Isaak uznał, że czas na coś więcej.

– Powinniśmy im się przedstawić – oznajmił.

Nie uznał za stosowne wytłumaczyć mi dlaczego. Wstał i zanim opuścił położony w rogu skrawek dziedzińca, który zacząłem już uważać za nasz, rzucił przez ramię:

– To nie potrwa długo.

Nauczył mnie dostrzegać, ale nie nauczył patrzeć. Kiedy zbliżył się do trzech elegancko ubranych młodzieńców stojących nieopodal, niemal poza zasięgiem głosu, odwróciłem wzrok w zakłopotaniu i jednocześnie w obawie przed tym, co z tego wyniknie. Kiedy ponownie na niego spojrzałem, już do mnie wracał.

– Co im powiedziałaś? – zapytałem.

– Nic takiego.

– To dlaczego tak na ciebie patrzą?

– Może nie zrozumieli pytania.

– Które brzmiało?

– Zapytałem, czy w samochodach ich ojców znajdzie się jeszcze miejsce dla nas dwóch.

Tak zaczęła się rewolucja Isaaka, choć ani on, ani ja nie zdawaliśmy sobie wtedy z tego sprawy. Przez tydzień zadawał to pytanie w nieco zmienionej formie kolejnym wybieranym na chybił trafił grupkom studentów. Nazywał to przesłuchaniem.

Mówił: „Idę przesłuchać tamtych chłopaków” albo: „Kogo mam dzisiaj przesłuchać?”, i nie czekając na moją odpowiedź, odchodził.

Po drugim albo trzecim pokazie nauczyłem się patrzeć; przestałem uciekać wzrokiem. Pojąłem, że ryzyko ośmieszenia się, a nawet odniesienia obrażeń, było wręcz konieczne dla całego przedsięwzięcia. Isaaka popychano, opluwano, obrzucano groźbami i drwiono z niego, lecz mimo to wracał do mnie z nieznacznie tylko mniejszym dumnym błyskiem w oku. Wiedział, że baczenie go obserwuję – nie tyle widzę, ile świadek wydarzeń – i to pomagało mu trzymać fason. „Przesłuchania” się zakończyły, kiedy

wśród studentów rozeszła się wieść o występach Isaaka i było już jasne, czego mogą się spodziewać.

– Dowiedziałem się jednej ważnej rzeczy – oznajmił Isaak zaraz po tym, jak ogłosił koniec przesłuchań. – Wszyscy zamożni chłopcy mają na imię Alex. Jeśli usłyszysz od nich coś innego, nie daj się zwieść. Ich prawdziwe imię to Alex, wierz mi.

Tego samego popołudnia zaczął machać do wybranych studentów, wołając: „Cześć, Alex! Cieszę się, że cię widzę!” albo: „Gdzieś ty się podziewał, Alex?! Pozdrów ode mnie swojego kolegę, Alexa!”.

Przyłączyłem się do tej zabawy, która nie była szczególnie trudnym wyzwaniem. Chodziłem z Isaakiem po kampusie, pozdrawiając głośno „dzieci przywileju”; niekiedy nawet w przypływie odwagi podchodziliśmy obaj z wyciągniętymi rękami do napotkanej dwójki studentów i w duecie krzyczeliśmy: „Cześć, Alex!”.

Kiedy uświadamiali sobie, że to kpina, byliśmy już zwykle w bezpiecznej odległości. Gdy w rewanzu wołali coś pod naszym adresem, ostentacyjnie ich ignorowaliśmy. Isaak szedł równym krokiem, a ja musiałem uważać, żeby się nie potknąć.

\*

W całym kampusie nasz podziw budzili jedynie studenci, którzy podobnie jak my, nie ukrywali kłujących w oczy oznak ubóstwa. Kiedy nie było Isaaka, sam uważnie im się przyglądałem, zwracałem uwagę na to, jak trzymają głowę, czy patrzą pod nogi, nim się odezwą, a jeśli znalazłem się dość blisko, słuchałem, co mówią; wsłuchiwałem się w ich głos.

Isaakowi imponowali też inni studenci. Wśród początkujących rewolucjonistów była frakcja, z której nigdy nie szedł. Tworzyli ją Rodezjczycy, których od niepodległości dzieliły wówczas jeszcze długie lata. Nikt na całym uniwersytecie nie mógł się z nimi równać, jeśli chodzi o wagę sprawy, której byli oddani, czemu dawali wyraz, rozpościerając każdego dnia transparent z napisem: AFRYKA WOLNA TO WOLNOŚĆ DLA WSZYSTKICH. Isaak nawiązał z nimi kontakt pod moją nieobecność.

– Pochodzą z Rodezji – oznajmił mi – lecz nie wymawiaj tej nazwy w ich obecności. Kiedy wypowiesz to słowo, powiedzą ci, że Rodezja nie istnieje. Jeden z nich mi wytłumaczył, że gdybym chciał dotrzeć do miejsca o tej nazwie, musiałbym zamieszkać w głowie białego człowieka. Lubię ich, mimo że nikomu nie ufają.

W jego ustach równało się to przyznaniu, że nie potraktowali go poważnie. Dalej ich obserwowałem, lecz nie zauważyłem, żeby pozdrawiał czy otwarcie patrzył w ich stronę.

Jednak za gwiazdę kampusu uchodził w oczach Isaaka i wielu innych osobnik, którego właściwie nikt naprawdę nie widział. Podobno był wysoki, młody, przystojny, czytany i nosił tylko oliwkowe spodnie i bluzy. Isaak twierdził, że zobaczył go kiedyś z daleka opuszczającego dziedziniec. Był pewny, że ta tajemnicza persona to Kongijczyk albo Rwandyjczyk.

– Jest rosły i poważny jak Rwandyjczyk – tłumaczył – ale to Kongijczycy potrafią walczyć. Może jest podwójnej narodowości.

– A może wcale nie istnieje – odparłem. – Może istnieje tylko w głowie czarnego człowieka.

Gazetka studencka zamieściła artykuł z rysunkiem głowy i licznymi wypowiedziami studentów, którzy twierdzili, że to postać wymyślona. W następnym

tygodniu na murach budynków, a podobno również w salach wykładowych, zaczęły się pojawiać napisy wykonane czarnym mazakiem. Najślynniejszy z nich, który wszyscy w kampusie znali na pamięć, głosił po prostu:

Marks był wielkim człowiekiem, ale już nie żyje.

Lenin był wielkim człowiekiem, ale już nie żyje.

Muszę przyznać, że i ja niezbyt dobrze się czuję.

\*

Isaak był zachwycony. „Ten człowiek jest kimś wyjątkowym”, powtarzał. Zdaniem Isaaka świadczyło to o tym, że dookoła nie brakuje prawdziwych rewolucjonistów, że „nie otaczają nas sami zamożni chłopcy, którym marzą się rządowe stołki”.

Tego samego dnia, kiedy pojawił się napis, przeczesałiśmy cały kampus w poszukiwaniu kolejnych. Znaleźliśmy sześć, a następnego dnia pięć. Trzeciego dnia wszystkie co do jednego zostały zamalowane, a na ich miejsce naklejono plakat o treści: „To Zbrodnia Przeciwno Państwu oszpecać mury naszego uniwersytetu”.

– Wkrótce – stwierdził Isaak – wszystko stanie się Zbrodnią Przeciwno Państwu.

– Przykro mi – odparłem – ale już same te słowa są zbrodnią.

Isaak wyciągnął przed siebie złożone ręce, jakby miał zostać skuty kajdankami.

– Powinniśmy zacząć ćwiczyć na wypadek aresztowania – powiedział.

W poniedziałek przyszedł na uniwersytet ze stertą ulotek, które wykonał własnoręcznie ze skradzionego papieru skradzionym mazakiem. Na moje pytanie, skąd ma papier, złapał mnie za ramię i powiedział:

– Rewolucjoniści muszą niekiedy sami wziąć to, czego im potrzeba. Niektórzy biorą żywności i broń. Ja biorę papier.

Ten dzień ochrzciliśmy mianem dnia rozpoczęcia naszej papierowej rewolucji.

– Naszym pierwszym posunięciem w tej wojnie – oświadczył Isaak – będzie rozklejenie ulotek w widocznych miejscach, żeby każdy mógł przeczytać.

Ulotki zawierały spis nowych Zbrodni Przeciwno Państwu.

– Dlaczego tylko oni mieliby wypisywać głupoty? – zapytał Isaak.

Ulotka początkowo wymieniała cztery zbrodnie.

\*

To Zbrodnia Przeciwno Państwu nie zgłosić jakiegokolwiek Zbrodni Przeciwno Państwu.

To Zbrodnia Przeciwno Państwu nie wiedzieć, co stanowi Zbrodnię Przeciwno Państwu.

To Zbrodnia Przeciwno Państwu kwestionować Zbrodnię Przeciwno Państwu.

To Zbrodnia Przeciwno Państwu sądzić lub głosić, że jest zbyt wiele Zbrodni Przeciwno Państwu.

\*

Isaak cofnął się i patrzył, jak czytam i podziwiam jego dzieło.

– Nie jestem poetą w przeciwieństwie do ciebie – oświadczył. – Jestem tylko kiepskim komediantem.

– Brakuje jeszcze jednej – stwierdziłem.

Podał mi mazak.  
Dopisałem na każdej ulotce piątą i ostatnią zbrodnię i dopiero wtedy pokazałem  
Isaakowi.

\*

To Zbrodnia Przeciwko Państwu czytać tę ulotkę.

\*

Isaak położył mi rękę na ramieniu i pocałował mnie w czubek głowy.  
– We dwóch jesteście nie do pobicia – stwierdził.  
Zaczekaliśmy do dwunastej, kiedy uniwersytet zamierał, bo rozpoczynała się  
najgorętsza pora dnia, i szybko rozlepiliśmy ulotki na drzwiach wejściowych  
najważniejszych budynków w kampusie. Na każdej z nich Isaak umieścił napis:  
„Rozpoczęła się Papierowa Rewolucja”.

Kiedy skończyliśmy, zaproponowałem, żebyśmy poszli do domu. Nadal  
rozumowałem jak ktoś, kto się boi, że przekreśli swoje szanse na przyszłe studia.

Isaak pokręcił przecząco głową.  
– Do końca dnia zostaną zerwane – powiedział. – Poza tym ominie nas cała  
zabawa.

\*

Po południu ponownie obeszliliśmy wszystkie budynki, Isaak stawał tuż przy  
wejściu, a ja metr za nim. Wynik przeszedł nasze oczekiwania. Przy drzwiach kłębił się  
nieustannie tłumek studentów; jedni przychodzili, drudzy odchodzili. Gdy ktoś próbował  
zdrzeć jedną z ulotek, szybko był wypychany na tyły.

Następnego ranka w kampusie nie mówiło się o niczym innym niż o ulotkach  
i papierowej rewolucji.

## HELEN

Wiedziałam, że nasz związek jest tymczasowy. Isaak otrzymał wizę na rok i nigdy nie rozmawialiśmy o jej ewentualnym przedłużeniu. Mimo szczerego postanowienia, żeby nie przesadzić z oczekiwaniami, wyobrażałam sobie czasem, jak elegancko ubrani, ze skromnymi, kupionymi w największym sklepie wielobranżowym srebrnymi obrączkami w kieszeni zajeżdżamy do ratusza, żeby w obecności urzędnika zawrzeć związek małżeński z nadzieją, że w ten sposób uda nam się stworzyć coś trwałego; wspólnotę, której – jak głosi formułka – żadnemu człowiekowi nie wolno rozdzielić. W moich marzeniach osiedlaliśmy się na farmie daleko od miasta i od krewnych, mając za całe sąsiedztwo kury i łany kukurydzy.

– Jak zapatrywałbyś się na życie na farmie? – pytałam Isaaka.

– To zależy. Z tobą?

– Może gdybyś sobie zasłużył, odwiedzałabym cię w weekendy.

Jednak kiedy fantazjowaliśmy o życiu rodzinnym, natychmiast zaznaczała się między nami różnica. Rozdźwięk między tym, co mieliśmy, a tym, czego pragnęliśmy, stawał się rażący, gdy marzenia ocierały się o domowe ognisko.

Pamiętam, jak raz zaprowadziłam go na pocztę, bo chciał wysłać list do matki. Kiedy staliśmy w kolejce po znaczki, zapytałam, jak ona ma na imię. Spojrzał na mnie tak, jakby przeminął już czas, kiedy znał odpowiedź na to pytanie albo miał prawo na nie odpowiedzieć.

– Nieważne, jak ma na imię – odparł. – Wszyscy zwracają się do niej Imaye. To znaczy „Matka”.

Kiedy doszliśmy do okienka, Isaak wręczył mi kopertę. Nieznajomi go onieśmielali, więc to mnie przypadło zadanie pytania, ile znaczków trzeba, żeby nadać ten list. Kiedy czekaliśmy na znaczki, próbowałam wymówić jej imię, naśladując Isaaka.

– Im-e-ya... Im-a-yu – ćwiczyłam na głos.

– Nie wychodzi ci – oświadczył.

Wypowiedział jej imię jeszcze raz, żeby udowodnić, jak bardzo moja wymowa odbiegała od pierwowzoru. W końcu, po kolejnych dwóch nieudanych próbach, roześmiałam się i powiedziałam:

– Nieważne. Kiedy się spotkamy, będę do niej mówić po prostu „Matko”.

Isaak się nie odzywał. Domyśliłam się, że uraziłam go tymi słowami. Nie poznałam go jeszcze tak dobrze, żeby zrozumieć dlaczego, ale czułam, jak powstaje między nami przepaść. Zapłaciliśmy za znaczki i wyszliśmy. Dopiero w samochodzie, kiedy byliśmy sami, wyjaśnił, co go gryzie.

– Nie warto mówić o czymś, co się nigdy nie wydarzy – oświadczył. – Będzie dla nas lepiej, jeśli postaramy się unikać takich tematów.

Przyrzekłam sobie, że nigdy nie będę wypytywać go o rodzinę, i dotrzymałam słowa. Pomyślałam też, że skoro nie ma przed nami przyszłości, to mogę się chociaż postarać, żeby jak najlepiej wykorzystać teraźniejszość. Lista wspólnie wykonywanych zadań i obowiązków nieuchronnie się kurczyła i czas już, oznajmiłam, żebyśmy przeszli do następnego etapu.

– Musimy pomyśleć o innych rzeczach, które moglibyśmy robić razem – powiedziałam. – Poza chodzeniem na zakupy.

– Co masz na myśli?

Rozważałam wszystkie rysujące się przed nami możliwości. Myślałam o tym, jak spędzają czas normalne pary. Chodzą do kina, do restauracji. Zapraszają na weekend przyjaciół. Jadą na urlop nad morze. Wiedziałam, że w naszym przypadku nic takiego nie wchodzi w grę, więc powiedziałam Isaakowi:

– Jeszcze nie wiem. Ale coś wymyślę.

Podczas śniadania, które zjadłam z matką, uznałam, że jeśli Isaak i ja mamy naprawdę być ze sobą, trzeba podjąć pewne kroki, nawet jeśli niosą ryzyko. To postanowienie nie przyszło mi łatwo. Nakrywając do stołu, matka zapytała tego ranka:

– Masz nowego narzeczonego, Helen?

Lubiła łągodne sformułowania i w takim tonie utrzymane były wszystkie nasze rozmowy. „Zechciałabyś pomóc mi w zakupach w ten weekend, Helen? Nie sądzisz, że już czas, żebyśmy wymieniły zasłony w salonie, Helen?”.

Ja odpowiadałam równie oględnie.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłam. – Ale nadal będę się rozglądać.

Ostatni raz zadała mi to pytanie niedługo po tym, jak podjęłam pracę w biurze Davida. W domu często o nim wspominałam i właściwie jedynym mężczyzną, z którym spotykałam się wieczorami i w weekendy, był David. Matka się dopytywała, czy David jest kimś szczególnym w moim życiu, lecz kiedy go poznała osobiście, natychmiast porzuciła nadzieję. Gdybym powiedziała jej o Isaaku, na pewno nie podniosłoby jej to na duchu.

Jedynie David coś podejrzewał i skrycie zamartwiał się swoimi przypuszczeniami.

Raz, kiedy byliśmy sami w jego gabinecie, oświadczył:

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz z tym twoim Dickensem.

To nie był wyrzut. Czułam, że wstydzi się swoich słów. Pokiwałam głową i próbowałam całą sytuację obrócić w żart.

– Oczywiście, że wiem – odparłam. – W tych sprawach jestem zawodowcem.

Nasza społeczność nie była tak rozdarta jak całe południe kraju, różniliśmy się też od wielkich miast na północy. Nasze przekonania dokładnie odpowiadały położeniu geograficznemu: byliśmy pośrodku, unikaliśmy zacieklej segregacji, lecz wytyczyliśmy granicę oddzielającą czarnych od białych, biegnącą przez całe miasteczko pomiędzy dzielnicami, kościołami, szkołami i parkami. Żyliśmy we względnym spokoju obok siebie niczym małżonkowie zajmujący oddzielne skrzydła wielkiego domu. Taki obraz miałam przed oczami, kiedy podczas śniadania zdecydowałam, że trzeba coś z tym zrobić. Zmiana! Dokonywała się wszędzie, tylko nie w Laurel.

Cel obrałam skromny. Wyznawałam zasadę stopniowego postępu. Nie musieliśmy zaraz odgrywać bohaterów, wielu już podejmowało się tego przed nami, i to całkiem skutecznie. Poza tym, tłumaczyłam sobie, Isaak i ja już podjęliśmy walkę; po prostu nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Sporządziłam listę miejsc, w których bywaliśmy w ciągu tych trzech miesięcy, odkąd się poznaliśmy: supermarket, centrum handlowe, poczta, bank, hipermarket sieci Goodwill. Przeanalizowałam w biurze nasze wizyty w każdym z tych miejsc, próbując sobie przypomnieć, czy jawnie i wyraźnie okazywaliśmy tam sobie czułość. Opracowałam nawet niezbyt wyszukany system, dzięki któremu mogłam określić wartość danej wizyty.

\*

1. Zakupy w supermarkecie: po seksie i dzieciach cóż może bardziej łączyć dwoje ludzi w Ameryce niż wspólne wybieranie mięsa na kolację? Supermarket był pierwszym przyczółkiem w naszym mieście, który zdobyliśmy; co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Chodziliśmy tam raz, czasem dwa razy w tygodniu. Śmiało się w alejkach, pchaliśmy na zmianę wózek. Przy stoisku z mięsem udzielałam Isaakowi ważnych rad na temat gotowania. To były ważne zwycięstwa.

2. Poczta: musiałam przyznać, że tam ponieśliśmy sromotną porażkę, a ponieważ był to urząd państwowy, uznałam, że porażka na tym polu ma większą wagę. Jedna porażka na poczcie równała się dwóm zwycięstwom w supermarkecie. Poczta była niebezpieczna, zwłaszcza nadawanie przesyłek. Listy Isaaka przywodziły na myśl ogromne odległości i tajemnicze, wcześniejsze życiowe doświadczenia, o których nic nie wiedziałam. I, jak to w urzędzie, trzeba było wypełniać różne formularze. Trudno odnieść zwycięstwo w takim przybytku, może to wręcz niemożliwe.

3. Inne zakupy: meble, talerze, sztuce, wszystko to wybieraliśmy razem na oczach sceptycznie przyglądających się nam sprzedawców. Gdybyśmy dotknęli się przy tym choć raz, uznałabym to za ważny znak sprzeciwu wobec segregacji, ale nie wolno mi było się oszukiwać. Wiedziałam, że jeśli się dotknęliśmy, to tylko przez przypadek, musiałam więc do tej beczki miodu dodać łyżkę dziegciu, jakim była świadomość, że mogliśmy dać z siebie więcej.

\*

Nasz związek potrzebował teraz nowych wyzwań. Pierwsze zadanie do wykonania, jakie przyszło mi na myśl, wydawało się tak oczywiste, że dziwiłam się, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. Tydzień po naszej klęsce w urzędzie pocztowym zadzwoniłam z pracy do Isaaka i powiedziałam, że zapraszam go na lunch.

– Na lunch? – powtórzył.

– Zgadza się, na lunch. Znudziło mi się jedzenie w samotności za biurkiem.

Wybrałam tę samą restaurację, w której stołował się mój ojciec i do której swego czasu zabierał mnie w sobotnie popołudnia. To było jedyne miejsce w Laurel, które kojarzyło mi się z ojcem. Zachodziłam tam od lat, sama lub w towarzystwie znajomych albo kolegów z pracy, lecz te inne okazje nie przesłaniały głównego wydarzenia, jakie stanowił ten wspólny lunch ojca i córki. Miało ono miejsce dość regularnie na przestrzeni dwóch lat, a kres położyła mu obietnica złożona przy stole przez ojca, że kiedy wyprowadzi się z domu, będzie mnie co tydzień odwiedzał. Ponownie widziałam się z nim dopiero po miesiącu. Z czasem przestałam się martwić, czy znów się pojawi, aż wreszcie przestało mi na tym w ogóle zależeć. Moje wspomnienia ojca stopniowo stopiły się w jeden zamazany obraz mężczyzny przy restauracyjnym stoliku albo kontuarze, z gęstymi bokobrodami, a czasem też delikatnym wąsikiem, który się poruszał, kiedy ojciec się odzywał, co zresztą nie zdarzało się często.

Oficjalnie w tym lokalu nie obowiązywała segregacja, lecz nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała na sali osobę innej rasy niż biała. Za taki stan rzeczy odpowiadała w tym przypadku raczej etykieta, a nie tabliczka czy sztywna zasada. Zanim pojechałam po Isaaka, zapisałam sobie na karteczce na wypadek, gdybym jakimś cudem zapomniała o tym później: „Mamy wszelkie prawo zjeść tam razem lunch”.

Zjawiliśmy się w restauracji tuż po dwunastej; wiedziałam, że o tej porze na sali będzie tłok. Isaak zaproponował, żebyśmy spotkali się w środku, ale ja się uparłam, że



przywiozę go na miejsce, ponieważ dzięki temu wszyscy zobaczą, że wchodzimy razem. Miejsca przy kontuarze były zajęte. Połowę siedzących tam mężczyzn znałam z imienia, druga połowa wyglądała znajomo. Pochylony nad ladą Bill, który słynął w Laurel z silnego czarnego owłosienia na klatce piersiowej i przedramionach, uśmiechał się bez przekonania do wchodzących i wychodzących gości. Ojciec powtarzał, żebym uważnie patrzyła w swój talerz, kiedy Bill pochyla się nad stołem. „On kłaczy jak pies”, przestrzegął mnie.

W ułożonym przeze mnie scenariuszu wydarzeń, który odgrywałam w myślach, jadąc z mieszkania Isaaka do restauracji, cała sala milkła na nasz widok. Wszystkie spojrzenia zwracały się w naszą stronę, a my szliśmy, jak gdyby nigdy nic. Nie trzymaliśmy się za ręce – ten gest byłby zbyt wyzywający – lecz przystawaliśmy, żeby popatrzeć na siebie wzrokiem pełnym czułości graniczącej z miłością. Lecz w wersji na żywo rozmowy nie ucichły. Bill zauważył mnie, jak tylko stanęłam w progu, i wskazał stolik na środku sali. Isaak szedł za mną, a ja byłam tak zaaferowana dotarciem do stolika, że nawet się nie zatrzymałam, żeby sprawdzić, czy ktoś mu się przygląda. Usiedliśmy. Kiedy podniosłam kartę, żeby zza niej zlustrować salę, spostrzegłam, że przybycie dwojga śmiałków w naszych osobach nie wzbudziło należytego zainteresowania.

Isaak zauważył moje wędrujące po sali spojrzenie.

– Dlaczego tu przyjechaliśmy? – zapytał.

Rozejrzałam się po sali. Wydawało mi się, że Bill i dwóch mężczyzn przy kontuarze patrzą w naszą stronę.

– Ot, tak – odparłam. – Po prostu miałam ochotę wyrwać się z biura.

Zapytałam Isaaka, jak spędził przedpołudnie.

– Poszedłem do biblioteki – odparł.

Znalazł ciekawą książkę o współczesnej architekturze amerykańskiej i podzielił się ze mną wrażeniami z lektury. Dwukrotnie podkreśliłam głośno, że to bardzo zajmujące.

– Niesamowite, co też potrafia obecnie zbudować – stwierdziłam.

Gadka szmatka. Zwyczajna rozmowa. Kiedy Isaak położył rękę na stole, objęłam dłonią jego dwa palce. Przytrzymałam je dwie, może trzy sekundy, wpatrując się w menu, i szybko puściłam pod pretekstem odgarnięcia z czoła luźnego kosmyka włosów.

Podeszła do nas kelnerka i przyjęła zamówienie. Ja poprosiłam o smażonego kurczaka; Isaak wskazał w karcie omlet z szynką i serem, dając mi do zrozumienia, żebym zamówiła za niego.

Po odejściu kelnerki spojrzałam z zainteresowaniem w stronę kontuaru. Chciałam powiedzieć Isaakowi, co ojciec mówił o Billu, lecz ten gdzieś zniknął, a pod jego nieobecność mężczyźni siedzący przy kontuarze przestali udawać, że nas ignorują.

Starałam się nie zwracać na nich uwagi, lecz kiedy kelnerka zjawiła się przy stoliku z pustymi rękami, mogłabym się założyć, że gdybym znów spojrzała w tamtą stronę, zobaczyłabym na ich twarzach szerokie uśmiechy. Dziewczyna była młoda, świeżo po liceum. Znałabym ją, gdybym była młodsza. Miała życzliwą, okrągłą twarz i ciemnobrązowe włosy upięte w kok. Pochyliła się nad stołem i powiedziała szeptem:

– Bill pyta, czy wzięlibyście zamówione dania na wynos.

Bardzo starała się być miła.

Isaak natychmiast się domyślił, co jest grane, i potrafił od razu zareagować. Nim zdążyłam odpowiedzieć, oświadczył grzecznie, lecz stanowczo:

– Nie, wolelibyśmy zjeść na miejscu.

Dziewczyna skinęła głową; nic innego w tej sytuacji nie przychodziło jej na myśl. Isaak zacisnął usta i odczekał, aż kelnerka odejdzie, nim zwrócił się do mnie.

– Często tu przychodzisz? – zapytał.

Skinęłam głową, że tak, lecz zaraz zmieniałam zdanie i powiedziałam:

– Właściwie to nie.

– Zdecyduj się.

– Przychodziłam tu, kiedy byłam młodsza – wyjaśniłam. – Teraz rzadziej tu bywam.

Mówiłam prawdę. Restaurację od biura dzieliło zaledwie kilka przecznic, ale przychodziłam tu najwyżej raz w miesiącu i nigdy w soboty.

– Lepiej chodźmy stąd – powiedziałam.

Isaak nie odrywał ode mnie wzroku. Korciło mnie, żeby wyjawić mu prawdziwy powód, dla którego tu go przyprowadziłam, ale spostrzegłam, że to zbyt szalone. Najlepsze intencje nie zmieniały oczywiście faktu: powinnam była mieć więcej rozumu.

– Nie będę uciekać – oznajmił. – Zamierzam zjeść tutaj to, co zamówiłam.

Na chwilę wróciła mi odwaga. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak po powrocie do biura zapisuję ten lunch po stronie zwycięstw. Jeśli przebrniemy przez ten posiłek, to już żadne miejsce na świecie nam się nie oprze, zawojujemy kina, urzędy pocztowe, nawet z najeżonej niebezpieczeństwami kolacji z matką wyjdziemy zwycięsko. Kiedy wyobrażałam sobie reakcję matki na widok Isaaka w naszym domu w niedzielny wieczór, kelnerka przyniosła Isaakowi lunch. Była to ta sama dziewczyna, lecz tym razem w ogóle na nas nie spojrzała. Jej zakłopotanie rzucało się w oczy. Omlet zamówiony przez Isaaka podany był na kilku cienkich papierowych talerzykach położonych jeden na drugim. Ledwo się na nich mieścił. Plastikowy nóż i widelec leżały na wierzchu owinięte w serwetkę; ten dziwnie ujmujący akcent na pewno był dziełem kelnerki. Isaak odwinął sztućce i położył sobie na kolanach serwetkę wielkości rozpostartej dłoni.

– Pozwolisz, że zacznę? Nie cierpię zimnych jajek.

Powiedział to spokojnie; uznałam, że żartuje i być może trochę tak było.

Próbowałam się roześmiać – ha, ha – lecz on pokroił omlet na siedem równych części i włożył pierwszy kawałek do ust. Gryzł powoli. Za każdym razem, gdy wkładał do ust kolejny kęs, uświadamiałam sobie, że już nie jesteśmy po tej samej stronie, jeśli kiedykolwiek byliśmy.

Zdażył zjeść cały omlet, kiedy przyniesiono mi kurczaka na zwykłym kremowym talerzu, takim, jakie przysługiwały tu wszystkim oprócz Isaaka. Kelnerka próbowała się czym prędzej ulotnić, lecz złapałam ją za nadgarstek i oświadczyłam, że rezygnuję z zamówienia.

– Przekaż Billowi – powiedziałam – że nie chcę tu jeść.

Biedaczka – ze wszystkich sił powstrzymywała łzy. Nie ułatwialiśmy jej zadania.

– Zostaw talerz – nakazał jej Isaak. – Zostaniemy tu i zjemy lunch.

Dziewczyna wyrwała się i pognęła z powrotem do kuchni. Wpatrywałam się w kurczaka i tłuczone ziemniaki na talerzu i zamrugałam, łudząc się jak dziecko, że uda mi się sprawić, żeby jedzenie znikło.

– Proszę, chodźmy stąd.

Isaak pokręcił przecząco głową.

– Dopiero kiedy wszystko zjesz tak jak ja. Przecież o to ci chodziło, prawda?

Jeśli to był jego sposób na wyrównanie rachunków, uznałam, że mogę włączyć się do tej rozgrywki. Przez następne dziesięć minut skupiałam się na powolnym przeżuwaniu kurczaka. Już od pierwszego niemrawego kęsa czułam, jak ulatuje cały mój zapach; nic nie zdołamy zmienić. Doświadczyłam wręcz swoistej regresji do czasów dzieciństwa, do tych wieczorów i popołudni spędzonych za stołem w kuchni, kiedy wmuszałam w siebie posiłki, na których ojciec nigdy się nie pojawiał, a które matka pozostawiała nietknięte. Zawsze wiedziałam, że jest coś okrutnego w jej naleganiu, żebym zjadała wszystko, co mi nałożyła, podczas gdy na talerzu obok porcja ojca spokojnie stygła. Matka nie chciała cierpieć w pojedynkę i potrzebowała u swego boku drugiej ofiary. Kiedy po kilku minutach spojrzałam w końcu na Isaaka i zobaczyłam, że uśmiecha się do mnie, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że widzę w jego wzroku błysk okrucieństwa.

\*

Nie zaprzętałam sobie głowy tą myślą, gdyż pochłonęło mnie opracowanie nowego scenariusza. W tej wersji Isaak i ja pozostaliśmy bohaterami. Fakt, że oboje wytrwaliśmy do końca na posterunku, gdy każda cząstka mnie pragnęła stamtąd uciec, świadczył o naszej gotowości do poświęceń.

Po wyjściu z restauracji, kiedy wsiedliśmy do samochodu, Isaak powiedział:

– Teraz już wiesz, jak to jest, kiedy cię powoli rozrywają na strzępy.

## ISAAC

Isaak chciał uczcić pierwsze zwycięstwo naszej papierowej rewolucji.

– Wkrótce dowie się o nas cały kampus – oświadczył. – Staniemy się sławni.

Czuliśmy, że coś osiągnęliśmy. Przestaliśmy być biernymi obserwatorami życia w kampusie. Teraz nie tylko się przyjaźniliśmy – we dwójkę tworzyliśmy zespół, a kto nie był z nami, należał do opozycji.

Isaak zaproponował, żebym wybrał sobie imię poety.

– „Profesor” już do ciebie nie pasuje – powiedział. – Czas na twoje nowe wcielenie. Wybierz sobie znaną postać, ale nie taką, o której wszyscy słyszeli.

Zdecydowałem się na Langstona.

– To poeta? – zapytał.

– Tak, i to wielki – odparłem, mimo że nie czytałem żadnych jego wierszy, nie miałem nawet pewności, czy jest poetą. Wiedziałem tylko tyle, że uczestniczył w słynnej konferencji pisarzy, która odbyła się na tutejszym uniwersytecie, i od razu urzekło mnie jego imię.

Isaak wpadł na pomysł, żebyśmy dla uczczenia naszego triumfu poszli do Café Flamingo, która w tamtych czasach ze wszystkich kawiarenek położonych wzdłuż wijącej się i wysadzonej drzewami alei prowadzącej do kampusu, cieszyła się wśród studentów największą popularnością. Studenci, którzy zwykle przesiadywali w kafejkach, znani byli z tego, że zamawiali bez umiaru. Niczym udzielnicy kacykowie kazali sobie podawać ciastka, herbatę i kawę, a potem kłócili się między sobą, kto ma za to wszystko zapłacić. W normalnych okolicznościach Isaak i ja wstydziłibyśmy się siedzieć godzinami w kawiarni przy samej herbatce, lecz tego dnia Isaaka rozpieęła duma zwycięzcy i nic nie było w stanie go onieśmielić.

– Zasługujemy na to – stwierdził – żeby przesiadywać w takiej drogiej kawiarni razem z innymi studentami. Po latach będą mówić: „To tutaj spotykali się Isaak i Langston – poeta profesor”.

O właścicielach Café Flamingo krążyły sprzeczne pogłoski: w jednej wersji byli libańskimi biznesmenami, w innej z kolei dalekimi krewnymi prezydenta, czy też któregoś z jego sojuszników. Prawdy nikt nie znał i bezpieczniej było na wszelki wypadek założyć, że zarówno kawiarnia, jak i jej bywalcy są powiązani z kręgami władzy. W rzeczywistości, jak dowiedziałem się później, sprawa była prostsza, a zarazem bardziej złożona. Kawiarnię otworzyło małżeństwo, Francuzka i Amerykanin, którzy opuścili kraj po ogłoszeniu niepodległości. Dwie krzątające się w niej dzień w dzień Afrykanki w średnim wieku nie były pracownicami najemnymi; prowadziły kafejkę w imieniu swoich mężów; braci, którzy przed laty oficjalnie przejęli porzucony lokal. Jednak oni nie prowadzili kawiarni jako przedsiębiorcy – podjęli się tego jako oddani przyjaciele i zwolennicy pewnego młodego mężczyzny, który powrócił do stolicy z długoletniego wygnania w Anglii.

Tego popołudnia, kiedy Isaak i ja postanowiliśmy zajść do Café Flamingo, przed kawiarnią przycupnęła para marabutów, których gromadki leniwie przesiadywały to tu, to tam w całym mieście. Ptaki wpatrywały się w cztery plastikowe flamingi wbite w ziemię tuż przed wejściem. Rozpostarły skrzydła, rzucając cień na sztuczne ptaszyska. Widząc, że nie wywołały żadnej reakcji, zbierały się do odlotu. Marabuty były niegroźne; natura z nich zakpiła, obdarzając je długimi, ostrymi dziobami, które w połączeniu z brzydkimi,

bezwłosymi głowami nadawały im wygląd mistrzowskich łowców. Jeden ze studentów siedzących na plastikowym krześle przed kawiarnią rzucił w nie łyżeczką. Marabuty wystraszyły się i wzbiły w powietrze. Machając energicznie skrzydłami, wzniosły się i poleciały na drugą stronę ulicy; tam usiadły na dachu budynku, gdzie najwyraźniej czuły się bezpieczne.

Trudno powiedzieć, czy którykolwiek ze studentów zauważył, że Isaak i ja siadamy przy kawiarnianym stoliku. Nasze przybycie spotkało się raczej z nikłym zainteresowaniem. Odchodząc, również nie wywołałybyśmy ich reakcji. Jednak Isaakowi taki obrót rzeczy nie odpowiadał, stało się więc inaczej. Isaak wybrał stolik niedaleko chłopców, których rozpięte koszule ze stojącymi kołnierzykami odsłaniały złote łańcuchy i wisiorzy. Dwóch mówiło z autentycznym brytyjskim akcentem, który różnił się intonacją od wersji, jaką często słychać było w kampusie. Wszyscy mieli świeżo wypucowane buty.

– To miejsce roi się od Alexów – stwierdziłem.

– Wiem – odparł Isaak. – Dlatego tu przyszliśmy.

Isaak klasnął na kelnerkę. Studenci przerwali rozmowę i spojrzeli w jego stronę. Od razu rozpoznali w nas biednych chłopaków ze wsi, którymi w istocie byliśmy.

Jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Chłopak w błękitno-białej koszuli pierwszy poderwał się i zaczął powoli klaskać, patrząc prosto na nas. Reszta poszła za jego przykładem: niektórzy wstali, kilku siedziało, lecz wszyscy, z wyjątkiem jednego, klaskali, wystawiając nas na pośmiewisko. Studenci siedzący w środku wyglądali przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje. Choć nie znali powodu, domyślali się na pewno, że chodziło o to, żeby nas upokorzyć.

Biedny Isaak. Siły przeciwnika były przeważające, lecz za słabo go znałem, żeby pojąć, że to nie miało znaczenia.

– Nie wstawaj – powiedział. – Poradzę sobie sam.

Siedziałem więc, a on dźwignął się z krzesła i ruszył w ich stronę. Kroczył wolniej, jego ruchy były bardziej powściągliwe niż zazwyczaj. W pewnej chwili przystanął w pół kroku, pochylił się i potarł prawą ręką o ziemię. Nikt poza mną nie dostrzegł, że coś podniósł. Zatrzymał się kilka metrów od szyderców, którzy wciąż bili brawo i patrzyli wprost na niego, jakby był powłoką człowieka, skorupą pozbawioną bijącego serca. Obejrzał się, żeby się upewnić, że patrzę. Patrzyłem; opanowałem przemożną pokusę odwrócenia wzroku.

Zbliżając się do nich długimi krokami, Isaak wycelował, zamachnął się i cisnął kamieniem prosto w usta chłopaka w błękitno-białej koszuli. Oklaski urwały się w samą porę; słychać było chrupnięcie kości szczęki chłopaka.

Szybko zwalili Isaaka z nóg. Rzuciło się na niego trzech, może czterech chłopaków mniej więcej jego budowy i wzrostu, a Isaak nie cofnął się ani o krok. Przyglądałem mu się wystarczająco długo, żeby zrozumieć, że nie zamierza uciekać; potem przestałem patrzeć. Przez kilka minut okładali go pięściami i kopali. Słyszałem odgłosy uderzeń. Znęcaliby się nad nim znacznie dłużej, gdyby nie powstrzymał ich nieco starszy mężczyzna, który siedział w pobliżu, ale nie razem z nimi. Kiedy spojrzałem na pobożowisko, zobaczyłem, że otoczył ramionami dwóch z nich i wyprowadzał na ulicę.

Isaak był przytomny, z nosa i z ust ciekła mu krew. Klęknąłem przy nim; jego twarz i ramiona puęły w oczach.

– Co mam zrobić? – zapytałem.

Próbował się rozeźmiać, ale płuca odmówiły posłuszeństwa.

– Nie ma o czym mówić – odparł. – Idź do domu i udawaj, że nic się nie stało.

Jedna z kobiet pracujących w kawiarni i dwóch mężczyzn, jej podwładnych, podeszli i zajęli się Isaakiem. Kobieta uciskała mu żebra, klatkę piersiową i brzuch, potem przyłożyła wilgotną szmatę do czoła. Gestem nakazała mężczyznom, żeby go podnieśli. Unieśli go ostrożnie, najpierw od pasa w górę.

Próbowałem wejść za nimi do kawiarni, lecz Isaak, choć ledwo dychał, mamrotał, że mam wracać do domu. Stałem przy drzwiach. Tuż przed sobą miałem jego stopy. Gdybym stał krok dalej, nie dosłyszałbym, jak mówi:

– Potrzebny jesteś w kampusie.

\*

Minęły dwa tygodnie, nim znów spotkałem Isaaka. Wypatrywałem go na uniwersytecie i w naszej dzielnicy, przemierzając trasy, na których mógłbym się na niego natknąć. Miałem tylko mgliste pojęcie o tym, gdzie mieszka, więc wędrowałem po najodleglejszych zakątkach naszych slumsów w nadziei, że przez okno któregoś z domów usłyszę jego głos lub dojrzę w tłumie jego twarz. Pod koniec pierwszego tygodnia zacząłem się martwić, że odniósł poważniejsze obrażenia, niż sądziłem. Potem nabrałem pewności, że wniesiono go do kawiarni po to, żeby go tam dyskretnie dobić, i przez cały czas nie opuszczał mnie lęk, że Isaak został zgarnięty z ulicy i wtrącony do więzienia, przypadkowo albo z powodu swojej działalności, a jeśli to prawda, były marne szanse, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczę.

\*

Pod koniec drugiego tygodnia poszukiwań raz wydawało mi się, że widzę go leżącego na materacu na podłodze jednoizbowego domu. Był praktycznie nagi, tylko biodra zasłaniało białe prześcieradło. Zawolałem szeptem przez otwarte okno: „Isaak, Isaak”. Kiedy chłopak poruszył ręką, zobaczyłem, że to nie Isaak. Chłopak był w podobnym wieku, przypominał go wzrostem i budową, lecz miał zdeformowane podniebienie, co na pewno utrudniało mu artykulację. Popatrzył na mnie i pomachał ręką. Odpowiedziałem mu tym samym. Szczęśliwy, że ktoś w ogóle mnie dostrzegł, stałem tam i machałem minutę, a może dłużej. Nim poznałem Isaaka, chętnie widziałem w sobie odszczepieńca, ponieważ tylko w taki sposób, rozumowałem, można wyzwolić się z więzów rodzinnych i plemiennych, które podobno kształtują nasze życie. Żeby nadać treść temu wyobrażeniu o sobie, porzuciłem rodzinne strony i wyjechałem do obcego kraju, nie rozumiejąc jednak, że ma to swoją cenę, którą prędzej czy później trzeba będzie zapłacić. Podczas nieobecności Isaaka każdego dnia boleśnie sobie uświadamiałem, że bez niego nikogo nie obchodzi. Widzieli mnie, a czasami również słyszeli, wyłącznie nieznajomi, i to tylko przelotnie. Byłem z tego powodu o wiele bardziej nieszczęśliwy, niż się spodziewałem.

\*

Widowiskowy powrót Isaaka nastąpił w poniedziałek. Z ciemnymi sińcami pod oczami, rozciętą brodą i rzędem strupów na prawym policzku wkraczał przez bramę w aurze bohatera. Kuśtykał z gracją, kroki stawiał mocno, jakby chciał pokazać, że

uszczerbek na zdrowiu nie jest trwały. Patrzyłem, jak wszystkie głowy zwracają się w jego stronę. Wiedziałem, że obrażenia są prawdziwe, lecz mimo to pomyślałem sobie: „Brawo, Isaak, świetnie ci idzie”. Kiedy wreszcie do mnie dotarł, szeptały już o nim wszystkie grupki studentów rozproszone po całym dziedzińcu.

Gdybym nie zamartwiał się tym, jak dalej będą układać się moje stosunki z Isaakiem, zareagowałbym bardziej wylewnie na jego powrót. Powiedziałbym, że miło go znów widzieć, że mi go brakowało.

Zdobyłem się tylko na zdawkowe:

– Więc... w końcu wróciłeś.

Nawet nie mogłem się zdecydować, czy podać mu rękę.

– Tak – odparł. – Wiedziałem, że beze mnie będzie tu pusto.

Na tym poprzestaliśmy. Ruszyłem za Isaakiem, który skierował się na środek głównego placu, tam, gdzie zbierała się większość studentów. Zatrzymaliśmy się przy południowo-zachodnim rogu dziedzińca, gdzie zwykle obozowała dwójka samotnych Angolczyków. Choć Isaak się nie przyznawał, widać było, że jest wyczerpany.

– Lepiej usiądźmy – zaproponował.

– Tam jest ławka – powiedziałem, wskazując miejsce na uboczu, skryte w cieniu.

– Za daleko – stwierdził i w tym momencie wyraźnie usłyszałem jego świszczący oddech. Nie miał siły kuśtykać dalej. Zrobił jeszcze kilka kroków i oparł się ostrożnie o młode drzewo, które lekko ugięło się pod jego ciężarem. Osunął się na ziemię i podciągnął kolana pod brodę.

Przez cały ranek każdy, kto przechodził obok, przypatrywał się Isaakowi. W całym mieście na ulicach widać było okaleczone ciała błagające o litość i zwykle mało kto zwracał na nie uwagę. Ludzie przyglądali się Isaakowi, ponieważ zakładali, że studiuje na uniwersytecie, i wydawało im się, że wiedzą, czym zasłużył sobie na takie cięgi. Kilka dni wcześniej jednym z głównych bulwarów prowadzących do pałacu prezydenckiego przemaszerał tłum domagający się wprowadzenia reform. Demonstrantom pozwolono podejść do pałacu na odległość stu metrów, nim użyto gazu łzawiącego i pałek. Tego, że Isaaka kojarzono z tą manifestacją, domyśliłem się, kiedy przechodząca obok nas dziewczyna, nie zwalniając kroku, oświadczyła: „Nasz kraj potrzebuje takich bojowników jak ty”. Wielu studentów pozdrowiało go albo do niego machało – nawet wojowniczy Rodezyjczycy, którzy nikomu nie ufali.

– Stałeś się znaną postacią, chociaż długo cię tu nie było – stwierdziłem.

– Wiem – powiedział Isaak. – Szkoda, że wcześniej nie dałem się pobić. Do tej pory byłbym już prezydentem.

Nie miałem mu za złe, że pozwala, by w kampusie panowała nieprawdziwa opinia na jego temat, ponieważ uznałem za zbieg okoliczności to, że jego powrót nastąpił kilka dni po niedawnych rozruchach.

\*

Isaak skąpił mi informacji o tym, gdzie się podziewał i co się z nim działo przez cały ten czas od bójki w kawiarni. Na moje pytanie odparł, że to bez znaczenia.

– To już przeszłość – stwierdził. – Ważne, że teraz jestem tutaj.

Ponieważ wciąż wstyd mi było, że go wtedy zostawiłem, zadowolilem się tą odpowiedzią.

\*

Przez kilka następnych tygodni na uniwersytecie panował spokój. Skończył się jeden semestr, rozpoczął drugi, ale dla mnie i Isaaka to nie miało znaczenia. W styczniu znów zaczęliśmy się pojawiać na uniwersytecie, jak gdyby wokół nas nic się nie zmieniło. I rzeczywiście tak było pod warunkiem, że skupialiśmy się bez reszty na swym drugim życiu, które wiedliśmy w kampusie. Krążyły pogłoski, a w anglojęzycznych gazetach pojawiały się lakoniczne doniesienia o fali aresztowań i aktach przemocy na obrzeżach miasta; szybko puszczałem je w niepamięć, jakby dotyczyły jakiegoś odległego kraju. Isaak i ja spędzaliśmy całe dnie na środku dziedzińca, przestaliśmy wycofywać się na obrzeża, choć wcześniejsza pozycja bardziej mi odpowiadała. Zainteresowanie, jakie budził Isaak, przycichło, ale nie znikło. Wszyscy wiedzieli, że zawsze można go znaleźć w tym samym miejscu, choć jak dotąd nikt nie próbował go odszukać. Kiedy zasugerowałem Isaakowi, żebyśmy przenieśli się w bardziej ustronne, mniej rzucające się w oczy miejsce, upierał się, że to niemożliwe.

– Stajemy się coraz bardziej rozpoznawalni – mówił. – Dlaczego mielibyśmy się teraz wycofywać?

Codziennie o zmierzchu wracaliśmy do domu. Szliśmy powoli. Isaak nadal utykał, choć nie tak mocno, jak na początku. Stawianie kroków wymagało od niego skupienia, lecz podejrzewam, że wysiłek był nieco udawany. Jeśli nawet Isaak przesadzał z obnoszeniem się z ranami, nie mnie go osądzać. Niewątpliwie zyskał coś dzięki odniesionym obrażeniom. Stał się rozpoznawalną postacią, mniejsza o to, że bezimienną, i rozumiałem, że pragnie korzystać z nowego statusu, dopóki nie wzniesie się o szczebel wyżej w kampusowej hierarchii. Wiedziałem, że kiedy to już nastąpi, kuśtykanie i bandaże pójdą w odstawkę; na szczęście pozostaną blizny. Wyobrażałem sobie, jak już jako sędziwy starzec wskazuje starą ranę na ramieniu czy na twarzy, mówiąc: „To zawdzięczam policji” albo: „Nie pamiętam już, od czego ta blizna. Tyle ich mam na całym ciele”.



## HELEN

Tamtego popołudnia w restauracji spełniły się moje najgorsze obawy dotyczące naszego związku. Przejść do porządku dziennego nad tym, co tam zaszło? Nie, to nie wchodziło w grę. A jeśli Isaak i ja mieliśmy po tym lunchu jakąkolwiek wspólną przyszłość, to łączące nas uczucie mogło się odtąd ujawniać jedynie w najściślejszym odosobnieniu, późną nocą i wyłącznie w mieszkaniu Isaaka, przy opuszczonych roletach i zgaszonych światłach. Życzliwość i czułość, jaka się jeszcze w nas tliła, szybko zgaśnie, aż w końcu przestaniemy ze sobą rozmawiać i rozstaniemy się rozgoryczeni, całkowicie sobie obcy. Tamtego popołudnia wróciłam do biura, czując ciężar na piersi. Przez długie godziny próbowałam go zrzucić. Raz po raz chodziłam do łazienki. Piłam jedną szklankę wody po drugiej. Kiedy David zapytał, jak się czuję, zakrztusiłam się, próbując odpowiedzieć.

– Chyba bierze mnie przeziębienie – powiedziałam.

Zmierzył mnie wzrokiem. Twierdził, że potrafi poznać, kiedy ktoś go okłamuje.

– Nic cię nie bierze. Ale jedź do domu.

Nie wychodziłam z sypialni przez cały wieczór. Matka dwa razy pukała do drzwi; za pierwszym razem zapytała, czy napiję się herbaty, a za drugim, czy zjem zupę. Każde jej pojawienie się u moich drzwi unaoczniało mi granice, w obrębie których toczy się moje życie. Zasyślałam, obiecując sobie większą niezależność – własny dom, własne życie, a z czasem nawet własną rodzinę.

\*

Przez niemal dwa tygodnie dzielnie opierałam się pokusie odwiedzenia Isaaka. Łudziłam się, że z czasem zacznę stopniowo zapominać, jak wyglądam, że moja broda, nos i oczy zaczną się zlewać z obrazami miliona innych kobiet, a kiedy to nastąpi, te cząstki mnie, które, jak sądziłam, są dla niego najważniejsze, odzyskają dawną wyrazistość. Przygotowywałam się również na to, że naszego związku nie da się uratować. Sprawdzałam ogłoszenia w gazecie, rozważając możliwość wynajęcia mieszkania w innym mieście. Ten odruch zachował się we mnie jeszcze z czasów, kiedy razem z ojcem oglądałam westerny w telewizji.

– To miasto jest za duże dla nas dwojga – mówiłam pod nosem, czytając oferty.

O moich planach na przyszłość, choć w mocno zawołowanej formie, wspominałam matce, zatajając jednak powody, które mnie do ich snucia skłoniły.

– Czas, żebyś zamieszkała oddzielnie – oświadczyłam.

Popijała drobnymi łyżkami herbatę i odpowiedziała dopiero, kiedy odstawiła filiżankę na spodek.

– Dlaczego miałabyś to robić, Helen? Nie sądzisz, że dobrze nam razem?

Byłam jedyną osobą, z którą od długiego czasu łączyła ją autentyczna więź. W niedzielę chodziła do kościoła, a raz czy dwa razy w tygodniu ktoś zapraszał ją do siebie na podwieczorek, lecz to były tylko rytuały odprawiane uroczyście jako namiastka prawdziwego życia. Bałam się, że w końcu upodobnię się do matki.

\*

W czwartek, kiedy mijał już drugi tydzień rozłąki, postanowiłam, że zjawię się u Isaaka z niezapowiedzianą wizytą. Zamierzałam popisać się dowcipem, rzucić coś

w rodzaju: „Jesteś głodny? Znam świetną restaurację, gdzie przyrządzają najlepsze omlety w całym mieście”. Roześmielibyśmy się i padli sobie w ramiona, a w ciągu następnych tygodni zdołalibyśmy jakoś obrócić zajście podczas lunchu w żart, aż stałoby się po prostu jedną z anegdot, które przypominają parom przewyciężone trudności i wspólnie przebytą drogę. Isaak nie dał mi jednak szansy się wykazać. W piątek rano, bez zapowiedzi, przyszedł do mnie do biura, a kiedy zobaczyłam, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami i wertuje kolorowe czasopismo sprzed dwóch lat, od razu się domyśliłam, że nie przypadkiem to on wykonał pierwszy ruch. Intuicja lub rozum mu podpowiedziały, że lada dzień zdobędę się na ten krok, a gdyby mnie nie uprzedził, układ sił w naszym związku zmieniłby się na moją korzyść.

Isaak nigdy nie budził we mnie lęku, lecz kiedy ujrzałam go tamtego ranka w biurze, uzmysłowiłam sobie, jak mało w gruncie rzeczy o nim wiem, i przez kilka sekund się zastanawiałam, czy nie odwrócić się na pięcie i nie uciec, nim ktokolwiek nas zobaczy. Wmawiałam sobie, że przejmuję się tym, co pomyślą sobie koledzy z pracy, gdy przyłapią nas w tej niezręcznej sytuacji; jakaś kryjąca się w tej logice racja pozwalała mi wierzyć, że to głównie z tego powodu z trudem powstrzymywałam się przed czmychnięciem z biura.

Usilnie starałam się stworzyć wrażenie, że nasze spotkanie odbywa się na gruncie czysto zawodowym.

– Przepraszam – powiedziałam. – Czy my byliśmy na dzisiaj umówieni?

Gdyby usłyszał mnie wtedy David, orzekłby, że jestem fatalną aktorką. Moja próba zdobycia się na obojętny ton pochodziła z oklepanego repertuaru zranionej kochanki, której roli tak bardzo się wystrzegałam.

– Bynajmniej – odparł Isaak. – Nie byliśmy umówieni. Przyszedłem z powodów osobistych.

Kto się dziś tak wyraża? Chciałam wrzeszczeć na niego tak długo, aż szczerze odpowie. Nie chodziło tylko o słowa, ale również o ton, jakim je wypowiadał. Jeśli przemawiał jak bohater powieści Dickensa, to dlatego, że jego zdaniem tak właśnie brzmiała poprawna angielszczyzna. Prawdziwym głosem zaczął mówić znacznie później, pod koniec wyznaczonego przez urząd pobytu. Zaczęło się od przejęzyczenia – zamiast „Helen” powiedział do mnie „kochanie”. „Kochanie, podejdź do mnie”, zawołał i wyciągnął ręce, wiedząc, że odpowiem na jego gest. Potem w ogóle przestał zwracać się do mnie po imieniu. Zamiast zapytać, czy zostanę u niego na noc, mówił po prostu: „I co teraz, kochanie?”, delikatnie ściskając mi dłoń albo wtulając się we mnie.

Lecz zanim do tego doszło, musiałam nabrać pewności, że to, co mówi Isaak, jest prawdą. Kiedy powiedział: „Przyszedłem, ponieważ niepokoiłem się o ciebie. Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku”, skupiałam się wyłącznie na słowach; mimo że powściągliwe, zdołały mnie poruszyć. Nie wyznał, że za mną tęskni ani że mu na mnie zależy; dopowiedziałam to za niego w myślach. Wytłumaczyłam sobie, że te słowa z pewnością dyktowało mu serce, ale zabrakło śmiałości.

– Cieszysz się z naszego spotkania? – zapytał. – A może nie powinienem był przychodzić?

– Oczywiście, że się cieszę – oświadczyłam.

I naprawdę tak było.

\*

Isaak nie zabawiał długo w biurze. Upewnił się, że nikt nie patrzy, i musnął ustami mój policzek. Szkoda, że nie miał ze sobą melonika, który mógłby założyć na odchodne; w sam raz pasowałyby do staroświeckiego stylu, w jakim się pogodziliśmy. Przez następne dwa tygodnie urywałam się wcześniej z pracy i jeździłam do niego do domu.

Na początku prawie nie rozmawialiśmy przed pójściem do łóżka. Za pierwszym i za drugim razem Isaak zachowywał się tak, jakby był zaskoczony odwiedzinami.

– Więc przyszłaś – stwierdził.

– Zabłądziłam w drodze do domu – odparłam.

– Chodź ze mną. Gdzieś w sypialni powinna być mapa.

Potrzebowaliśmy pretekstu. Jednego dnia była nim mapa; następnego dnia udawałam, że wpadłam na szklanke wody.

– Wody? – zdziwił się.

– Jutro wymyślę coś lepszego.

Nie wiedzieliśmy, jak układają się pęknięcia i szczeliny między nami, więc niewiele mówiliśmy, żeby na nie przypadkiem nie trafić. Kiedy docieraliśmy do sypialni, szybko rzucaliśmy ubrania. Pocałunki przychodziły nam na myśl później. Dopiero kiedy czułam go w sobie, uważałam, że mogę mu się przyjrzeć uważniej. Spędzaliśmy w łóżku długie godziny, ustalając bezpieczne tematy rozmów. Zасыпалиśmy, a kiedy jedno z nas się budziło, natychmiast wdrapywało się na drugie, niejako rozpaczliwie próbując przerobić jeszcze raz tę samą lekcję albo wkroczyć na zupełnie nowy obszar.

Wychodziłam z mieszkania Isaaka dobrze po północy, po sześciu, niekiedy ośmiu godzinach, wypowiedziawszy przez ten czas nie więcej niż kilkaset słów pozbawionych większego znaczenia. Po powrocie do domu, w drodze do sypialni stawałam przed drzwiami pokoju matki, które znajdowały się na końcu długiego korytarza nadal obwieszanego zdjęciami sprzed ponad dwudziestu lat. Jeszcze zanim rodzice się rozwiedli, jedyną rzeczą, która wskazywała na normalne pożycie małżeńskie, było to, że dzielili łóżko. Pamiętam, że jako dziecko przychodziłam do ich sypialni po to tylko, żeby się przekonać, że leżąc między nimi, czułam się jeszcze bardziej samotna niż w swoim pokoju.

Nie zatrzymywałam się pod drzwiami ich sypialni od czasu, kiedy jako nastolatka wykradałam się z domu. Przyciskałam ucho do drzwi i liczyłam do pięćdziesięciu; dopiero wtedy uznawałam, że droga wolna. Stopniowo skracałam odliczanie – najpierw do trzydziestu, a potem do dziesięciu, aż w końcu nabrałam pewności, że nigdy już nie usłyszę żadnych odgłosów dochodzących z tamtego pokoju.

Przez pięć pierwszych nocy, kiedy wracałam do domu od Isaaka, przyłapywałam się na tym, że lituję się nad matką z powodu zimnego i w gruncie rzeczy jałowego życia, jakie wiodła z ojcem. Wyobrażałam sobie, że w przyptywie serdeczności gramolę się do jej łóżka i przytulam do niej, żeby jej uświadomić, jakiej pociechy można zaznać, śpiąc w objęciach ukochanej osoby. Może gdybym się na to zdobyła, po mojej wyprowadzce pozostałby w jej sypialni jakiś ślad czułości.

Jak już mówiłam, takie myśli opadały mnie przez pięć pierwszych nocy. Za szóstym razem nie mogłam sobie nawet przypomnieć, co mną wcześniej powodowało. Wychodziłam z mieszkania Isaaka świadoma, że śpimy ze sobą nie po to, żeby się zbliżyć, lecz żeby ugasić pożądanie, bez którego nam obojgu, jak sądziliśmy, byłoby lepiej. Po orgazmie wciąż chciałam go czuć w sobie, a kiedy to się nie udawało, mówiłam: „Nie zasypiaj. Ja zaczekam”. Opuszczałam go w przekonaniu, że się

nasyciłam, lecz jeszcze w drodze do domu uświadamiałam sobie, że czuję pustkę większą niż przed spotkaniem.

Szóstej nocy, podobnie jak każdej kolejnej przez następny tydzień, znów zatrzymałam się przed sypialnią matki, ale tym razem nie powodowała mną litość. Stojąc pod drzwiami, miałam ochotę otworzyć je szeroko, poczekać, aż matka się obudzi, i opowiedzieć w najintymniejszych szczegółach o spędzonym z Isaakiem wieczorze, od chwili przekroczenia progu jego mieszkania i rozebrania się w sypialni aż do momentu, kiedy zostawiłam go śpiącego albo udającego, że śpi. A gdyby zapytała, dlaczego jej to wszystko opowiadam, oświadczyłabym: „Żebyś zobaczyła, jak bardzo jesteśmy do siebie podobne”.

## ISAAK

Nie minęło dużo czasu, gdy pod nasze drzewko na środku dziedzińca, gdzie wysiadaliśmy z Isaakiem, zaczęli zachodzić studenci. Jego znali jedynie z krążących pogłosek, a o mnie nie wiedzieli nic; mimo to fakt, że dzień w dzień obejmowaliśmy nasz posterunek na trawiastym placu, czynił z nas swojskie, dodające otuchy postaci, wokół których można było się gromadzić. Nie uprawialiśmy nachalnej polityki, a w porównaniu z innymi studentami, którzy zbierali się na dziedzińcu pod sztandarami z podobizną Lenina i mapami Afryki bez granic między państwami, wydawali się nieszkodliwi, wręcz niewinni. Jedynym znakiem, który nas wyróżniał, był plakat z napisem: „Jakie Zbrodnie Przeciwko Państwu dziś popełniłeś?”; Isaak codziennie przymocowywał go do drzewa.

Hasło to miało być niejako zaproszeniem skierowanym do braci studenckiej, żeby wzięła udział w naszej papierowej rewolucji, gdyż według Isaaka „każdy miał na sumieniu jakąś zbrodnię, którą powinien wyznać”.

Na przeciwległych krańcach dziedzińca usadowiły się zwalczające się obozy komunistycznych studentów. Codziennie rozwijali transparenty obwieszczające Ludową Rewolucję i Komunistyczną Utopię. Z tygodnia na tydzień rozstawiali coraz większe podobizny Marksa i Lenina. Głośno obrzucali się obelgami – rzadko kiedy po angielsku, w języku kapitalistycznych imperialistów.

– Wiesz, o co oni walczą? – zapytał Iszaak. – O to, czyja flaga jest większa.

Utrzymywał, że w odróżnieniu od innych radykałów i rewolucjonistów w kampusie on nie kieruje się niczym interesem.

– Stanowimy prawdziwą demokrację – mówił. – Papierowa rewolucja jest dla każdego.

Zakładałem, że nasza papierowa rewolucja popadła w zapomnienie, a zaimprovizowana przez Isaaka tablica to niezbyt udana próba przywrócenia przebrzmiałej chwały tamtego popołudnia. Jednak tego samego dnia, kiedy Iszaak wywiesił swoje hasło, zaczęli otaczać nas studenci. Nie miało znaczenia, czy kierowała nimi ciekawość, czy po prostu szukali rozrywki. Nawet ci, którzy o Isaaku nie słyszeli, robili to, co sobie życzyli: grali według jego zasad, dosiadali się do nas na trawie i zostawiali wystarczająco długo, żeby zdobyć się na wyznania.

Pierwsze zgłosiły się do Isaaka dwie dziewczyny, kuzynki, Vera i Nadiya. Ubrane były w podobne plisowane szare spódniczki, odważnie skrócone i kończące się dwa centymetry nad kolanami.

– Usiądźcie – nakazał i wyciągnął rękę w moim kierunku. – To mój przyjaciel, Langston, Profesor Poeta, przyszedł cesarz Etiopii. – Nie dając czasu na refleksję nad swoimi poczynaniami, zwrócił się do nich: – Słucham. Jakie zbrodnie przeciwko państwu dziś popełniłyście?

Dziewczyny nie należały do nieśmiałych, Iszaak również czuł się zupełnie swobodnie. To raczej ja w towarzystwie rówieśniczek miałem ochotę zapaść się pod ziemię.

Nadiya, błyskając zdrowymi bielutkimi zębami, odezwała się pierwsza.

– Czy przebywanie z wami stanowi przestępstwo? – zapytała.

Isaak się uśmiechnął.

– Zdecydowanie tak – odpowiedział.

Zwrócił się do jej kuzynki, która opierała się o nią ramieniem:

– A ty, skoro należysz do jej rodziny, też jesteś winna.

Dziewczyny się roześmiały. Przyszły dla zabawy, a Isaak je oczarował. I na tym poprzestał. Kiedy odegrały swoje role, zapytał, skąd pochodzą i co studiują. Obie urodziły się i dorastały w stolicy; obie studiowały ekonomię.

– Ekonomię? To świetnie – stwierdził, lecz dobrze wiedziałem, że tak jak ja, miał jedynie mgliste wyobrażenie, co to oznacza: pieniądze – kto był nadziany, a kto był golcem. Kiedy Vera i Nadiya odchodziły, Isaak kazał im pożegnać się z przyszłym cesarzem. Tylko Vera posłuchała.

– Do widzenia, Wasza Wysokość – powiedziała, zwracając się do mnie.

Nim zebrałem się w sobie, żeby odpowiedzieć, oddaliła się tak, że nawet by nie usłyszała. Isaak się przyglądał, kiedy odprowadzałem ją wzrokiem.

– Nie martw się. Jeszcze tu wróci – oświadczył.

Vera i Nadiya stanowiły zaledwie przedsmak tego, co miało nastąpić. Z dnia na dzień rosła liczba studentów, którzy zgłaszali się do Isaaka, żeby ich zapytał, jakie zbrodnie popełnili tego dnia. Jeden chłopak wyznał, że ukradł ojcu pieniądze, na co Isaak odrzekł:

– W tym kraju kradzież to nie przestępstwo. Natomiast nie kraść jest rzeczą straszną.

Ci, co siedzieli wystarczająco blisko, żeby usłyszeć jego słowa, roześmiali się ostentacyjnie. Kiedy zostaliśmy sami, Isaak zapytał szeptem:

– Widziałeś, kto śmiał się najgłośniej?

Nie widziałem i wątpię, że on widział, lecz i tak znałem odpowiedź.

– Chłopcy w wypucowanych butach – odparłem.

– Zgadza się. Same Alexy.

Jeśli studentom nic nie przychodziło na myśl, Isaak zmieniał nieco zasady gry. Podsuwał im zbrodnie, które mogli popełnić. Czerpał pełnymi garściami z nadawanych codziennie przez radio przemówień prezydenta, który w rozwlekłych tyradach od miesięcy grzmiał na wszystkich wrogów naszego państwa: od Europejczyków i Amerykanów po potajemnie z nimi współpracujących Afrykańczyków.

– Czy kiedykolwiek byłeś imperialistą? – pytał. – Czy kiedykolwiek próbowałeś skolonizować jakiś kraj? Czy słuchasz BBC? Czy wiesz, kto jest królową Anglii? Czy kiedykolwiek przyjaźniłeś się z Europejczykiem? Czy kiedykolwiek chciałeś pojechać do Ameryki?

W ciągu kilku tygodni na przesłuchania do Isaaka zgłosiły się setki studentów, a kilkudziesięciu z nich stawało się regularnie. Przeważnie zbieraliśmy się pod drzewem po prostu po to, żeby posiedzieć z innymi. Towarzystwo napełniało nas otuchą, a widok przyłączających się nowych kompanów w pewnej mierze cieszył. Bywały dni, że gromadziło się nas w sumie piętnastu, a nawet dwudziestu. Na ogół nie znaliśmy swoich imion, wieku czy powodu, dla którego razem siedzieliśmy, ale to nie przeszkadzało, ponieważ wspólne milczenie różni się od milczenia w pojedynkę. Ulatnia się wtedy smutek i osamotnienie, jakie ze sobą zwykle niesie. Zadowalało nas samo bycie tam i nawet gdyby nic więcej z tego nie wyniknęło, i tak zaliczyłbym te chwile do najcenniejszych doświadczeń w moim życiu.

\*

Gdy dzięki prowadzonym przez siebie przesłuchaniom Isaak zyskiwał sławę w kampusie, w mieście nasilały się protesty, które zrodziły się na początku semestru. Pewnego wieczoru po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że w jednej z dzielnic zamieszkałych przez biedotę, czterem żołnierzom, którzy się tam zjawili, żeby dokonać aresztowania, wciśnięto na ramiona stare opony. Żołnierze próbowali się oswobodzić, ale po kilku minutach ktoś oblał ich benzyną i podpalił. Podobno krzyki i smród palących się ciał odstraszyły wszystkich świadków. Żołnierze dogorywali prawie godzinę, lecz nikt nie napawał się ich udręką. Następnego dnia otoczono kordonem całą okolicę i uwięziono mieszkańców na dwadzieścia cztery godziny. Kilka dni później zastrzelono kilka osób, które podeszły zbyt blisko bramy pałacu prezydenckiego, rzekomo z zamiarem dokonania zamachu na głowę państwa. Dowodem na to miały być zeznania ich krewnych i znajomych, którzy grzecznie odegrali wyznaczoną im rolę, przyznając się do udziału w wymyślanym spisku. I chociaż w naszej dzielnicy panował względny spokój, wszyscy mieszkańcy również czuli się zagrożeni. Gdyby następnego dnia władze orzekły, że sąsiad, którego znasz od zawsze, próbował obalić rząd, nie pozostawałoby nic innego, jak powiedzieć: „Tak, od początku podejrzewałem, że jest do czegoś takiego zdolny”.

\*

Isaak i ja staraliśmy się nie zwracać uwagi na to, co się dookoła dzieje. Kiedy wracaliśmy z kampusu, zapytałem, co sądzi o podpaleniu żołnierzy, a on zamiast odpowiedzieć złapał mnie za nadgarstek i zapytał, jak mi idzie z Verą, która od czterech dni, w południe, przyłączała się do nas i spędzała z nami całą godzinę.

– Nie spieszy mi się – odparłem.

– To może spróbuj z Nadią.

Przez resztę drogi wymyślaliśmy niewybredne, dziecinne dowcipy o tym, co jest lepsze – wiara czy nadzieja. Właściwie z racji wieku nie powinniśmy byli zniżać się do tego rodzaju żartów, lecz w gruncie rzeczy byliśmy chłopakami ze wsi, niedojrzałymi, niemającymi pojęcia o miłości w jakiegokolwiek postaci. Nigdy nie rozmawialiśmy o wcześniejszych doświadczeniach z płcią przeciwną, nigdy nie wspominaliśmy, że mamy ochotę na seks, tak łatwo dostępny za pieniądze niemal w każdej dzielnicy miasta. Unikaliśmy takich tematów z tego samego powodu, z jakiego wystrzegaliśmy się rozmów o zabitych żołnierzach, uzbrojonych po zęby patrolach, ciężarówkach wypełnionych znudzonymi karabinierami, dzień w dzień, noc w noc tkwiących na obrzeżach wszystkich dzielnic nędzy w stolicy. Baliśmy się, co z tego wyniknie.

Na wzgórzu, na którym położony był uniwersytet, niewiele się zmieniło. W marcu Isaak zdjął z drzewa plakat.

– Myśle, że spełnił swoje zadanie – oświadczył.

Zdobył już sobie uznanie komunistów z obu obozów. Studenci pozdrawiali nas albo machali ręką, kiedy nas mijali. Gdy Isaak usunął z drzewa hasło, zapytałem, czy już wie, co będzie robił w najbliższej przyszłości.

– Wiem – odpowiedział. Oparł się o drzewo i skrzyżował nogi, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę. – Będę się tym cieszył, dopóki trwa.

\*

Godziny spędzane w kampusie wciąż jeszcze w nas żyły, kiedy na koniec dnia

wracaliśmy do siebie. Przez te długie tygodnie tylko gościliśmy w prawdziwym życiu niczym turyści i do tego nieudolni, celowo przymykający oko na tajniaków, którzy obserwowali okoliczne domy z notatnikami w rękę, głusi na rozlegające się wieczorami krzyki. Wiedziałem, że ten stan rzeczy wkrótce się zmieni. Pewnego wieczoru do klitki, w której mieszkałem, przyszedł Thomas, mój gospodarz, i kazał uważać w nocy, zwłaszcza w porze snu. „Odпочywasz w ciągu dnia, powiedział. W nocy miej oczy otwarte. Każdemu to powtarzam”. Lecz ja się domyślałem, że martwi się przede wszystkim o mnie. Byłem cudzoziemcem. Nie łączyły mnie z tutejszymi plemionami żadne więzi. Popołudniami wylegiwałem się beztrosko na trawie z Isaakiem, a po nocach się zadreślałem. W czasie zamieszek zwykle najbardziej cierpią osoby postronne i choć nigdy nie przyznałem się do mych obaw Isaakowi, przerażała mnie myśl, że ktoś może uznać, że gdyby coś mnie spotkało, gdybym nagle zniknął, został zabity czy ranny, nie byłoby kogo pociągnąć do odpowiedzialności. Wyobrażałem sobie, jak moi sąsiedzi i Thomas – który po pijanemu się zarzekał, że jestem dla niego jak rodzony syn, mimo że tak niewiele o sobie wiedzieliśmy – wskazują palcami moją klitkę i mówią: „Jego zabierzcie. To on wywołał te rozruchy. I nikt się o niego nie upomni”.

Jak się okazało, Isaak pierwszy został wyrzucony na ulicę. Niedługo po incydencie spalenia żołnierzy znajomi jego ojca, u których mieszkał kątem, oświadczyli, że nie mogą dłużej udzielać mu gościny.

– Stwierdzili, że nie ma u nich miejsca dla dodatkowego domownika – powiedział, gdy zjawił się późną porą w poszukiwaniu kąta do spania i zapukał w ścianę mego pokoju. Była noc i przezornie nie wdawał się w szczegóły, gdyż ktoś mógł podsłuchiwać albo ja mogłem się okazać strachliwym dudkiem.

Umościł sobie na podłodze posłanie z ubrań, które przyniósł. W kampusie jeden z nas często ucinął sobie półgodzinną drzemkę, podczas gdy drugi miał oko na wszystko; przeważnie to ja zasypiałem, a Isaak czuwał. Takie drzemki zapewniały mi wtedy najlepszy wypoczynek, ponieważ spanie w ciągu dnia było bezpieczniejsze, poza tym wiedziałem, że obok jest Isaak, a on nie zostawi mnie śpiącego. Przekręciłem się na bok, żeby popatrzeć na zarys jego postaci na podłodze.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedział. – Nie martw się. Nic się już dziś nie wydarzy. Prześpij się trochę.

Starłem się, żeby w moim głosie brzmiała taka pewność jak w głosie Isaaka.

– Nie martwię się – odparłem, lecz było jasne, że się boję; zresztą lęk nie odstępował mnie od wielu dni.

– Przecież jesteś cesarzem – oświadczył Isaak. – Królem królów. Nie może cię spotkać nic złego.

Słuchałem, jak oddycha. Zacząłem liczyć jego oddechy. Wątpię, czy doszedłem do stu, nim zasnęłam. Kiedy obudziłem się późnym rankiem, Isaaka już nie było.

\*

Tego dnia wszystkie poranne gazety zamieściły komunikat ostrzegający ludność przed gromadzeniem się w miejscach publicznych. Zajmował poczesne miejsce na pierwszej stronie, opatrzony nagłówkiem w stylu „Rząd ostrzega przed rosnącym zagrożeniem związanym z publicznymi zgromadzeniami”. Zagrożenie nie zostało nazwane wprost, lecz w razie gdyby czytelnikom umknęła prawdziwa wymowa tej wiadomości, dołączono wypowiedź jednego z dowódców wojskowych: „Z uwagi na



zaostrzone środki bezpieczeństwa radzimy nie ruszać się z domu wszelkim wichrycielom zakłócającym porządek i spokój w naszym mieście”. Gdyby artykuł podawał znane autorom fakty, na przykład: „Zaplanowano masowe aresztowania i tortury” czy nakazywał wprost: „Wynoście się, póki można”, oszczędzono by mnóstwo czasu i wiele istnień ludzkich. A tak ulice i place zaczęły pustoszeć dopiero po kilku dniach represji i aresztowań na chybił trafił, których ofiarą padali młodzi mężczyźni w całej stolicy. Pod koniec tygodnia wszystkie przyjęcia weselne odbywały się pod dachem; pola, na których grywano w piłkę, tchnęły pustką; zmarłych nie odprowadzał już na miejsce pochówku długi kondukt żałobników publicznie wyrażających żal i rozdzierających szaty.

\*

Kiedy Isaak znów pojawił się w kampusie, zapytałem, gdzie obecnie mieszka. Odparł, że zatrzymał się u kogoś na drugim końcu miasta i mam się o niego nie martwić. „Przyjaciele udzielili mi schronienia”, oświadczył.

\*

Codziennie szedłem do kampusu, żeby spotkać się z Isaakiem, lecz również po to, żeby zaznać wytchnienia, pospacerować, posiedzieć, poczytać bez strachu. Wiedziałem, że ten stan rzeczy długo się nie utrzyma; pętla zarzucona na miasto zacieśniała się i w końcu obejmie też położony na wzgórzu uniwersytet, niezależnie od tego, ile ministerialnych dzieci tam studiuje. Jestem pewny, że Isaak również zdawał sobie z tego sprawę i się domyślał, dlatego po opublikowaniu w gazetach rządowego ostrzeżenia rosła liczba zbierających się wokół niego studentów. Policjanci patrolujący kampus zwrócili uwagę na nasze coraz liczniejsze szeregi i zaczęli kręcić się w pobliżu. Wyglądali na lekko wystraszonych i przyglądali się podejrzliwie, krążąc wokół nas z pałkami przewieszonymi przez ramię. Ktoś z naszego kręgu stwierdził głośno, tak żeby słyszeli również stojący w pobliżu funkcjonariusze: „Nikt nie jest tak niespokojny jak tracąca grunt pod nogami władza”.

Nasza gromadka została rozpedzona pewnego piątkowego popołudnia na początku kwietnia, kiedy skończyły się zajęcia na uczelni. W tamten piątek zebrało się wokół nas nie więcej studentów niż przed tygodniem; było nas w sumie ze dwudziestu, najwyżej trzydziestu. Jediną różnicę stanowiło to, że zbiliśmy się ciasniej. Kiedy tuż obok wyrosło czterech strażników w wyświechtanych granatowych mundurach, którzy wymachiwali wysłużonymi drewnianymi pałkami, mniej więcej po minucie pomyśleliśmy, że trzeba uciekać. W ciasnym, zwartym kręgu czuliśmy się bezpiecznie i niechętnie ruszyliśmy się z miejsc.

Dopiero kiedy strażnicy nabrali pewności, że skupili na sobie naszą uwagę, zaczęli okładać nas pałkami. Trzeba im oddać, że mierzyli w miejsca osłonięte grubszą warstwą mięśni i tłuszczu i starali się oszczędzać dziewczyny, które z nami były. Wystarczy wyobrazić sobie cztery rozgniewane matki próbujące opanować sferę rozbrykanych uczniów, żeby mieć pojęcie o tym, jak przebiegało całe zajście. Rozpierzchliśmy się na wszystkie strony, lecz co chwila ktoś zawracał, żeby podnieść zostawioną na trawie książkę albo żeby złapać za rękę towarzysza i zaciągnąć w bezpieczne miejsce – gdzieś, gdzie nie będą spadać na jego plecy razy zadawane leniwie przez strażnika.

Jedynym spośród nas, który nie uciekał, był Isaak. Widziałem, jak stoi swobodnie, nie próbując się nawet zasłaniać. Dopiero po kilku minutach dostrzegł go jeden ze strażników. W tej pozie, z rękami założonymi na piersi i lekko rozstawionymi nogami, Isaak stanowił uosobienie przekory. Zaraz rozłupią mu czaszkę, pomyślałem. Chwilę potem usłyszałem trzask drewna uderzającego o kość.

\*

Strażnicy zostawili go tam, gdzie upadł. Kiedy po mniej więcej dziesięciu minutach przybiegłem z powrotem na dziedziniec, Isaaka nie było. Podeszedłem do drzewa, pod którym widziałem go po raz ostatni, i szukałem na ziemi jakiegoś dowodu na to, że naprawdę tam był – odcisniętego w trawie zarysu ciała, śladów krwi – lecz nic nie znalazłem. Odczekałem godzinę, potem drugą, choć dobrze wiedziałem, że nie wróci. Tak bardzo chciałem, żeby zobaczył, że tym razem go nie porzuciłem. Wprawdzie nie wytrzymałem wraz z nim na placu boju, ale podjąłem się samotnego czuwania po bitwie.

\*

Co noc, leżąc w swojej klitce, nasłuchiwałem pukania do okna; przygarnąłbym Isaaka bez wahania, lecz jednocześnie bałem się, że o to poprosi. W mieście wciąż przybywało nowych punktów kontrolnych; w ciągu ostatnich kilku dni, by przedostać się przez skupiska chat otaczające naszą i dwie inne przyległe dzielnice, trzeba było okazać dowód tożsamości. Przy każdej drodze, z wyjątkiem nieuczęszczanych ścieżek wiodących przez niedopalone sterty śmieci i otwarte doły kłoczne, w końcu został postawiony posterunek; młodzi mężczyźni zapisywali w notatnikach nazwiska i zawody wszystkich przechodniów. Wcześniej biurokracja w tym kraju nigdy nie działała jak należy. Całe lata zajmowało tej powolnej machinie wydanie aktu urodzenia, prawa jazdy czy paszportu. Łatwo można było roztopić się w mieście, które rozrosło się ponad miarę i pękało w szwach. Codzienna rejestracja nazwisk wszystkich przekraczających punkty kontrolne oznaczała kres tej epoki.

\*

Zakładałem, że Isaak celowo się ze mną nie kontaktował. Wyobrażałem sobie, jak dochodzi do siebie na łóżku w cudzym mieszkaniu, a potem wybiera się do naszej dzielnicy, widzi porozstawiane wszędzie posterunki i niebieskoszare mundury straży prezydenckiej. Odwraca głowę, żeby ukryć sińce na twarzy, i kieruje się coraz dalej na północ; mija ostatnie slumsy i dociera na niemal wyludniony skraj miasta, gdzie jeszcze kilka lat temu była wioska z tuzinem chat krytych strzechą. Zdawałem sobie sprawę, że skoro tak uparcie chcę w to wierzyć, to bez trudu mogę sobie wyobrazić, że Isaak idzie jeszcze dalej, zostawia za sobą stolicę i zatrzymuje się dopiero tam, gdzie nie sięga władza prezydenta w jakiejś zapadłej wsi, niemal niezmienionej pod brytyjskim panowaniem, i w ogóle nietkniętej przez nowy rząd. Byłbym oszustem, gdybym przemilczał to, że łudziłem się, że tak właśnie postąpił dla swojego i mojego dobra. Kiedy mijały kolejne dni, a on się nie odzywał, powoli zacząłem nabierać przekonania, że go straciłem. Nie miałem serca ani odwagi, żeby wyobrazić sobie Isaaka za kratami, a tym bardziej martwego. Uznałem go po prostu za zaginionego; jeden spośród milionów ludzi na całym świecie, którzy pewnego dnia zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach i dlatego wciąż można wypatrywać ich powrotu.

\*

Kiedy po tygodniu zaszedłem na uniwersytet, od razu zrozumiałem, że dni transparentów, plakatów i przemówień minęły bezpowrotnie. Jak tylko przeszedłem przez żelazną bramę i ujrzałem setkę zbitych w ciasną gromadę studentów siedzących w tym samym miejscu, gdzie Isaak i ja spędzaliśmy nieraz całe dni tylko we dwóch, zdałem sobie sprawę, że z dawnego kampusu pozostały już tylko budynki. Studenci wywalczyli sobie ten skrawek ziemi, a zwarty szyk ściśniętych ciał świadczył o determinacji, z jaką gotowi byli go bronić. Na skraju tego zbiorowiska coś się tliło, choć z miejsca, gdzie stałem, nie sposób było dostrzec, co tam się wcześniej paliło. Na dziedzińcu roiło się od żołnierzy i policjantów i trudno mi było rozeznaczyć w sytuacji. Zdawałem sobie sprawę, że dla własnego dobra powinienem zawrócić i opuścić kampus; to nie była moja bitwa i nie z jej powodu się tu znalazłem. Lecz gdybym odszedł, nie zdołałbym potwierdzić podejrzeń, jakie nurtowało mnie od chwili, kiedy wkroczyłem na teren uniwersytetu: że gdzieś w tej gęstej ciżbie, nie na obrzeżach, lecz zapewne w samym jej środku, dostrzegę Isaaka – uśmiechniętego, z wniebowziętą miną.

## HELEN

Nie wiedziałam, jak długo jeszcze Isaak i ja będziemy w stanie sypiać ze sobą, niemal w ogóle się do siebie nie odzywając. Milczenie wydawało się na początku najłatwiejszym sposobem na uniknięcie kolejnych przykrości, lecz wkrótce samo w sobie stało się dla nas źródłem udreki. Gdy pytałam, jak minął dzień, odpowiedź Isaaka nigdy nie wykraczała poza pięć słów: „Całkiem dobrze”, „Tak sobie”, „Prawie przez cały dzień czytałem”. Ja z kolei wypełniałam luki błahymi opowiastkami o tym, co przydarzyło mi się tego dnia – o pracowniku stacji benzynowej, który napełniał bak piętnaście minut, o toczącej się w biurze ciągłej wojnie podjazdowej między Denise i Davidem – mimo że tak naprawdę chciałam zapytać: „O czym teraz myślisz? Co ci chodzi po głowie, kiedy pojawia się u ciebie co wieczór?”. Za bardzo bałam się odpowiedzi. Isaak miał dobre serce i nie posunąłby się do słownego okrucieństwa, obawiałam się raczej, że po prostu zbędzie te indagacje milczeniem. Dostrzegałam nasze tchórzostwo, lecz nie miałam pojęcia, jak to wszystko zakończyć.

W pracy unikałam Davida jak ognia: zauważyłby podkrążone oczy i bez trudu wyciągnąłby ze mnie prawdę. Dlatego przyjeżdżałam do biura nieco później niż zwykle – wiedziałam, że o tej porze David zamykał się w swoim gabinecie i nie wychylał z niego nosa – a urywałam się wczesnym popołudniem, jako powód podając wizyty domowe. Objężdżałam peryferia miasta, mijając okolice, w których mieszkało sporo moich podopiecznych i gdzie mieszkał również Isaak. Zatrzymywałam się w pobliżu kościołów, placów zabaw i zasypiałam w samochodzie ze szczelnie zasuniętymi szybami, zamknięta od środka. Lawirowałam tak z powodzeniem cały tydzień, potem znalazłam na biurku kartkę od Davida, na której widniały słowa: „Widzimy się”, oraz strzałka wskazująca jego gabinet. Sharon i Denise wyszły już do domu i w innych okolicznościach cieszyłabym się, że zostaliśmy tylko we dwójkę. Zazwyczaj David wyłaniał się wtedy ze swej kryjówki, wytaczaliśmy na środek pokoju dwa krzesła na kółkach i zdawaliśmy sobie relację z nieustannie kurczących się obszarów naszego życia niezwiązanych z pracą. David przyjechał na studia z jeszcze mniejszego miasteczka położonego na najbardziej wysuniętym na południe krańcu stanu i, w przeciwieństwie do większości przyjezdnych, osiadł tu na stałe. Połączyło nas poczucie, że utkwiliśmy w pułapce.

– Wtedy było to największe miasto, jakie w życiu widziałem – wyznał kiedyś. – Bałem się przyjazdu tutaj... Tylu ludzi, a krów niemal wcale... Nie sądziłem, że do tego przywyknę. A potem się bałem, co się ze mną stanie, jeśli stąd wyjadę.

Od tego czasu minęło osiemnaście lat. David kupił dom niedaleko uniwersytetu. Dzięki jego staraniom z roku na rok dom wyglądał coraz ładniej. David zeszkrobał starą farbę i pomalował na nowo elewację, opatrzył frontowe drzwi dużą mosiężną klamką, wymienił tralki na werandzie i posadził od ulicy żywopłot, zagospodarował puste dotąd pole. Takie zabiegi ze strony starego kawalera musiały wzbudzać domysły. Docierały do mnie różne plotki, do Davida również. Nieraz żartowaliśmy, że się pobierzemy.

– Moja matka byłaby wreszcie szczęśliwa – mówiłam.

– A moja umarłaby pewnie na zawał. Ulga, że wreszcie się ustatkowałam, byłaby ponad jej siły.

– Musiałabym rzucić pracę.

– Nie, nie, nie – tłumaczył David, kręcąc głową. – Mogłabyś przyjeżdżać do biura. Dzięki temu nie musielibyśmy rozmawiać ze sobą w domu jak stare małżeństwo.

Kiedy weszłam do jego gabinetu, odkładał słuchawkę. Na zdjęciach ze studiów wyglądał jak chudzielec, można by wręcz podejrzewać, że nie dojadał. W pracy nabrał ciała. Odkąd został szefem, niemal nie ruszał się z biura. „Na tej posadce obrastam w tłuszcz”, mawiał; ledwo mieścił się wygodnie za biurkiem. Jego tusza była niczym kokon, z którego, jak sobie wyobrażałam, pewnego dnia miał się wyswobodzić.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć – powiedziałam.

David wzruszył ramionami.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Przyłożyłam sobie do czoła kartkę, którą zostawił mi na biurku, i przyklepałam dłońią.

– Szósty zmysł – odparłam.

Podrapał się po głowie. Popatrzył w sufit.

– Przypomniałem sobie – powiedział. – Chciałem cię zapytać, czy zamierzasz wrócić do pracy.

– Przecież jestem tu codziennie – odparłam.

David wbił wzrok w krawat.

– Wczoraj po południu widziałem cię śpiącą w samochodzie. Wyszłaś z biura roztargniona, nawet mnie nie zauważyłaś, więc postanowiłem za tobą pojechać. Myślałem, że wybierasz się na spotkanie z tym twoim Dickensem, ale zjechałaś na pobocze i przysnęłaś. Obserwowałem cię z samochodu ponad godzinę. Bałem się, że ktoś cię napadnie. To niezbyt bezpieczna okolica, zwłaszcza dla śpiącej w samochodzie kobiety.

Byłam zbyt zawstydzona, żeby się gniewać. Już miałam przeprosić za swoje zachowanie, a to bez wątpienia pociągnęłoby za sobą wyznanie całej prawdy o stosunkach łączących mnie z Isaakiem, lecz nurtowała mnie jedna kwestia.

– Dlaczego za mną pojechałeś?

– Przecież ci powiedziałem – odparł.

– Bynajmniej. Myślałeś, że jadę odwiedzić Isaaka. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego mnie śledziłeś.

W końcu podniósł wzrok. Przyłapałam go na czymś ważniejszym niż kłamstwo.

– Dlaczego cię śledziłem?

Powtórzył to pytanie, lecz tym razem skierował je do siebie. Wydawało mi się, że przez twarz przemknął mu znaczący uśmiezek, kiedy próbował sobie odpowiedzieć.

– Dlaczego cię śledziłem? Ze wszystkich ludzi, Helen, ty jedna powinnaś domyśleć się odpowiedzi – stwierdził.

\*

David i ja odbyliśmy tę rozmowę w piątek. Nim się rozstaliśmy, obiecałam, że postaram się już nie znikać tak z biura. Pocałował mnie w czoło na pożegnanie.

– Tylko nie staraj się za bardzo – powiedział.

Ani tego wieczoru, ani w trakcie weekendu nie zajrzałam do Isaaka.

W poniedziałek przyjechałam do pracy wcześniej i pierwsze cztery godziny spędziłam przyklejona do słuchawki telefonu, sprawdzając, jak się mają moi podopieczni. Przez następne trzy godziny pisałam sprawozdania z przeprowadzonych rozmów. Wyszłam z biura godzinę przed czasem. Wcześniej jednak zapukałam do drzwi gabinetu Davida.

– Żebyś znów sobie czegoś nie pomyślał, informuję, że wychodzę wcześniej.

Gdybyś miał ochotę mnie śledzić, jadę odwiedzić pana Dickensa.

Sporządziłam dla Isaaka listę zasad i żądań, z których tak naprawdę liczyło się tylko jedno: mieliśmy ze sobą rozmawiać i to nie tylko o błahych, codziennych sprawach – chodziło mi o rozmowy z prawdziwego zdarzenia, głębokie i odkrywcz. Nim zadzwoniłam do drzwi, przyrzekłam sobie w duchu, że nie zabawię u niego długo, jeśli nie powiemy sobie czegoś istotnego. Zadzwoniłam dwukrotnie. Po kilku minutach nabrałam pewności, że nie ma go w domu. Ta sama sytuacja powtórzyła się następnego dnia. Dzień później zaczęłam się obawiać, że Isaak już nigdy nie wróci. Jeśli żyje i nie został ranny – pomyślałam – mogłoby to okazać się dla mnie szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Rzadko uprzedzałam Isaaka telefonicznie o swoich odwiedzinach. Miałam własny komplet kluczy do jego mieszkania na wypadek, gdyby zatrzasnęły się drzwi i Isaak nie mógł dostać się do środka, lecz do tej pory z nich nie korzystałam. Następnym razem pojechałam do niego w czwartek kilka minut po szóstej. Paliły się już uliczne latarnie. Nie liczyłam na to, że mi otworzy, zapukałam do drzwi z czystej przyzwoitości; wiedziałam, że nie ma go w domu. Uznałam, że nawet jeśli się ma klucze do czyjegoś domu, niegrzecznie jest wchodzić bez pukania. Oczywiście nikt nie otworzył; przycisnęłam ucho do drzwi, ale z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy. Wyjęłam klucze i rozmyślnie gmerałam nimi w zamku przez dobrą minutę na wypadek, gdyby jednak Isaak był w środku i nie usłyszał pukania.

Po wejściu długo zamykałam drzwi. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Isaak przygląda mi się z ukrycia, wystawiając na próbę moją lojalność wobec przyjętych przez nas zasad postępowania. Nalałam sobie szklankę wody i wypiłam na stojąco w kuchni. Poszłam do sypialni i mimo że Isaaka nie było, rozebrałam się, położyłam do łóżka i przykryłam kołdrą. W tym łóżku spędziłam wiele godzin, lecz nigdy nie zdarzyło mi się w nim zasnąć. Raz czy dwa zapadłam w półsen, dalej świadoma tego, gdzie się znajduję i kto leży obok. W stanie skrajnego zmęczenia odpędzałam sen, wyszukując najrozmaitsze powody do zmartwienia. Wyobrażałam sobie, że zaszłam w ciążę, zastanawiałam się, co by się stało, gdyby jakiś znajomy przejeżdżał ulicą i zobaczył mój zaparkowany samochód. A co, myślałam, gdyby w budynku wybuchł nagle pożar i musiałabym uciekać prawie naga? Jeśli coś nie pozwalało mi tam zasnąć, to właśnie niedorzeczna rozkosz, jaką sprawiało snucie przeróżnych scenariuszy, w których moje dotychczasowe życie rozsypuje się w drobny mak.

Cudownie było mi samej w łóżku Isaaka. Z pościeli unosiła się nikła woń oliwki dziecięcej, którą zawsze nacierał się po wyjściu spod prysznic. Leżałam na brzuchu z wyciągniętymi rękami, muskając palcem wykładzinę na podłodze. Pragnęłam, żeby to uczucie błogości nigdy mnie nie odstępowało. Jakże miły wydawał się czas spędzony z Isaakiem, gdy towarzyszył mi tylko jego duch. Pamiętam, jak pomyślałam, że gdyby umarł lub nigdy więcej się nie pokazał, pewnie nauczyłabym się darzyć go głębszym uczuciem, niż gdyby wtedy wszedł do mieszkania i został już na zawsze. Byłam zmęczona. Od dwóch tygodni przesyślałam w nocy nie więcej niż pięć godzin. Z lubością zamknęłam oczy i zapadłam w sen.

Kiedy obudziłam się kilka godzin później, mieszkanie tonęło w mroku – zasłony w sypialni były zaciągnięte, do środka nie wpadało nawet światło latarni. Było już po północy; o tej porze zwykle wracałam do siebie. Bardziej niż nieobecnością Isaaka przejmowałam się tym, że się u niego zasiedziałam. Wiedziałam, że jego życie jest pełne

tajemnic, począwszy od wizy, dzięki której tutaj trafił, więc należało po prostu założyć, że nagłe zniknięcie to kolejny sekret, który prawdopodobnie pozostanie dla mnie na zawsze nieodgadniony. Powab tej tajemniczości silnie na mnie działał, nie musiałam nawet wymyślać żadnych niewiarygodnych historii. Przy cudach na miarę naszej małomiasteczkowej rzeczywistości posiadacz wielokrotnie ostemplowanego paszportu jawił się jako ktoś nadzwyczajny, a pod tym względem Isaak zasługiwał na szczególny podziw. Im więcej sekretów mogłam mu przypisać, tym bardziej stawał się niezwykle w moich oczach. Kiedy David zapytał mnie później, czy nigdy nie miałam wątpliwości, że Isaak jest naprawdę tym, za kogo się podaje, odparłam, że owszem, miałam, przez cały czas, lecz za wszelką cenę starałam się je zachować dla siebie. Nic tak mnie nie mierziło, jak perspektywa poznania pospolitej prawdy; na przykład odkrycie, że jest zwykłym studentem, który przyjechał do Ameryki w ramach wymiany. Pragnęłam oderwać go od znanego mi życia na tak długo, jak to tylko możliwe. Dzięki temu łatwiej było mi znosić, nawet jeśli nie wybaczać, niemal wszystko, co robił.

Następnego dnia po wyjściu z biura pojechałam prosto do mieszkania Isaaka. Spodziewałam się, że go nie zastanę, lecz i tak czułam niepokój. Wiedziałam, że mogę zrobić wszystko, na co przyjdzie mi ochota. Mogę przetrząsnąć wszystkie szafy i szuflady i tym razem jedynym powodem do obaw, jeśli w ogóle czegoś się lękałam, była pewność, że się do tego posunę.

Zaraz po wejściu do mieszkania poczułam, że Isaak przepadł na dobre. Choć nie sądziłam, że nie żyje, ślady jego obecności wydawały się tak ulotne, jakby odszedł z tego świata. Nie obowiązywały mnie w tej sytuacji żadne zasady i trochę żałowałam, że nie zabrałam ze sobą ubrania na zmianę, na wypadek gdybym chciała zostać tu na noc.

Obeszłam niespiesznie kuchnię i salon, wodząc palcem po blacie stołu i ławy w poszukiwaniu kurzu. Mieszkanie Isaaka zawsze lśniło czystością. Ilekroć się w nim pojawiałam, wydawało się nieskazitelne, jakby od czasu mojej ostatniej wizyty nikt niczego tu nie dotykał. W kuchni Isaak utrzymywał porządek, jakiego nie powstydziliby się nawet moja matka: ani śladu kurzu, ani najdrobniejszej plamki tłuszczu na blatach, w zlewie czy na kuchence. Nie podobało mi się to. Im dłużej przebywałam w jego kuchni, tym bardziej czułam się nieswojo. Miałam wrażenie, że kalam ją odciskami palców, kurzem i brudem wniesionym na ubraniu i torebce. Może celowo, a może i nie, Isaak doprowadził do tego, że w tym mieszkaniu nie dało się żyć. Wspólnie wypełniliśmy wnętrza – szarą sofą i małym telewizorem, naczyniami kuchennymi i sztuczkami, lampami stojącymi – lecz mimo to mieszkanie ziało jeszcze większą pustką, niż gdyby były w nim gołe ściany i podłogi.

Życie! Oto, czego tu brakowało. O życiu świadczą zazwyczaj wyraźne ślady, takie jak obrazy na ścianach, sterty nieotwartych kopert z reklamami, pojedyncza skarpetka pod łóżkiem, obcięte paznokcie na podłodze w łazience, w zlewie zacieki po płynie do zmywania, zaczątki pleśni na zasłonie prysznicowej. Zakładałam, że przetrząsnę mieszkanie i dowiem się czegoś więcej o Isaaku, lecz wyszło na to, że godzinę chodziłam, szukając dowodów na jego istnienie. Jakie wyniki przyniosły moje poszukiwania? Odkryłam opakowanie jajek i kostkę masła w lodówce; list, który Isaak zaczął pisać miesiąc wcześniej, lecz poprzestał na dacie i słowach „Mój drogi przyjacielu”, zawieruszony za zagłówkiem łóżka; butelkę oliwki dla dzieci i dwie rolki nienapoczętego papieru toaletowego w łazience. Pomyślałam, że może Isaak celowo pozacierał ślady swojej obecności, wiedząc, że nigdy tu nie wróci, lecz to by oznaczało,

że w ogóle miał co zacierać; nikt, kto zobaczyłby to mieszkanie, nie uwierzyłby, że niedawno przez cztery miesiące ktoś w nim mieszkał.

To mieszkanie było jedyną rzeczą, jaka łączyła mnie z Isaakiem. Bijąca z niego pustka miała osobistą wymowę. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, jak Isaak zaraz po moim wyjściu skrzętnie usuwa wszelkie zostawione przeze mnie ślady.

Nim zrozumiałam w pełni powody, dla których nie chciałam pójść w ślady matki, świetnej kucharki, rozmyślnie robiłam z siebie niezdarę w kuchni. Przypalałam wszystkie dania, których matka kazał mi pilnować, niby niechcący tłukłam talerze i szklanki. Lekceważyłam domowe obowiązki, tak dla niej istotne, ponieważ stanowiły jedyny obszar w jej życiu, nad którym mogła panować. Intuicyjny bunt nastolatki stał się drugą naturą kobiety dorosłej; wszystko, czego się tknęłam w kuchni, z góry skazane było na porażkę. Nigdy nie gotowałam ani nie jadłam w mieszkaniu Isaaka, lecz nagle poczułam nieodpartą chęć, żeby to zrobić. Nie chodziło mi o to, żeby zaznaczyć swoją obecność, lecz żeby zostawić tu jakiś ślad, którego tak łatwo nie da się zetrzeć. Wyjęłam z lodówki jajka w nadziei, że choć raz uda mi się ich nie przypalić. Wbiłam je do miski, a potem wylałam kawałki skorupki, co zajęło dobrych kilka minut. Próbowałam roztrzepać jajka, przechylając miskę tak, jak pokazywała mi matka, lecz zabrałam się do tego zbyt energicznie. Zanim skończyłam, na podłodze i na mojej koszuli zdążyła wylądować taka ilość żółtka, jaka odpowiada zawartości jednego jajka. Nieco mi ulżyło na widok tego bałaganu. Bez bałaganu nie ma życia, stwierdziłam. Ktoś powinien wymyśleć naklejkę z napisem: „Nie przeżyjesz życia, nie rozbijając jajek” albo: „Nie przejmuj się żółtkiem na podłodze”. I jeszcze jedną specjalnie dla Isaaka: „Nie samymi jajkami człowiek żyje”.

Choć z początku kierowała mną zwykła brawura, w końcu postanowiłam przyrządzić coś, co będzie przypominało prawdziwy posiłek. Usmażyłam trzy porcje jajeczniczy, nie oszczędzając masła, dzięki czemu jajecznicza nabrała jasnożółtego koloru, takiego, jaki doskonale nadawałby się na ściany kuchenne. Przełożyłam gotowe danie do drewnianej salaterki, za którą zapłaciłam dwadzieścia pięć centów. Pomyślałam, że brązowy i jasnożółty będą do siebie pasować i miałam rację: obie barwy tworzyły dobraną parę. Ustawiłam salaterkę na środku stołu w jadalni i cofnęłam się kilka kroków, żeby ocenić efekt. Nie miałam zamiaru jeść tej jajeczniczy; nie znosiłam jajek. Interesowało mnie wyłącznie to, jak się prezentuje i w jaki sposób wpływa na wygląd pokoju. Z salaterki unosiła się para. Spoglądałam na swoje dzieło z pewnym uznaniem – dodawało wnętrzu domowego uroku – lecz całość nie do końca mnie zadowalała.

Nakryłam stół dla dwóch osób tak, jak umiałam najlepiej, ułożyłam noże i widelce po bokach talerzy, a za nimi, z prawej strony, postawiłam szklanki. W dzieciństwie zabawa w dom w ogóle mnie nie pociągała – matka oddawała się jej za nas obie – lecz teraz, kiedy przypadła kolej na mnie, byłam zdziwiona, że sprawia mi to tyle przyjemności. Podobne uczucie triumfu, jestem pewna, przepełniłoby mnie, gdybym zbudowała sobie drewniany domek w środku lasu. Nakryty stół i salaterka z jajecznicą wniosły życie do tego mieszkania; nieważne, że tylko na chwilę. Skoro udało mi się raz, byłam przekonana, że gdy Isaak wróci, w odpowiedniej chwili dokonam tego ponownie.

\*

Od tamtej nocy zmienił się mój stosunek do pracy. Byłam pracownicą społeczną, lecz od lat nie myślałam o sobie w takich kategoriach. Gdybym miała nazwać rzecz po imieniu, powiedziałabym, że jestem raczej kimś w rodzaju pielęgniarki: opatruję



krwawiące dusze i złamane serca. Życie, które legło w gruzach lub tak naprawdę jeszcze się nie rozpoczęło, wymagało natychmiastowego leczenia i tym właśnie się zajmowałam. Wyszukiwałam emerytom najtańsze domy pogodnej starości, załatwiałam kartki na bezpłatne obiady, czasem również dopłaty do czynszu kobietom, które umiały mnie przekonać, że one i ich dzieci nie mają co włożyć do ust ani gdzie się podziąć. Weterani, którzy niedawno wrócili z frontu, oficjalnie przydzielani byli pod opiekę Davidowi – jedyńemu facetowi w biurze – lecz po tym, jak dwóch żołnierzy go wyśmiało (nie chciał powiedzieć dlaczego), wymawiał się brakiem czasu i sił dla takich ciężkich przypadków, więc weterani przeważnie przypadali mi; organizowałam im wycieczki do kina, dowoziłam do szpitala tych, którzy poruszali się na wózku. Wiedziałam, że ludzi, którzy do mnie trafiali, życie nie rozpieszczało. Czy to z powodu biedy, wojny czy starości, to nie miało znaczenia: wszyscy cierpieli tak samo. Podczas mojego pierwszego dnia pracy David wygłosił płomienną i, jak sądzę, płynącą prosto z serca mowę na temat rozbitych istnień ludzkich, jakimi przyjdzie mi się zajmować. „Naszym zadaniem jest odmienić życie tych ludzi”, mówił. „Głęboko wierzę w to, że po tym wszystkim, przez co przeszliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, jesteśmy o krok od stworzenia wspólnego społeczeństwa”.

Pamiętam, że końcowa część jego wypowiedzi wzruszyła mnie do łez.

Wiedziałam, że nie obejdziesz się bez rozczarowań. Pewna kobieta na wieść, że cofnięto jej zapomogę na opłacenie czynszu, wypłakiwała mi się przez całą godzinę, a mnie nawet nie drgnęła powieka. Wielu zatajało swój faktyczny stan majątkowy. Jeden czarny posądził mnie o rasizm, a biali z kolei mi wmawiali, że traktowałabym ich lepiej, gdyby byli czarni. Znosiłam to bez trudu. Ciężko mi w jakiś sposób, lecz nie dotykało obszarów, które uważałam za najważniejsze. Dopiero kiedy minął rok i poproszono mnie o przedstawienie na piśmie wszystkich sukcesów, jakie odniosłam w pracy, wiara zaczęła we mnie słabnąć. Mgliście pamiętałam 154 osoby, z którymi pracowałam. Po roku większość naszych podopiecznych została skreślona z listy beneficjentów, żeby zrobić miejsce dla setek oczekujących.

Przestałam dążyć do tego, żeby zmienić czyjeś życie. Pod koniec pierwszego roku pracy miałam dwadzieścia sześć lat, lecz czułam się znacznie starszej. Z nadejściem jesieni ogarnęła mnie paraliżująca wręcz melancholia. Chciałam na powrót stać się dzieckiem albo przynajmniej cofnąć w czasie o kilka lat. Odstąpiłam od zamiaru wyprowadzenia się od matki. Kiedy jej oświadczyłam, że jeszcze nie dojrzałam do tego, żeby rozpocząć samodzielne życie, wykonała nieporadny gest rękami – ni to machnięcie, ni trzepot; sama nie wiem, jak to opisać. Gdyby jej dłonie były bezgłosnymi rybami albo ptakami, powiedziałabym, że próbowały przemówić. Zbliżyły się, przywarły do moich łokci i ścisnęły mocno, jakby chciały przebić się do kości.

Zaczęłam spędzać z matką więcej czasu w kuchni, ale nie tylko. Miała pusty dom, o który się troszczyła, a ja życie obcych ludzi; rozpaczliwie starałam się zaprowadzić w nim porządek. Uważałam, że nic mi nie grozi, dopóki tylko to będzie mnie z nią łączyło.

W ciągu czterech kolejnych lat, zanim poznałam Isaaka, zmieniło się tylko jedno: przestało mi brakować niespokojnego wyczekiwania, jakiego doświadczałam w dzieciństwie, oraz przyływów radości i smutku z nim związanych. Zmiana pór roku nie działała już przygnębiająco. Zimą serce biło we mnie tak samo jak wiosną, ponieważ wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Na widok uczniów mojego dawnego liceum

wracających do domu po lekcjach czułam coś w rodzaju politowania: nikt ich jeszcze nie uprzedził, jakie zwyczajne i przewidywalne stanie się niebawem życie. Innymi słowy, pogodziłam się z wyważonym spokojem dorosłości. Odkładałam pieniądze. Od jednego ze znajomych ojca kupiłam używany samochód. Przespałam się z kilkoma facetami po to tylko, żeby sobie udowodnić, że mogę. Z tej monotonii wyrwał mnie Isaak. Związek z nim wywrócił do góry nogami moje życie osobiste, nie wpływając zasadniczo na inne obszary codzienności. Dopiero tej nocy, kiedy po wyrzuceniu do śmieci jajecznicy wyszłam z jego mieszkania, zostawiając nakryty stół, zaczęła się zmieniać również reszta.

W drodze do domu postanowiłam, że odtąd moja praca będzie wyglądała zupełnie inaczej niż dotychczas. Zacznę jeździć po domach, obiecałam sobie, choć nie do końca wiedziałam, co przez to rozumieć.

Na następny dzień zaplanowałam wizyty u czterech podopiecznych. Ostatecznie odwiedziłam tylko Rose. Naprawdę miała na imię Agnes, lecz kiedy pięć lat wcześniej zmarł jej mąż, postanowiła, że wszyscy odtąd mają do niej mówić Rose. Miała osiemdziesiąt jeden lat. Ledwo wiązała koniec z końcem. Ratowała się drobnymi przechowywanymi skrzętnie w słoikach, kuponami rabatowymi, które w dużych ilościach walały się na stole, i jedzeniem w puszkach otrzymanym z kościoła. Pomogłam jej znaleźć skromny dom z jedną sypialnią, ponieważ za ten, w którym mieszkała z mężem, nie była w stanie płacić podatku. Trafiła pod moją opiekę przed osmioma miesiącami, a odwiedziłam ją dopiero trzeci raz. Zjawiłam się z tuzinem żółtych i czerwonych plastikowych róż przewiązanych sznurkiem. Samotność, nieodłączny składnik starości, nauczyła Rose okazywania przesadnej wdzięczności za obecność drugiej osoby w jej życiu, nawet przelotną.

– Kwiaty – stwierdziła. – Miło z twojej strony.

Nie odebrała ich ode mnie. Wsunęłam jej kwiaty do ręki, jakby były prawdziwe i delikatne. Przycisnęła je do piersi, jakby szukały pociechy, a ona była jedyną osobą na świecie, od której mogły jej oczekiwać. Rose nie miała wazonu, więc wzięłam najwyższą szklanekę, jaką znalazłam, i nalałam do niej trochę wody. Ustawiliśmy kwiaty na ławie. Rozejrzałam się po domu, skupiając się na oznakach pustki.

– Chciałabyś zawiesić jakieś obrazy na ścianie? – zapytałam.

– W moim starym domu na ścianach wisiało mnóstwo obrazów – odparła. –

Zdjęcia wszystkich miast, które zwiedzaliśmy z mężem: Nowego Jorku, Bostonu, Chicago, Detroit.

Spędziłam u niej trzy godziny. Opowiadała mi o tym, jak zatrzymała się w hotelu Knickerbocker w Chicago w tym samym czasie co Al Capone, o pobycie w Nowym Jorku w hotelu Warwick, którym jednak, po tych wszystkich legendach, jakie krążyły o panującym w nim przepychu, czuła się rozczarowana. Słuchałam jednym uchem, próbując jednocześnie ocenić, czy te historie są w stanie wypełnić jej dom, zająć pustą przestrzeń, ale bardziej namacalnie, niczym pamiątki kupione na lotnisku i ustawione na półce nad kominkiem. Gdyby słuchanie jej przez następne dziesięć godzin pomogło rozstrzygnąć tę kwestię, zostałabym dłużej; tyle dookoła było pustki, którą należało wypełnić. Jednak Rose najwyraźniej się zmęczyła. Przysypiała, przerywała w pół słowa, lecz mnie to wcale nie przeszkadzało. Wyglądała na szczęśliwą, może również pogodzoną z losem, i nabrałam przekonania, że – choć jeszcze nie bardzo wiem, czym wypełnić wszystkie te puste miejsca – wreszcie idę dobrym tropem.



## ISAAK

Choć otaczał go tłum, a w powietrzu unosił się dym, od razu dostrzegłem, że rany Isaaka świetnie się wygoiły. Nad prawym okiem widniała blizna, lecz nawet gdyby twarz była cała w sińcach i tak wyglądałby lepiej niż kiedyś. Miał na sobie nowe ubranie, włosy świeżo przystrzyżone i ogólnie sprawiał wrażenie zadbanego, jakby ostatnio mógł do woli korzystać z bieżącej wody.

Gdy tylko mnie zobaczył, dał mi ręką znak, żebym do niego dołączył. Poczułem się jak obcy, który niespodziewanie pojawił się na przyjęciu i został przez niego zaproszony do grona znajomych. Wystarczyło zwykłe machnięcie. Ruszyłem ku niemu, nim zdążył opuścić rękę. Przeszedłem obok żołnierzy otaczających studentów luźnym pierścieniem i ani przez chwilę nie czułem strachu. Już na samym wstępie siła, jaką dawała liczebność zebranych, była oszałamiająca. Zbici w ciasną gromadkę studenci rozstąpili się, żeby mnie przepuścić; odwróciłem się raz, żeby zobaczyć, jak na powrót zwierają szyki. Nie tak to sobie co prawda wyobrażałem, lecz kiedy Isaak otoczył mnie ramieniem, a chłopak, którego widziałem pierwszy raz w życiu, poklepał po plecach, zostałem studentem na uniwersytecie.

\*

W czasie trwającej trzydzieści sześć godzin okupacji dziedzińca uniwersyteckiego nie rozwinięto ani jednego transparentu, nie skandowano haseł. Śpiewano tylko pieśni z okresu poprzedzającego odzyskanie niepodległości. Te rewolucyjne pieśni z końca lat pięćdziesiątych i z lat sześćdziesiątych były bardzo popularne i powszechnie lubiane; śpiewali je nasi rodzice i kojarzyły się z dzieciństwem. A jeśli nawet kiedyś nimi gardziliśmy, to teraz wyśpiewywaliśmy je ochoczo przez całą noc, starając się nie zasnąć. Starsze pokolenie miało swoją rewolucję i proszę, oto do czego to doprowadziło. Tamtej nocy słyszałem, jak coraz to inny ze studentów głośno wyraża przekonanie, że teraz dokończymy dzieła rozpoczętego przez rodziców. Snuto zwyczajowe mrzonki o nastaniu nowej afrykańskiej utopii, o wolnym kontynencie bez granic. Studenci z przeciwnych komunizujących obozów obejmowali się i raz po raz obejmowali również Isaaka i mnie.

– Popatrz, jacy są szczęśliwi – szepnął.

Przeniosłem spojrzenie na chłopaków siedzących na skraju. Ich ubrania i fryzury świadczyły o zamożności, lecz moją uwagę zwróciła przede wszystkim czysta, nieskrępowana radość malująca się na twarzach. Usta im się niemal nie zamykały.

Dopiero kiedy zaczęło świtać, przyszło mi do głowy, żeby zapytać, co sprawiło, że w tym jednym miejscu zebrało się tylu studentów. Żaden jeszcze nie zrejterował, choć widać było gołym okiem, że ich determinacja słabnie. Śpiewy zakończyły się w środku nocy i gdziekolwiek spojrziałem, widziałem oczy przygaszone nie tyle z powodu zmęczenia, co wątpliwości. Na ich gust impreza trwała już dość długo, a im zależało nie na umocnieniu swych przekonań, lecz na szybkim i, mieli nadzieję, bezbolesnym ich porzuceniu. Isaak należał do nielicznych zebranych, u których nie widać było żadnych oznak znużenia, lecz w końcu to on grał tutaj pierwsze skrzypce.

Chciałem coś do niego powiedzieć, lecz nim zdołałem zebrać myśli, ja i Isaak, podobnie jak dwóch chłopaków siedzących najbliżej nas, zauważyliśmy smugę dymu, która zakreśliła w powietrzu łuk i opadała. Pamiętam tylko, że zanim kilka metrów od nas rozerwał się pocisk, pomyślałem: „Ciekawe, czy Isaak da znak do ucieczki”.

W odróżnieniu od większości pozostałych widzieliśmy, jak działa gaz łzawiący, i wiedzieliśmy, jak zareagować. Jeszcze zanim wokół naszych slumsów zacieśnił się kordon wojska, tłumiono w ten sposób większość rozruchów w dzielnicach nędzy.

Isaak i ja jako jedyni z rozmysłem ruszyliśmy w stronę, z której wiał wiatr; pozostali po prostu biegali, nie wiedząc, z czym mają do czynienia i czego się spodziewać. Isaak ani myślał ratować ich z opresji, więc dziesiątki studentów błędziły z zamkniętymi oczami w oparach gazu, najpierw wpadając na siebie nawzajem, a w końcu na żołnierzy, którzy dobyli pałek i okładali nimi ślepców wyłaniających się z kłębow dymu. Starając się wstrzymywać oddech, Isaak i ja w ciągu kilku minut oddaliliśmy się od tłumu. Wbiegliśmy bocznymi drzwiami do jednego z budynków; pewnie były to jedyne drzwi w pobliżu, których nie zamknięto na klucz. Weszliśmy na pierwsze piętro i po chwili po raz drugi w życiu znalazłem się w uczelnianej sali – w laboratorium, w którym stało sześć długich stołów i rzędy metalowych taboretów. Okna wychodziły wprost na teren dziedzińca, który dopiero co opuściliśmy. Przyglądaliśmy się z góry, jak wyposażeni w sprzęt do tłumienia rozruchów żołnierze jakby od niechcenia wyrąbują sobie pałkami drogę przez tłum. Kilku spośród leżących na ziemi studentów wlekli za nogi; dwóch z nich wcześniej siedziało tuż obok Isaaka, obaj wygłosili w nocy rozwlekłe i nieskładne przemówienia, przez co zapewne stali się głównym celem żołnierzy.

Czekałem, aż Isaak się odezwie. Spodziewałem się, że powie, jakie to straszne i tragiczne przyglądać się, jak nasi towarzysze są bici i poniewierani, czy coś w tym stylu; ci nieszczęśnicy pewnie tego by od nas oczekiwali, czułem jednak, że litość, jaką w sobie podsycałem, była wymuszona. Podejrzywałem, że Isaak czuje to samo, że tak jak ja jest niemal wdzięczny umundurowanym oprawcom za każdy zadany cios niwelujący różnice między naszym życiem w slumsach a tym w kampusie.

– Najwyższy czas – oznajmił Isaak. – Już myślałem, że nigdy się nie zjawią. Bałem się, że wyczerpały im się zapasy gazu.

– Teraz to raczej niemożliwe – odparłem.

Stałem obok niego przy oknie.

– Słyszałem, że do naszej dzielnicy wysłali czołg.

– Nie widziałem żadnych czołgów – odparłem. – Przynajmniej w naszej okolicy.

– Przyjadą – stwierdził. – To już przesądzone.

Wypowiadał się z pewnością kogoś, kto sam ułożył plan bitwy.

– Gdzie nocowałeś przez ten czas? – spytałem.

– Od dwóch dni śpię tutaj.

– W kampusie?

– W tej sali. Pod stołem na samym końcu.

Podszedł do jednej z szaf stojących wzdłuż ścian. Wyciągnął cienki, zwijany materac i worek żeglarski z ubraniami, żeby pokazać, jak wygląda teraz jego życie.

– Nikt nie korzysta z tego pomieszczenia. Nawet światło już nie działa.

W kampusie jest jeszcze sporo takich sal, ale ja mam klucz do tej.

– Dlaczego właśnie do tej? – zdziwiłem się.

– Ponieważ, nie wiem, czy zauważyłeś, stąd jest najlepszy widok.

\*

Isaak nie wyjawiał nic więcej na temat tego, z jakim wyprzedzeniem zaplanował

całą akcję. Chciał, żebym wiedział, że nie był to przypadek i jeśli ktokolwiek kierował tym protestem, to właśnie on. Nic w jego słowach nie wskazywało na to, że ktoś go wspierał, ale jasne było, że nie działał w pojedynkę. Najbardziej rzucającym się w oczy świadectwem naszego ubóstwa zawsze był stan ubrań: tych parę koszul i spodni, które mieliśmy, nie dość, że dokumentnie znoszonych, to jeszcze rzadko kiedy pranych, przedstawiało opłakany widok. Rzeczy w worku żeglarskim wyglądały na nowe; sterta starannie ułożonych biało-błękitnych koszul i kilka par spodni khaki, takich samych jak te, które miał na sobie. Tak ubierali się studenci paradujący w kampusie. Widziałem nowe rzeczy Isaaka tylko przelotnie, lecz on dobrze wiedział, że wrażenie, jakie na mnie wywarły, długo nie minie, a wracając do domu, będę się głowił, kto też tak hojnie go obdarował.

Cały ranek i popołudnie przesiedzieliśmy w laboratorium.

– Musisz zaczekać, aż będzie bezpiecznie – oznajmił. – Nikt nie może zobaczyć, jak stąd wychodzisz.

Gdyby sam tego nie powiedział, zapytałbym, czy nie mogę zostać dłużej. Czuję się w tej sali bezpiecznie, ponieważ był ze mną Isaak i ponieważ zawsze uważałem, że jedną z ukrytych korzyści, jaką daje bycie studentem uniwersytetu, jest punkt widzenia; można patrzeć na świat, nie będąc narażonym na żadne wstrząsy. Patrzyłem, jak dym powoli się rozwiewa i żołnierze wraz z policjantami przeszukują porzucone na trawniku płaszcze, swetry i plecaki. Jeden z żołnierzy zaczepił czerwoną damską torebkę o lufę karabinu i wywijał ją w powietrzu, żeby inni mogli podziwiać zdobycz. Kilkunastu studentów odniosło takie obrażenia, że nie było w stanie iść o własnych siłach; siedzieli oparci o drzewa, kilku leżało na wznak na ziemi. Nie łudziłem się, że ktoś się o nich zatroszczy, lecz przyglądałem się ponad godzinę, żeby nabrać pewności. Ostatnią ofiarą zwleczoną z pobojowiska była dziewczyna w czarnej spódnicy tuż przed kolana. Wmawiałem sobie, że to nie Vera; była zbyt niska, kolor skóry też się nie zgadzał. Ci, którzy ją nieśli, mieli na sobie mundury. Tylko dla niej poczułem autentyczną, głęboką litość: w przeciwieństwie do reszty jej cierpienia dopiero się zaczynały.

Do południa dziedziniec opustoszał, pozostało tylko kilku żołnierzy, którzy patrolowali teren z karabinami przewieszonymi przez ramię.

– Uczyłeś się w szkole fizyki albo chemii? – spytał Isaak.

– Trochę, w liceum – skłamałem.

– Ja też – odparł, idąc za moim przykładem.

Podszedł do dużej drewnianej szafy, która stała w rogu, i zdjął kłódkę.

– Nie bój się – powiedział. – To nie ja ją rozerwałem.

Kiedyś mieściły się w tej szafie wszystkie pomoce naukowe, jakich potrzebowali studenci na zajęciach w laboratorium, dziś pozostały w niej jedynie plastikowe okulary ochronne oraz rząd brudnych zlewek i probówek, z których wiele było popękanych. Isaak wyjął je wszystkie i ustawił na stole.

– Jak myślisz, czego potrzeba, żeby zbudować bombę? – zapytał.

– To zależy jaką – odparłem.

– Jakąś prostą.

Na ścianie wisiała duża, laminowana plansza opatrzona nagłówkiem „Układ okresowy pierwiastków”. Moja skąpa wiedza dawała mi jedynie mgliste pojęcie o tym, jak to pierwiastek przedstawiony w jednym polu, w połączeniu z pierwiastkiem z innego pola, leży u podstaw wszystkiego, co widziałem i z czym się stykałem na co dzień.

W liceum uczył kiedyś pewien młody biały Amerykanin – o ile mnie pamięć nie zawodzi, miał na imię Rich. Przywiózł taką planszę i dawał ją nam codziennie na lekcjach, i kazał podawać jeden drugiemu, żebyśmy poczuli, tak mówił, „jak to jest, gdy się trzyma w rękę świat”. Ponieważ był biały i przyjechał z Ameryki, traktowaliśmy poważnie wszystko, co mówił, a jednocześnie uważaliśmy, że jest szalony. „Ameryka wysyła swoich wariatów do Afryki”, takie krążyło wśród nas powiedzenie i niezmiennie rozśmieszało we wszystkich wariantach. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Rich zapewne mówi prawdę, i na tle jego wiedzy nasza ignorancja jest wręcz bezdena, ale kpina z jego słów dawała nam odrobinę poczucia władzy.

Zdjąłem planszę ze ściany, położyłem na stole i natychmiast zabrałem się do odzierania jej z sensu i doniosłości.

– Potrzeba nam trochę Pb, Fe i Zr – powiedziałem. Nawet nie udawałem, że znam poprawne nazwy tych pierwiastków, a gdyby ktoś wszedł wtedy do sali i próbował mnie w tym względzie oświecić, stwierdziłbym, że nie ma pojęcia, o czym mówi. To był mój świat i w tej rzeczywistości to ja ustalałem warunki, i w moim przekonaniu to, co tylko przyszło na myśl Isaakowi i mnie, mogło posłużyć do zbudowania bomby.

Isaak podszedł do tablicy; kredy nie było, więc wyjął z kieszeni flamaster i wszystko, co mówiłem, zapisywał nienagannym pismem tak schludnym, że wcale nie trzeba było domyślać się liter. Wzbogacał po swojemu moje wywody. Wedle uznania dodawał plusy, wstawiał nawiasy, a nawet ułamki. Kiedy skończyliśmy, połowa tablicy pokryta była równaniami, które tylko my byliśmy w stanie rozszyfrować.

Udawaliśmy, że konstruujemy bombę; nie będę zaprzeczał, że kryła się za tym groźba, lecz nasze wyobrażenia odznaczały się dziecinną naiwnością. Jedynie dzięki temu mogliśmy zachować choć pozory niewinności, odsunąć od siebie odpowiedzialność – za wydarzenia tego ranka i za to, co z pewnością miało nastąpić wkrótce.

\*

Rozstaliśmy się późnym wieczorem. Długie godziny spędziliśmy w ciemności; nie zapaliliśmy świeczek w obawie, że ktoś może dojrzeć przez okno nasze cienie. Mrok rozświetlał nieco sierp księżyca, który, kiedy wychodziłem, był już ledwie widoczny na niebie. Mimo to na wszelki wypadek Isaak zarządził, żebyśmy cały wieczór przesiedzieli pod stołami – w tej pozycji nie można było bezwiednie wstać ani wyciągnąć w górę ręki, co mógłby zauważyć ktoś obserwujący salę z budynku naprzeciwko. Instruuąc mnie, jak mam postępować po wyjściu z sali, Isaak podciągnął kolana pod brodę i oplótł je mocno ramionami, jakby chciał swemu ciału dać do zrozumienia, że nie wolno mu ruszyć za mną, nawet gdyby bardzo chciało.

– Jak tylko stąd wyjdiesz, biegnij – mówił. – Nie zwalniasz, dopóki nie znajdziesz się daleko stąd. Omijaj główne drogi, trzymaj się bocznych. Wojskowe jeepy się tam nie zapuszczają, bo są w fatalnym stanie, a nawet jak się na któryś natkniesz, to i tak będziesz szybszy. Jeśli zatrzymają cię wcześniej, powiedz, że wracasz z hotelu Churchill; wielu żołnierzy chodzi tam na dziewczynki. I nie zapomnij dodać, że zostało ci tylko dziesięć funtów.

Wręczył mi banknoty i trochę drobnych, które wyjął z kieszeni. Dwa tygodnie wcześniej nam obu taka suma wydałaby się fortuną.

– Nawet nie musisz proponować im pieniędzy. Sami wezmą, a jak już zaborą, od razu odejdź, nie oglądaj się i nie odzywaj do nich. Zaczekaj, aż dojdiesz do pierwszej

bocznej uliczki i zaraz za zakrętem biegnij – nie ustawaj, dopóki nie znajdziesz się u siebie. Mógłbyś przenocować tutaj, ale jutro z samego rana muszę wyjść, a wolałbym nie zostawiać cię tu samego, to zbyt niebezpieczne. Nikt cię nie zna, jeśli ktoś zapyta, jak masz na imię, wymyśl coś łatwo wpadającego w ucho, na przykład John albo William.

Słuchałem wskazówek Isaaka, lecz przyznam, że nie traktowałem jego słów poważnie, dopóki nie stanąłem na środku dziedzińca zupełnie sam, kilka kroków od łusek po gazie łzawiącym, celowo pozostawionych tam przez policję. Aż do tej chwili miałem nieodparte wrażenie, że Isaak odgrywa wyznaczoną mu rolę, i to samo dzieje się ze mną. Wyobrażałem sobie, że lada moment Isaak ogłosi koniec przedstawienia, w sali zapalą się światła, a my będziemy mogli bez przeszkód wstać i wyjść.

Gdybym poprosił, żeby poszedł ze mną, postawiłbym go w kłopotliwej sytuacji, więc na odchodne zapytałem tylko:

– Nic ci tu nie grozi?

– Oczywiście, że nie – odparł. – Wszystko przebiega zgodnie z planem.

\*

Zgodnie z życzeniem Isaaka zostawiłem go w sali samego. Jak tylko wyszedłem na dwór i postawiłem stopy na murawie dziedzińca, zacząłem biec i obiecałem sobie, że nie przestanę, dopóki nie znajdę się w bezpiecznym miejscu. Za bramą kampusu stały dwa jeepy zwrócone w przeciwne strony. Gdy je zobaczyłem, wciąż jeszcze mogłem zawrócić, lecz dokąd miałbym pójść? Pomimo strachu odczuwałem ulgę, wiedząc, że obojętnie którą drogą ruszę przez miasto, nawet gdyby miała mnie zaprowadzić prosto do więzienia, to będzie mój własny wybór. Dlatego się nie zawahałem. Wybiegłem przez bramę i dopiero kiedy znalazłem się u stóp wzgórza uniwersyteckiego, odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie ściga. Jedynym stworzeniem na ulicy oprócz mnie był zabłąkany kundel z przetrąconym biodrem, który biegł, powłócząc łapą. Jeepy nie ruszyły za mną w pogoń; choć wtedy przypisywałem to szczęściu i własnej odwadze, dowiedziałem się później, że nie miało to nic wspólnego ani z jednym, ani drugim.

Przez kilka następnych dni prawie nie opuszczałem swojej klitki. Thomas, mój gospodarz, zaglądał do mnie dwa razy dziennie, żeby sprawdzić, czy nie zachorowałem, lecz widać było, że raczej dręczy go pytanie, czy ściga mnie policja. Słyszałem, jak porozumiewa się z przyjaciółmi szeptem, zamiast krzyczeć do nich jak dotychczas. Jego cień zdawał się stale majaczyć za jedynym okienkiem mojej klitki. Wychodziłem tylko raz w ciągu dnia, po południu. Wybierałem się na jedną z głównych ulic miasta, żeby poczytać nagłówki gazet rozłożonych na chodniku. Można było to robić przy wszystkich ruchliwych ulicach stolicy – jeśli miałeś pieniądze, za kilka centów mogłeś poczytać gazetę na osobności, po czym odkładałeś ją z powrotem na chodnik. W ten sposób jeden egzemplarz przeglądało kilkanaście osób, nim ktoś zabrał go do domu, zapłaciwszy pół ceny. Dzięki temu nawet najbiedniejsi mieli dostęp do informacji, co pozwalało im wyrabiać sobie własne zdanie, choćby błędne.

W ciągu pierwszych trzech dni nie pojawiła się żadna wzmianka o zajściach na uniwersytecie, nawet w oficjalnej prasie rządowej, która wykorzystywała wszelkie akty przemocy jako dowód na rosnące zagrożenie dla narodu i prezydenta. Nagłówki wszystkich pięciu dzienników donosiły wyłącznie o zdobyczach i osiągnięciach, jakimi każdego dnia mogło się poszczycić państwo. I tak jednego dnia na pierwszej stronie podano wiadomość o otwarciu nowej szkoły i szpitala w odległym zakątku kraju na



południu. Innego dnia z kolei wszystkie pięć gazet zamieściło na całej stronie zdjęcia prezydenta na spotkaniu z przywódcami innych państw w Jugosławii. Dopiero czwartego dnia jeden z dzienników opublikował na pierwszej stronie na dole artykuł zatytułowany: „Rząd ostrzega przed rosnącym zagrożeniem terrorystycznym ze strony cudzoziemców”.

Nosiłem ze sobą tyle drobnych, żeby starczyło na kupno gazety, jeśli będzie w niej zamieszczony artykuł o podobnej treści, lecz kiedy stałem obok rzeszy ciekawskich wyciągających szyje, żeby dojrzeć nagłówki, przyszło mi na myśl, że tylko na to czekano. Byłem jedynym wyraźnie rzucającym się w oczy cudzoziemcem i łatwo mi było wyobrazić sobie spojrzenia, jakimi obrzuciłby mnie tłum mężczyzn, gdybym kupił tę właśnie gazetę. Na tamym skrzyżowaniu bywałem wiele razy, lecz dopiero teraz spostrzegłem dwóch funkcjonariuszy policji drogowej stojących na środku jezdni; raczej obserwowali ruch uliczny, niż nim kierowali. Na rogu stało dwóch mężczyzn w garniturach i ciemnych okularach; skłonny byłem sądzić, że ciągle tu tkwili, bynajmniej nie dla przyjemności, lecz dlatego, że kazano im obserwować, co dzieje się na ulicy. Nawet sprzedawca gazet nagle wydał mi się podejrzany. Niczym szczególnym się nie wyróżniał – był ode mnie starszy pewnie o dziesięć lat, włosy miał krótko ostrzyżone i nosił spodnie i koszulę tego samego koloru – niebieskie lub beżowe. Wybrał sobie jedno z najlepszych w całym mieście miejsc do sprzedaży gazet – po chodnikach we wszystkie strony nieustannie przetaczał się tłum, a w pobliżu nie widać było żadnego konkurenta. Nie do końca wierzyłem, że stanowisko z prasą było dla niego tylko przykrywką prawdziwej działalności, lecz gdy raz zaświtała mi w głowie taka myśl, nie mogłem się opędzić od podejrzeń.

\*

Wyjąłem drobne z kieszeni i wskazałem ręką gazetę, która była oficjalnym organem rządu i w każdym wydaniu, na górze pierwszej strony, dumnie zamieszczała portret prezydenta w pełnym wojskowym umundurowaniu. Wsunąłem ją sobie pod pachę i ruszyłem powoli w stronę kawiarni na rogu. Miałem zamiar usiąść przy stoliku na zewnątrz, lecz odniosłem wrażenie, że mężczyźni przy kawiarnianych stolikach dziwnie mi się przyglądają. Nie byłem w stanie rozstrzygnąć, czy ich uwagę zwracam ja, czy też kupiony przeze mnie dziennik, więc na wszelki wypadek szybko zawróciłem i skierowałem się na południe. Tą drogą kiedyś już szedłem.

W szkołach musiały właśnie skończyć się lekcje; chodniki i jezdnie zaroily się od uczniów w niebiesko-białych lub czerwono-białych mundurkach. Przedstawiali niezwykle widok; zupełnie przesłaniali otoczenie, kiedy całymi chmurami ganiał tam i z powrotem. Podążając za nimi, czułem się bezpiecznie – nie dlatego, że wierzyłem, że nic złego w ich obecności nie może mi się przydarzyć; po prostu uważałem, że w ich szeregach jestem niewidoczny. Pamiętam kurz, jaki wzbijał się po bokach nieutwardzonej drogi, i kłapanie setek sandałów uderzających o pięty.

W którymś momencie przestałem się przejmować tym, czy ktoś mnie śledzi, czy nie. Powróciło wcześniejsze niczym nieuzasadnione poczucie niewinności; gazeta, którą niosłem pod pachą tak, żeby rzucał się w oczy jej czerwono-biały znak rozpoznawczy, była mi obojętna jak pył na butach. Szczerze mówiąc, nie pamiętałem, po co w ogóle ją kupiłem.

Gdyby nie pochłonął mnie tak widok uczniów wracających ze szkoły, z pewnością zauważyłbym dwóch idących za mną mężczyzn, jeszcze zanim znaleźli się

w zasięgu głosu. Odwróciłem się w ich stronę dopiero wtedy, kiedy zaczęli krzyczeć po angielsku: „Stój!”. Nie rozumiałem, co później do mnie mówili, domyślałem się jedynie, o co im chodzi, kiedy splunęli, wymawiając nazwisko prezydenta; ich oburzenie miało jakiś związek ze mną. Jeden z nich wyrwał mi gazetę i rzucił na ziemię. Nigdy dotąd nie zapuszczałem się do tej dzielnicy; nie znałem panujących w niej reguł, nie wiedziałem, co tu się wydarzyło. Ostatnio zaginęło wielu młodych mężczyzn i mieszkańcy żywili niekłamaną nienawiść do rządu i każdego, kto go popiera. Gazeta, którą czytałeś, często w zupełności wystarczała do określenia, po której jesteś stronie. Mnie nie dano nawet szansy wyjaśnienia, dlaczego miałem ze sobą oficjalny dziennik rządowy; zresztą i tak nikt by mi nie uwierzył.

Moje wspomnienia z przebiegu wydarzeń, które potem nastąpiły, należy uznać za bezpowrotnie utracone; nawet jeśli pojawiały się przebłyski tamtego zajścia, robiłem wszystko, żeby zostały pogrzebane w niepamięci. Na potylicy mam okrągły ślad wielkości monety, na którym nigdy nie wyrosną włosy, podobnie jak na trzech wąskich, wyraźnych bliznach z prawej strony głowy. W ogóle tego nie pamiętam, lecz później się dowiedziałem, że dopiero po godzinie ktoś wezwał pomoc, więc chcąc nie chcąc noszę w sobie obraz roześmianych, dokazujących dzieciaków, które przechodzą nade mną w drodze do domu.

Kiedy dwa tygodnie później odzyskałem przytomność, leżałem w szpitalu prowadzonym przez katolicką instytucję dobroczynną, w wielkiej białej sali razem z czterdziestoma innymi pacjentami, pośród zmieszanych wyziewów amoniaku i gnilnego smrodu. Nigdy przedtem nie widziałem afrykańskich zakonnic, a teraz niemal bez przerwy miałem je przed oczami: jednakowa ciemna cera, wykrochmalone białe habity i błękitne czepki przysłaniające włosy. Kiedy się ocknąłem, ani jednej nie było w pobliżu, a ja, bezwiednie, zacząłem krzyczeć, nie ze strachu czy z bólu, lecz chyba po prostu po to, żeby usłyszeć swój głos, żeby upewnić się, że żyję.

Tego dnia po południu odwiedził mnie Isaak. W dotkliwym poczuciu osamotnienia tak się ucieszyłem na jego widok, że nawet nie zapytałem, skąd wiedział, gdzie mnie szukać. Wręczył mi czarny notes.

– Będziesz miał w czym pisać, dopóki stąd nie wyjdiesz – powiedział.

Przystawił sobie krzesło do łóżka i zdjął w końcu okulary przeciwsłoneczne.

– No to już wiesz, mój przyjacielu, jakie to uczucie – stwierdził.

Wiedziałem, co ma na myśli, lecz to nie była prawda; przynajmniej jeszcze nie wtedy. Napastnikami, którzy tak mnie skatowali, kierował strach na równi z nienawiścią. Zaatakowali na oślep i zostawili mnie na pewną śmierć. Isaak jeszcze nie doświadczył tego rodzaju przemocy, lecz ponieważ byłem przekonany, że nastąpi to wkrótce, i wszystko wskazywało na to, że nie wyjdzie z tego żywy, uznałem, że nie warto podkreślać tej różnicy. Podał mi rękę, kiedy się pochylał, żeby pocałować mnie w czoło – ten gest miał oznaczać, że odtąd łączy nas coś więcej niż zwykła przyjaźń. Ścisnąłem mocno jego dłoń i nawet uniosłem lekko głowę w kierunku jego ust, żeby dać mu do zrozumienia, że czuję dokładnie to samo co on.

## Część II

## HELEN

Całkiem możliwe, że gdyby Isaak nigdy więcej się nie pojawił, wiodłabym do końca moich dni uregulowane, szczęśliwe życie. Spędzałabym czas z kobietami takimi jak Rose, miłymi, porządnymi starszycami, które, choć u kresu życia borykały się z biedą i samotnością, nie żebrały o tanią, łatwo przychodzącą litość. Dzięki nim i być może kilkudziesięciu innym osobom, którym starałam się nieco ulżyć w niedoli, przynajmniej chwilowo, mogłabym uznać, że znalazłam cel w życiu, aż w końcu któregoś dnia role by się odwróciły i ja stałabym się wiekową gospodynią podejmującą młode opiekunki społeczne. Isaak powrócił dokładnie trzy tygodnie po swym tajemniczym zniknięciu, a gdy się pojawił, drzwi do spokojnego świata, jaki sobie uroiłam, zatrzasnęły się z hukiem. Odwiedziłam Rose jeszcze dwukrotnie, za każdym razem bawiąc u niej niecałą godzinę, i tak byłam pochłonięta własnymi myślami, że z trudem docierały do mnie jej słowa. Gdy teraz myślę o powrocie Isaaka, wyobrażam sobie, że siedzę w skąpo umeblowanym salonie z pootwieranymi oknami, białe firanki lekko kołyszą się na łagodnym wietrze; wtem nagły wybuch tłucze szyby w oknach i szarpie firankami. Mój prywatny świat legł w gruzach, a ja byłam tak głupia, że przyjąłam to bez lęku.

Isaak przywiózł upominki nie na przeprosiny czy żeby wyrazić skruchę, lecz dla upamiętnienia swej podróży po Ameryce, którą, jak stwierdził, dopiero tak naprawdę poznał i pałał chęcią podzielenia się ze mną swymi odkryciami. Zaraz następnego ranka po powrocie wsiadł do autobusu, przyjechał do biura i zostawił sekretarce paczkę opatrzoną moim imieniem i nazwiskiem. Otworzyłam ją u siebie w gabinecie. W środku było pudełko wypełnione tanimi plastikowymi makietami budowli owiniętymi cienką białą bibułą. Zestaw zawierał kilkunastocentymetrową Statuę Wolności i podobnej wielkości Empire State Building, a także nieco mniejsze modele Białego Domu, Mauzoleum Lincolna i mostu Golden Gate. Na dnie pudełka znalazłam liścik, którego treści szybko nauczyłam się na pamięć.

*Droga Helen! Musiałem nagle wyjechać. Załączam pamiątki z kilku miejsc, które chciałybym jeszcze kiedyś odwiedzić razem z Tobą. Pozdrawiam serdecznie, Isaak* Ustawiłam makiety w rzędzie na skraju biurka. Nie bardzo wiedziałam, jak rozumieć ten podarunek. List był zdawkowy, rozmach wyprawy podejrzany. Ja najdłuższą podróż w moim życiu odbyłam do St. Louis z rodzicami.

Przestawiłam modele; przesunęłam Biały Dom na środek, obok niego umieściłam most Golden Gate, potem wypróbowałam inną kolejność: Nowy Jork i San Francisco; Waszyngton i Nowy Jork. Tak mnie zafascynowała zabawa w geografii, że nawet nie zauważyłam wejścia Davida, który przyglądał mi się od dłuższej chwili.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Ćwiczę.

Podałam mu list od Isaaka w nadziei, że pomoże mi zrozumieć jego sens.

– On tak na poważnie? – spytał David.

– Napisał list na maszynie. To musi coś oznaczać.

– Owszem... że nie miał długopisu. Że ma słabość do maszyn do pisania. Że strasznie bazgrze. I to też przysłał? – zapytał, wskazując ręką wystawkę na biurku.

Wstydziałam się przyznać, że tak. Czekałam, aż David powie, że Isaak cierpi na urojenia, lecz on wodził palcem po pamiątkach; żadnej nie wziął do ręki.

– Kto wie, Helen, może ten twój Dickens na coś wpadł.

David na pożegnanie ścisnął mi ramię. Kiedy wyszedł, podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Isaaka. Odebrał po czwartym sygnale. Kiedy usłyszałam jego głos, poczułam, jak drga mi prawa powieka.

- Słucham?
- Isaak.
- Helen.
- Wróciłeś.
- Dostałaś moją paczkę.
- Mam przed sobą jej zawartość.
- Zrobiłem ci niespodziankę?
- Nie wiedziałam, gdzie się podziewasz. Nic nie mówiłeś, że wyjeżdżasz.
- Nie planowałem wyjazdu, to wyszło w ostatniej chwili. Wyjaśnię ci.
- Dziś wieczorem?
- Tak, dziś wieczorem. Jesteś wolna?
- Przyjadę po szóstej – powiedziałam.

\*

Planowałam tego dnia zajrzeć do Rose i samotnej młodej matki wychowującej dwójkę dzieci, którą miałam pod opieką od niedawna, lecz o trzeciej po południu wciąż tkwiłam za biurkiem. Całą godzinę po rozmowie z Isaakiem rozmyślałam, jak to będzie, gdy znów znajdę się z nim sam na sam – gdy poczuję jego ramię obok mojego, gdy usłyszę jego głos – i zaczęłam wyobrażać sobie nas w Nowym Jorku, w San Francisco, w Waszyngtonie. Od urodzenia mieszkałam w Stanach Zjednoczonych, ale dotychczas nigdy nie odwiedzałam tamtych stron. Wszystkie odbyte przeze mnie podróże mieściły się w ściśle wyznaczonych ramach.

Nie zaglądałam do kartoteki Isaaka od czasu naszego pierwszego spotkania. Przede wszystkim była niemal pusta: zawierała tylko jedną kartkę z nazwiskiem, rokiem urodzenia i krótką notatką stwierdzającą, że przebywał w USA w ramach programu wymiany studentów. Jego kartoteka różniła się od wszystkich innych w naszym biurze. Nasi podopieczni trafiali do nas ze świadectwami karalności, wypisami ze szpitala, zeznaniami podatkowymi i opiniami psychologicznymi. Na ich tle skromna historia Isaaka mieszcząca się na jednej stroniczce wydawała mi się z początku prawdziwym błogosławieństwem

Przeczytałam notatkę jeszcze dwukrotnie i za każdym razem uderzało, jak wiele z jego przeszłości zdawało się celowo pominięte. Podano tylko rok urodzenia, lecz miesiąca i dnia już nie. Jako miejsce urodzenia wpisano po prostu Afrykę, bez kraju czy miasta. Jedyne twarde fakty stanowiły imię i nazwisko, Isaak Mabira, lecz nawet one zdawały się nie mieć większego znaczenia; można było w ich miejsce wpisać dowolne i nic by to nie zmieniło.

Wyszłam z biura kilka godzin wcześniej, niż planowałam. Postanowiłam wybrać się na przejażdżkę – chciałam przypomnieć sobie miejsca, w których Isaak i ja bywaliśmy razem. Przejechałam obok restauracji, urzędu pocztowego, supermarketu i sklepu, w którym wspólnie wybraliśmy sofę i stół kuchenny. Tak z grubsza przedstawiała się nasza historia; zapomniałam, jaki ubogi był nasz dorobek jako pary. Starałam się nakreślić w myślach dokładny obraz Isaaka; najpierw samego, a następnie razem ze mną, a gdy nie bardzo mi się to udawało, pojechałam na uniwersytet

i zaparkowałam w pobliżu biblioteki. Miałam nadzieję, że wspomnienie pierwszego dnia pobytu Isaaka w Laurel da mi pojęcie o tym, kim on „naprawdę” jest, gdy nie bierze się mnie w rachubę.

Kampus znów wyglądał tak jak na początku moich studiów – jawił się jako czysta, spokojna i uporządkowana oaza gotyckich budynków i potężnych strzelistych drzew, których widok zwykle podnosił mnie na duchu nawet wtedy, gdy opadły liście. Nie odbywały się tu teraz żadne protesty, z okien nie zwieszały się transparenty. Inaczej niż w czasach, kiedy kończyłam studia; kilka tygodni przed ceremonią wręczenia dyplomów przed wszystkimi budynkami rozstawiono jednostki straży stanowej i policji do tłumienia rozruchów; bywało, że zamykano cały kampus i w powietrzu unosiły się widoczne z daleka obłoki gazu łzawiącego. Oglądałam jedną taką akcję w telewizji, w bezpiecznym zaciszu salonu, w domu mojej matki, przekonana, że omija mnie coś istotnego, lecz teraz nie wydaje mi się, żebym cokolwiek straciła. Studenci, których widziałam właśnie przez okno samochodu, sprawiali wrażenie zadowolonych z tego, co przyniosło im życie. Nie było w nich tego gniewu, który jeszcze kilka lat temu wydawał się taki ważny. Jedna wojna dobiegła końca; to im na razie wystarczało.

\*

Spojrzałam na piątkę czarnoskórych studentów, którzy rozsiedli się na schodach biblioteki, tworząc półokrąg – chłopcy dwa stopnie wyżej, a dziewczyny w odstępach poniżej. Nawet gdyby Isaak był młodszy, nie mogłabym go sobie wyobrazić pośród nich. Choć stanowili dla mnie swoistą zagadkę, w gruncie rzeczy nie różnili się od innych studentów, pewnych siebie mimo braku celów życiowych, przekonanych, że przyszłość okaże się łaskawa. U Isaaka nigdy nie było widać nawet cienia takiej postawy. Wyznał mi kiedyś, że pogodził się z tym, że nigdzie na świecie nie ma miejsca, gdzie czułby się jak w domu. „Kiedy mieszkałem z rodzicami, wybierałem się na długie, samotne wędrówki, nawet gdy byłem mały i rodzice mi zabraniali. Nie mogłem nic na to poradzić. Ciągle mnie nosiło. Nigdzie nie mogłem zagrać miejsca. Wszędzie czułem się obco. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że ten stan będzie się utrzymywał zawsze. Myślałem, że w końcu trafię na dom czy okolicę, która wyda się dla mnie przeznaczona. Chyba przeszedłem w życiu więcej kilometrów niż ktokolwiek spośród znajomych. W końcu do mnie dotarło, że nawet gdybym wędrował przez resztę życia, nigdy nie znajdę dla siebie miejsca. Nie ma w tym nic smutnego. Wielu ludzi ma gorzej ode mnie. Marzą o tym, żeby osiąść w miejscu, które nigdy ich nie przyjmie. Sam kiedyś popełniłem ten błąd”.

Kiedy mi to opowiadał, nie było mi go żal, lecz teraz, przyglądając się studentom, pomyślałam, że gdyby dało się odebrać choć cząstkę należnych im przywilejów i przekazać innym, to warto byłoby o to walczyć. Brakowało mi słów, żeby to wyrazić, lecz jak tylko ta myśl przyszła mi do głowy, zrozumiałam, że nie mam racji. Żaden protest na świecie nie byłby w stanie niczego zmienić. Ci młodzi ludzie mieli przecież niezbywalne prawo do korzystania z tego, co stanowiło ich skromny udział we wspólnym dobrobycie, i dobrze o tym wiedzieli; zdawali sobie z tego sprawę o wiele szybciej niż my. Zastanawiałam się, czy taki los stanie się kiedykolwiek udziałem ludzi pokroju Isaaka.

Postanowiłam pospacerować po kampusie. Spodziewałam się przyływu tęsknoty za studenckimi latami, lecz czułam się tak, jakbym pośród tych wypielegnowanych trawników z przywiedłymi tulipanami i budynków z ciosanego kamienia znalazła się

dopiero drugi raz w życiu. Za pierwszym razem chodziłam z opuszczoną głową i choć nigdy się nie spieszyłam, nie rozglądałam się dookoła, nie dostrzegałam tego, co mnie otacza. To nie tęsknota, lecz żal kierował mną tego popołudnia. Poczucie utraconego czasu, świadomość nie tego, że mogłam osiągnąć więcej, lecz że nieuważnie patrzyłam.

Rozmyślałam o tych wszystkich popołudniach przesiedzianych na trawie razem z innymi studentami, kiedy spostrzegłam mężczyznę wychodzącego z budynku, w którym mieścił się wydział nauk przyrodniczych. Szedł wolno po schodach odwrócony do mnie plecami, mimo to poznałam od razu – to był Isaak.

Ruszyłam za nim w kierunku parkingu. Poruszał się wolno, jakby rozmarzony. Na uniwersytecie kończyły się właśnie zajęcia, więc bez trudu mogłam się ukryć w tłumie studentów, lecz nawet gdyby kampus był zupełnie pusty, Isaak i tak by mnie nie zauważył. Nie rozglądał się, patrzył prosto przed siebie, jakby obchodziło go wyłącznie to, dokąd zmierza. Podeszedł do granatowego sedana zaparkowanego w głębi, na miejscu oznaczonym numerem. Wyjął klucze z kieszeni płaszcza, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę odjedzie. Od miesięcy wszędzie go wozłam, ponieważ nie miał samochodu, poza tym twierdził, że nie umie prowadzić. „Wy Amerykanie mnie zadziwiacie”, mówił. „Powiedz mi prawdę. Czy wy przychodzicie na świat z samochodami?”.

Włączył silnik, poprawił lusterka i powoli wycofał. Wiedziałam, że przez cały czas mnie okłamywał, lecz nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Nie miałam pojęcia, jaką prowadził grę, ale musiałam przyznać, że świetnie mu szło.

## ISAAK

Wyszedłem ze szpitala w niedzielę. Isaak już czekał. Stał na parkingu z dwoma jutowymi workami wypełnionymi całym moim nędznym dobytkiem; w ten sposób dowiedziałem się, że też jestem bezdomny. Innych pacjentów w szpitalu odwiedzały rodziny, karmiły ich, przemywały i opatrywały rany. Matki, żony albo dzieci przynosiły im lunch, obiad, gazę do zmiany opatrunku, a ja i jeszcze kilku innych, którymi nie miał się kto zająć, przyglądaliśmy się temu tęsknie. Patrząc na opiekę, jaką otaczali tych chorych bliscy, uzmysłowiłem sobie, że nawet jeśli dotąd miałem gdzie spać, to trudno było nazwać to miejsce domem, a gdy zobaczyłem Isaaka, zrozumiałem, że straciłem nawet i to. A skoro Isaak wiedział, co mnie spotkało, to wiedzieli również wszyscy mieszkańcy naszej dzielnicy, a żadne tłumaczenie nie zdoła przekonać przestraszonych ludzi, że taki pobity, pokiereszowany cudzoziemiec jak ja nie ściągnie na nich kłopotów. Mój gospodarz, Thomas, pomimo paskudnych nawyków i licznych wad, musiał być życzliwym, wspaniałomyślnym człowiekiem, skoro przyjął mnie, nieznanego, pod swój dach. Ale nawet gdyby znów mnie przygarnął, to najwyżej na kilka dni, tego byłem pewien.

Idąc w stronę Isaaka, nie czułem najmniejszego żalu za utraconą klitkę. Szedłem powoli, stawiając z wysiłkiem kroki, i nagle przyszła mi na myśl rodzina: matka, ojciec, młodsze rodzeństwo. Wszyscy oni wydawali mi się dziwnie obcy. Wcześniej, po nocach, starałem się o nich nie myśleć, a teraz poczułem spokojną, pozbawioną głębszego zaangażowania tkliwość, którą – jak wiedziałem – mogłem w sobie nosić zupełnie bezpiecznie. Porzuciłem ich i przestało mnie już dręczyć pytanie, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczę. Mój świat wydawał się lekki jak piórko; nawet nie podejrzewałem, że może tak stracić na wadze. Niczego właściwie nie miałem, od nikogo nie byłem zależny; jeszcze nigdy dotąd nie czułem takiej pełni życia.

Isaak czekał na mnie na skraju parkingu. Na obrzeżach czaili się kalecy i żebracy, każdy nędzarz na skrawku ziemi wywalczonym dużo wcześniej, bo choć mizerny, to zarazem cenny był to obszar. Środek zajmowała garstka wycieńczonych starców, którzy wyglądali tak, jakby zaraz mieli skonać. Za kilka tygodni przybędą tu tuziny takich ludzkich wraków, tylko znacznie młodszych. Nasi rówieśnicy będą kurczowo trzymać się tej resztki życia, jaka w nich pozostała, lecz nikt nie przyjdzie im na ratunek; szpital zaroi się od młodych mężczyzn i kobiet, straszliwie skatowanych i rozpaczliwie broniących się przed śmiercią.

Jeden z kalek dotarł do Isaaka równo ze mną. Posługiwał się drewnianą kulą, równie zniszczoną i cienką jak zniekształcona noga, którą powłóczył. Przemówił do Isaaka w języku suahili. Nim zdążył wyciągnąć rękę, Isaak wysupłał z kieszeni zwitek banknotów, które wyglądały tak, jakby tego dnia wyszły spod prasy drukarskiej, i wręczył mu jeden z nich. Starzec chciał mu się pokłonić, próbował zgiąć zdrową nogę, ale Isaak złapał go za łokieć i powiedział po angielsku: „Nie, dziadku, nie trzeba”. W jego głosie brzmiała czułość, jaką nader rzadko słyszy się u mężczyzn niezależnie od wieku.

Zanim opuściłem szpital, przyszła zakonnica, żeby podziękować za ofiarowane w moim imieniu pieniądze. „Nie wymagamy od pacjentów, żeby płacili za opiekę, powiedziała, gdyż większości na to nie stać, ale tym, którzy płacą, jesteśmy bardzo wdzięczni”. Obiecała, że wraz z pozostałymi zakonniceami będzie się za mnie modlić, i na



znak wdzięczności wcisnęła mi do ręki biały plastikowy różaniec. Nie miałem pojęcia, co z nim zrobić, więc, zawstydzony, po prostu schowałem go do kieszeni, sądząc, że za kilka dni, kiedy wstyd minie, bez skrpułów go wyrzucę. Lecz teraz wyjąłem różaniec z kieszeni i dałem go Isaakowi. Mój kompan nie był święty, lecz miał w sobie pokłady serdeczności i przyzwoitości, których się po nim nie spodziewałem; obie te cechy zresztą uczyliśmy się w sobie tłumić.

Uniósł zawieszony na palcu różaniec.

– Co mam z tym zrobić?

– Dostałem go od zakonnicy z podziękowaniami dla ciebie.

Wsunął podarunek do kieszeni.

– To nie mnie powinny dziękować – oświadczył. Odsunął się ode mnie na kilka kroków. – Wyglądasz całkiem dobrze. Odtąd będę na ciebie mówił Ali.

– Sporo ćwiczyłem.

– Jak się czujesz?

– Na twój widok poprawiło mi się samopoczucie. Bałem się, że będę musiał sam wracać do domu.

– Już nie masz domu.

– Domyślam się. Powiedział dlaczego? Wie, że nic złego nie zrobiłem?

– Jeszcze nie rozumiałeś, że to nie ma żadnego znaczenia? Więzienia pełne są frajerów, którzy klepią w kółko to samo: „Jestem niewinny, nic nie zrobiłem, wracałem po prostu z pracy do domu”. Tylko głupcy tak mówią. Wiesz, co powiedział mi twój gospodarz, kiedy cię szukałem?

– Że kiepski ze mnie bojownik.

– To wszyscy już od dawna wiedzieli. Mówił, że naraziłeś się władzy. Że przyjechałeś tu wicherzyć. Kiedy poszedłem tam drugi raz i powiedziałem, że trafiłeś do szpitala, chyba nie uwierzył. Dał mi worki na twoje rzeczy.

– Sam je spakowałeś?

– Nie dał mi szansy. Nawet mnie nie wpuścił do środka. Mówił, że ci współczuje, ale ma dość własnych problemów i musi zatroszczyć się o rodzinę.

– A ty co na to?

– Tłumaczyłem, że jeśli naprawdę chce chronić rodzinę, powinien natychmiast zgłosić się na policję. „Mam się dać zamknąć?”, odpowiedział. To wszystko przez takich jak wy”.

– I co dalej?

– Nic. Wściekł się. Chciał mnie uderzyć. Bał się, bo wiedział, że mam rację. Tylko tyle mogłem dla niego zrobić. Może pójdzie po rozum do głowy i ukryje trochę pieniędzy w jakimś schowku, znanym tylko żonie. Albo zorientuje się, co jest grane, spakuje dobytek w środku nocy i ucieknie z rodziną do swojej wioski.

Podniósł oba worki i ruszył w stronę ulicy.

– Nie mam dokąd pójść – powiedziałem.

Pamiętam, jak pomyślałem sobie, że tym stwierdzeniem zdobyłem się na rzadko spotykaną szczerłość. Jednak się myliłem. Z Isaakiem u boku mogłem nie wiedzieć, dokąd idę, lecz zawsze miałem przed sobą cel.

– Nie martw się – odparł. – O wszystkim pomyślałem.

\*

Nigdy nie oglądałem stolicy przez szyby samochodu. Jak większość, poruszałem się po mieście głównie pieszo, czasem przepełnionym autobusem, w którym ścisk wystawiał granice nietykalności na ciężką próbę. Małe błękitne taksówki z białymi dachami, nawet te najbardziej sfatygowane, zastrzeżone były dla bogatych i dla białych. Dzień i noc długie rzędy taksówek stały przed dwoma największymi hotelami w mieście; wystarczyło kilka porządnych kursów, żeby kierowcy opłacili się długie godziny wyczekiwania na pasażerów. Nawet gdybym miał dość pieniędzy, żeby zapłacić za przejazd, który kierowca, widząc mnie na poboczu, uwierzyłby, że mnie na to stać? Wywodziłem się z niewłaściwej kasty i same pieniądze nie wystarczały, żeby się z niej wydostać. Gdy doszliśmy do ulicy, Isaak uniósł rękę i natychmiast podjechała taksówka czekająca przed kawiarnią przecznicę dalej. Spojrzałem pytająco na Isaaka i nagle mnie oświeciło. Zobaczyłem to, co widział taksówkarz – młodego, pewnego siebie mężczyznę, którego ubiór i nieskazitelnie czyste buty wymownie świadczyły o przynajmniej umiarkowanej zamożności.

Przejechaliśmy pięćdziesiąt, góra sto metrów, co chwila przystając i ruszając gwałtownie. Trzy przecznice, tyle wystarczyło, żebym sobie uświadomił, że wreszcie widzę to miasto tak, jak je sobie zawsze wyobrażałem. Oczyma duszy widziałem uliczny tłum, na który składali się mężczyźni w garniturach i kobiety w błękitnych lub purpurowych sukniach i oto miałem ich przed sobą wraz z kierującym ruchem policjantem w białych rękawiczkach, który też niekiedy pojawiał się w moich wizjach. Oczywiście, widok ten był mi znany; przynajmniej dwa razy przechodziłem wcześniej przez ulicę na tym samym skrzyżowaniu, przez które właśnie mozolnie się przedzieraliśmy. Lecz dopiero teraz do mnie dotarło, że żyłem fantazjami, do których inspirację czerpałem z pism ilustrowanych i audycji radiowych. Za bardzo wczuwałem się w rolę fikcyjnej postaci, żeby to sobie uzmysłwić.

Często wyobrażamy sobie zmarłych jako duchy obdarzone mocą unoszenia się obojętnie gdzieś nad naszymi głowami. Moje mrzonki o życiu w stolicy bardzo je przypominały; w swych rojeniach znajdowałem się wysoko ponad toczącym się w dole życiem. Jazda taksówką dawała mi takie samo poczucie. Miałem wrażenie, że szybuję nad miastem, które mogę spokojnie podziwiać, nie martwiąc się, że pobrudzę sobie ręce.

Co kilka przecznic Isaak podawał kierowcy nowe instrukcje. Celowo posuwaliśmy się okrężną drogą; skręcaliśmy to w prawo, to w lewo, choć równie dobrze mogliśmy jechać prosto. A kiedy taksówkarz zaczął się denerwować, Isaak pochylił się w jego stronę i rzucił mu dwa banknoty. Wkrótce dotarliśmy do dzielnicy miasta, w której nigdy wcześniej nie byłem. Stały tu nowe, niskie domy schowane za betonowym murem, zza którego wystawały tylko dachy i kilka okien na piętrze. Co okazalsze budynki miały bramy zwieńczone drutem kolczastym i tłuczonym szkłem, a tego, przed którym w końcu się zatrzymaliśmy, ostatniego przy wąskiej zwirowej drodze, strzegli dwaj mężczyźni na dachu.

– Witaj w domu – powiedział Isaak.

Znów kilka banknotów zmieniło właściciela. Nie interesowała mnie zapłacona kwota; na pewno przekraczała należność za kurs, lecz wiedziałem, że to bez znaczenia. Nim zdążyliśmy otworzyć drzwi i wysiąść z samochodu, brama rozsunęła się i podszedł siwowłosy starszy mężczyzna ubrany w granatowy mundur, żeby zabrać moje rzeczy. Z twarzy i postawy przypominał mojego ojca, który walczył w armii cesarskiej, kiedy kraj zaatakowały Włochy. Służył w niej niecały rok, lecz podobnie jak wszyscy jego

towarzysze broni, zachował dozągonną cześć dla szarży i dyscypliny wojskowej.

Mężczyzna, nim podniósł worki, zasalutował Isaakowi, mój ojciec na jego miejscu zapewne postąpiłby tak samo. Przywiązanie ojca do dyscypliny zawsze uważałem za niedorzeczne, a czasami wręcz żenujące; teraz przynajmniej wiedziałem, że nie był w tym odosobniony. Nie brakowało na świecie osobników wielbiących wojskowy dryl.

Isaak odpowiedział skinieniem głowy. Zarówno on, jak i ja w niczym nie byliśmy do nich podobni. Należeli do rzadkiego i wymierającego gatunku, od którego, gdybym nie poruszał się o kulach, uciekłbym w podskokach.

\*

Następne dwie noce Isaak i ja spędziliśmy w tym domu sami. Strażnicy, którzy zmieniali się co wieczór, przychodzili i odchodzili bez słowa. Każdego ranka dziewczyna w białej chuście na głowie przynosiła nam posiłek w garnku i zostawiała na kuchence gazowej. Nakładaliśmy sobie jedzenie, a takie kwestie, jak: kto zaczynał służbę, a kto kończył, kto gotował, a kto pilnował, zupełnie nas nie obchodziły.

Rano Isaak pomagał mi zejść z drugiego piętra, gdzie mieścił się mój pokój. Obejmowałem go ramieniem i mozolnie schodziliśmy po nierównych krętych schodach świadczących dobitnie o tym, jak pospiesznie stawiano ten dom. Herbatę i kawę piliśmy na dziedzińcu przy kamiennej fontannie, do której każdego popołudnia zlatywało się stado złocistych ptaszków; kiedy nikogo nie było w pobliżu, chlapały się i zanurzały dzióbki w wodzie. Czekałem, aż Isaak mi wyjaśni, co robię w tym domu i jak on sam do niego trafił, lecz nim zdążyliśmy wypić tam pierwszą filiżankę kawy, pojąłem, że niespieszno mu do tłumaczeń. Nie chciał rozmawiać o polityce ani o ludziach, z którymi się związał. Nie kwapił się też, żeby wyjaśnić kwestię pieniędzy, które dostawał na utrzymanie i które pokryły koszty mego leczenia, a obecnie zapewniały mi wikt. Chętnie za to rozmawiał o ciekawych miejscach na świecie, które miał nadzieję kiedyś odwiedzić.

– Najpierw pojechałbym do Egiptu – powiedział. – Chcę zobaczyć piramidy. Nawet jeśli nie są takie wspaniałe, jak wszyscy mówią, to przecież zbudowaliśmy je my, Afrykańczycy. A potem do Londynu, żeby spotkać się z królową. Jest tyle spraw, o które chciałbym ją zapytać.

Rozmawialiśmy o Rzymie, Paryżu i Nowym Jorku. Marzyło mu się poznać Hollywood i świat gwiazd filmowych.

– Przydałby im się ktoś taki jak ja – stwierdził. – Jestem świetnym aktorem. Na pewno stałbym się sławny.

Podobne mrzonki snułem, kiedy leżałem zabandażowany w szpitalu. Rozmyślałem o Ameryce i Europie, dość ogólnikowo, za to z rozmachem; roily mi się niebosiężne budynki i pomniki z białego marmuru. Wyobrażałem sobie, że tu, w Afryce, znajdę sobie żonę, cudzoziemkę, jakąś lekarkę z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, która zlituje się nad moim skatowanym ciałem i się zakocha, mimo że nasze światy dzieli przepaść, a ja nie mam nic, co mógłbym jej ofiarować, oprócz ubóstwa. Ratunek – to do tego tak naprawdę sprowadzają się wszelkie baśnie i romanse; spontaniczna miłość, która uwalnia nas z więziennej wieży, szpitalnego łóżka czy rozbitego świata, stanowi jedynie środek do osiągnięcia tego celu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie zanosì się na to, żebyśmy mieli opuścić ten budynek, a tym bardziej to miasto i kraj, przynajmniej w najbliższym czasie. Duży, pusty

dom, w którym mogliśmy marzyć do woli, dawał namiastkę innego, być może lepszego życia, dla nas nieosiągalnego.

\*

Przez te dwa dni żyliśmy jak w zaczarowanym świecie. Przez większą część drugiego dnia zastanawialiśmy się, jak można by upiększyć dom i obejście.

- Basen – stwierdził Isaak. – W tym miejscu, gdzie teraz siedzimy. I więcej trawy.
- Schody – powiedziałem. – Rozebrałbym je i wyrównał.

Isaak chciał pomalować dom na czerwono. Ja uważałem, że szary byłby bardziej odpowiedni, i przez następne pół godziny kłóciliśmy się o kolor elewacji. Kiedy zapadał zmierzch, nasze życzenia ograniczyły się do wygodniejszych łóżek i lepszego jedzenia, bardziej treściwego niż kawałki tłuszczu ze śladową ilością mięsa – jagnięciny dla Isaaka i kurczaka, najlepiej grillowanego, dla mnie.

Obiad zjedliśmy na dziedzińcu. Isaak, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, w widowiskowy sposób, niczym kelner, przyniósł z kuchni talerze z nałożonymi porcjami. Ponieważ ta parodia z powodzeniem zastąpiła prawdziwy posiłek w restauracji, nasza lista życzeń zmalała o jedną pozycję.

Przełknęliśmy szybko mdłe danie, którym od dwóch dni nas karmiono – ryż wymieszany ze zwiędłymi warzywami. Kiedy skończyliśmy, Isaak poszedł po dokładkę, ale się okazało, że za późno; strażnicy zdążyli zjeść wszystko, co zostało.

– Mam jeszcze jedno życzenie – oznajmił. – Zupełnie skromne. Myślę, że i ty się ze mną zgodzisz. Nigdy więcej nie chcę kłaść się spać z pustym żołądkiem.

Trzymając w ręku szklanki z wodą, wznieśliśmy toast.

– Żebyśmy już nigdy nie głodowali.

– Żebyśmy nie głodowali.

Zanim położyliśmy się spać, Isaak oświadczył, że następnego dnia musimy pokazać się z jak najlepszej strony; rano mieli przyjechać właściciele domu.

## HELEN

Kiedy stanęłam przed domem Isaaka, wiedziałam, że na pewno zdążył już wrócić. Byłam trochę spóźniona; najpierw, przed uniwersytetem, nie spieszyłam się z powrotem do samochodu, a potem, zanim w końcu zaparkowałam w pobliżu jego domu, krążyłam po okolicy, wyglądając granatowego sedana, w którym go wcześniej widziałam. Mijając jego kamienicę, przyspieszyłam, żeby mnie nie zauważył, gdyby akurat patrzył przez okno, natomiast sąsiednie kwartały objechałam powoli. Na werandzie jednego z domów siedziała starsza kobieta, zapewne jedna z nielicznych białych, jacy się jeszcze ostali w tej dzielnicy. Kiedy przejeżdżałam powolutku obok, przyglądała się z niepokojem; przypuszczam, że gdy zobaczyła wyraźnie moją twarz, odetchnęła z ulgą: byłam przecież młodą białą kobietą w używanym, lecz całkiem porządnym, czterodrzwiowym samochodzie. Okrążyłam cały kwartał jeszcze raz. Nie miałam lepszego powodu niż ten, że nie zauważyłam nigdzie sedana Isaaka, a nie chciałam, żeby poszukiwania zakończyły się fiaskiem; kiedy ponownie mijałam kobietę na werandzie, pomachałyśmy do siebie.

\*

Przyznaję, że zabawa w detektywa przez pierwszą godzinę sprawiała mi ogromną frajdę. Zrozumiałam, dlaczego David zdecydował się kiedyś po pracy mnie śledzić, choć nim mogły kierować również inne pobudki. W chwili kiedy zobaczyłam, jak Isaak wsiada do samochodu, poczułam nieodpartą chęć, żeby się roześmiać, zacząć biegać, skakać, tańczyć, zrobić cokolwiek, żeby spożytkować przypływ rozpierającej energii. Nie tylko on miał swoje sekrety; ja też działałam potajemnie, byłam szpiegiem, a na parkingu nawet kryłam się w cieniu.

Zrobiłam zestawienie moich wątpliwości na temat Isaaka, chociaż niepełne. Gdybym próbowała nazwać i wymienić je wszystkie, ulotniłaby się niegroźna fantazja osnuta wokół zagadki i spisku i pozostałoby samo oszustwo. Dlatego postępowałam ostrożnie i skupiałam się na oczywistych niewiadomych. Pomyślałam o jego nagłym zniknięciu, o tajemniczej podróży po Ameryce, lśniącym czystością mieszkaniu, samochodzie i skąpej, jednokartkowej kartotece w biurze, z której wynikało jedynie to, że taka osoba istnieje, i nic więcej. Wszystko razem mogło oznaczać tylko jedno – Isaak jest szpiegiem albo tajniakiem. Wobec tego pytanie brzmiało: nie kim jest, lecz dla kogo pracuje. Przeciwnik czy przyjaciel? Ciężko mi było rozstrzygnąć tę kwestię. Zadurzenie się we wrogu miało w sobie coś romantycznego – wiązało się z większym ryzykiem, za to szanse na szczęśliwe zakończenie były znacznie mniejsze. Lecz gdyby Isaak był po naszej stronie, już rysowało się przed oczami szczęśliwe zakończenie: mogłabym być nie tylko jego kochanką, lecz również powierniczką, a kto zapewniłby mu lepszy kamuflaż niż kobieta taka jak ja? Przygoda czy romans? Bycie razem zawsze wygrywa z samotnością.

\*

Tym razem zaparkowałam pod domem, a nie za rogiem, jak to miałam w zwyczaju. Mieszkanie Isaaka mieściło się na pierwszym piętrze. Wszystkie okna wychodziły na ulicę, w sypialni paliło się światło. Przed spotkaniem twarzą w twarz chciałam na niego popatrzeć z bezpiecznej odległości. Włączyłam radio. Śpiewał Bob Dylan. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Isaaka w oknie. Wyłączyłam silnik i wysiadłam

z samochodu. Zanim przeszłam przez ulicę, jeszcze raz spojrzałam w górę i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie. Spodziewałam się, że się uśmiechnie albo chociaż mi pokiwa, lecz na jego twarzy nie było nawet cienia radości.

\*

Tamtego wieczoru nie weszłam do jego mieszkania. Stałam przy krawężniku i się wahałam. Zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby po prostu odjechać. Zanim się zdecydowałam, Isaak wyrósł przede mną jak spod ziemi.

– To nie jest odpowiednia chwila – zaczął, łapiąc mnie za rękę i prowadząc z powrotem do samochodu. Był spokojny, jakby przygnębiony. Kiedy chwycił moją rękę, miałam wrażenie, że próbuje mnie chronić; podobnie otaczał mnie ramieniem ojciec, kiedy przechodziliśmy przez ruchliwą ulicę. Lecz intencja się nie liczyła. Jak tylko mnie dotknął, oboje poczuliśmy, że między nami zarysowuje się podział, i moje ciało zareagowało instynktownie – odskoczyłam jak oparzona.

Isaak próbował zdobyć się na przeprosiny.

– Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem.

– Wcale mnie nie przestraszyłeś – odparowałam. – Tylko nigdy nie wiadomo, czy ktoś nas nie obserwuje.

To była kiepska obrona. Nikt nas nie obserwował. Lęki i uprzedzenia tkwiły w nas tak mocno, że do tego, by się ujawniły, niepotrzebna była żadna widownia. Sądziłam, że nic gorszego niż nieudany lunch w restauracji przytrafić nam się nie może, lecz się myliłam. Gorsze jest uczucie strachu ogarniające cię z powodów, do których nie chcesz się przyznać, gdy w miejscu publicznym kochanek bierze cię za rękę.

\*

Ciekawe, czy gdybym przed poznaniem Isaaka kiedykolwiek próbowała zerwać z łatwo przychodzącą małosłowną kołtunerią, tak powszechną w naszym codziennym życiu, że zauważałam ją tylko w jej najbardziej skrajnych przejawach, nie paliłabym się tak ze wstydu tamtego wieczoru. Możliwe, że uwalniałabym go powoli przez następne lata, tak jak zawór bezpieczeństwa uwalnia nadmiar pary, dzięki czemu rury nie pękają pod ciśnieniem wody. Lecz jest też całkiem możliwe, że nigdy nie zaznajemy ulgi, że bez względu na nasze poczynania jesteśmy uwikłani w sieć wszystkich bez wyjątku uprzedzeń, jakie panują w naszym kraju, i w zbrodnie, jakie za sobą pociągają. Kiedy Isaak się odwrócił, żałowałam, że nie ma jakiegoś sposobu na to, żebym mogła rozpuścić się w powietrzu albo chociaż wyjść ze skóry, zachować ciało, lecz bez okrywającej je powłoki. Ogarnął mnie wstyd tak przejmujący, że dopiero gdy Isaak wszedł do kamienicy i zatrzasnął za sobą drzwi, zdałam sobie sprawę, że w czasie, gdy staliśmy razem na ulicy, w jego salonie zapaliło się światło, a dokładnie lampa przy stole – ta, którą przywiozłam od siebie z domu, kiedy powiedział, że nie może czytać wieczorami w salonie, bo jest za ciemno.

## ISAAK

W dniu spodziewanego przyjazdu właścicieli strażnicy, którzy dotąd przysypiali na posterunkach, zerwali się już przed świtem i od rana porządkowali dziedziniec. Patrzyłem z okna mojego pokoju, jak cała czwórka zapamiętałe zgarnia grabiami żwir, odsłaniając miłąką czerwoną ziemię. Ich dokładność graniczyła z obsesją; przeciągali grabiami po każdym kolejnym metrze kwadratowym nawierzchni tak długo, aż usunęli wszystkie kamyki.

Przyglądałem się im co najmniej pół godziny, czekając, aż zwolnią tempo, odstawią grabie, pogawędzą, odprężą się trochę; lecz oni wykonywali swoje zadanie z niesłabnącym zapałem. Na początku sądziłem, że się tak uwijają, ponieważ się cieszą, że wreszcie mają konkretne zajęcie, lecz gdy wychyliłem się za okno, dostrzegłem Isaaka, który ze skrzyżowanymi nogami i papierosem w ustach stał oparty o jedyne drzewo rosnące na dziedzińcu i nie spuszczał z nich wzroku. W tej pozycji wyglądał jak pan i władca, człowiek, który sprawuje rządy niemal od niechcienia, jakby to było jego przyrodzone prawo.

Ubrałem się powoli. Rany zagoiły się na tyle, że mogłem o własnych siłach zejść po schodach, ale i tak żałowałem, że nie ma przy mnie Isaaka, na którym mógłbym się wesprzeć. Gdy wyszedłem na dziedziniec, od razu zrozumiałem, jaki był cel tych drobiazgowych porządków. Od bramy do drzwi frontowych rozciągał się szeroki łuk oczyszczonej ziemi niczym utworzona z czerwonego pyłu połówka serca. Przydawało to domowi dostojęństwa; nie wierzyłbym, że coś takiego jest możliwe, gdybym nie zobaczył. Pomysł Isaaka zasługiwał na podziw. Jego samego rozpieierała duma.

– Popatrz tylko na nasze dzieło – zawołał spod drzewa.

Nie on jeden był dumny. Strażnicy przerwali na chwilę pracę i popatrzyli na Isaaka z podziwem i zarazem z wdzięcznością.

Isaak klasnął w dłonie. Jeden ze strażników przyniósł dla mnie krzesło i postawił pod drzewem.

– Nie mamy za dużo czasu – stwierdził. – Oni przyjadą za kilka godzin.

Miałem jedynie mgliste pojęcie, kim „oni” są, a moje wyobrażenia na ich temat opierały się głównie na wyglądzie ważnych osobistości, które przypadkiem, przez krótką chwilę, zdarzyło mi się ujrzeć na ulicy. Mężczyźni ci, w okularach przeciwsłonecznych w złożonych oprawkach, zwykle mieli sterczące brzuchy, których wcale nie starali się ukryć. Nosili luźne spodnie i koszule w tym samym kolorze, a najstarszy lub najbogatszy spośród nich trzymał w ręku laskę z lśniącą złotą rączką. Widywałem ich w stolicy przy różnych okazjach, najczęściej gdy wysiadali z samochodu. Mogli być biznesmenami, wojskowymi czy ministrami w rządzie. To zawsze stanowiło zagadkę dla ulicznych gapiów takich jak ja, którzy nigdy nie mieli odwagi, żeby zapytać. Ten nimb tajemniczości potęgował bijącą od nich siłę i choć wraz z Isaakiem gościłem w domu jednego z nich, zdawałem sobie sprawę, że obowiązuje w nim ta sama hierarchia.

Kiedy podjazd był już gotowy, strażnicy zabrali się do sprzątnięcia terenu. Zgrabili wszystkie liście, jakie spadły z drzewa, wybrali brudną wodę z fontanny. W pewnej chwili pojawiła się dziewczyna w białej chuście, która przynosiła nam posiłki; towarzyszyły jej dwie inne dziewczyny, mniej więcej szesnasto-, siedemnastoletnie. Na ich widok odezwał się w mojej głowie ochryply, zgryźliwy głos: „Masz swoją Nadię i Verę”. Przez cały dzień nosiły wiadrami wodę z kuchni i myły na kolanach podłogi,

a Isaak stał z boku i się przyglądał. Byłem ciekaw, jakie mają imiona, lecz starałem się za bardzo nie zbliżyć. Ilekroć mignęła mi jedna albo druga, myślałem: „Vera klęczy i szoruje podłogę” albo: „Nadiya poszła po wodę”.

Isaak poprosił mnie tylko o jedno.

– Dzisiaj musisz wyglądać jak ta lala – powiedział. – Idź do pokoju się przebrać.

Wskazał temblak, który unieruchamiał mi prawe ramię, nie dopuszczając jednocześnie do nadmiernego przesuwania się żeber.

– Potrzebne ci to? – zapytał.

– Żartujesz? – odparłem. Wyjąłem rękę z opaski i z trudem podniosłem. Nie spodziewałem się, że aż tak zaboli. – Nigdy tego nie potrzebowałem.

Uśmiechnął się. Poklepał mnie delikatnie po przewiązanym ramieniu. Nic nie powiedział, ale czułem, że jest ze mnie dumny.

\*

W ciągu kilku godzin wszystkie prace porządkowe zostały wykonane, a pomysły Isaaka już się wyczerpały. Dom lśnił, dziedziniec zamiatany był na nowo co pół godziny i prezentował się nienagannie. Nie pozostało nic innego, jak czekać na przyjazd właścicieli.

– Będą tu o trzeciej, najpóźniej o czwartej – zapewniał Isaak.

Na powitanie właścicieli Isaak ustawił przed wejściem do domu w idealnym dwuszeregu wszystkich strażników oraz dziewczyny, które od rana sprzątały i gotowały. Stali tak przez godzinę; o trzeciej, gdy nikt się nie pojawił, kazał im ustawić się wzdłuż domu. Tym razem pokaz trwał zaledwie kilka minut, gdyż Isaak szybko stwierdził, że są do niczego.

– To nie do przyjęcia – orzekł. – Popatrz na nich. Wyglądają jak łachudry.

Po kolei rozprawiał się ze strażnikami. Zaczął od obuwia.

– To nie slumsy – powiedział, plując im na buty.

Zerwał dziewczynom z głów chustki i dał strażnikom, żeby wyczyścili sobie buty.

Kiedy się z tym uporali, przyszła kolej na twarze. Isaak złapał najmłodszego ze strażników, starszego od niego o dobre dziesięć lat, za ucho.

– Ty chyba nie dosłyszysz – powiedział. – Zobaczymy, co masz w uszach.

Wziął od strażnika brudną chustkę, zwinął w stożek i wepchnął mu do ucha, a potem zaczął nią pucować jego czoło i policzki. Spojrzał na pozostałych, którzy jak jeden mąż wyczyścili sobie twarze.

Przyglądałem się z boku, jak Isaak daje upust nerwowej, bezpodstawnej irytacji. Przyrzekłem sobie, że jeśli każe to samo robić dziewczętom, stanowczo się sprzeciwię, lecz najwidoczniej wyczerpał całą agresję na strażnikach. Wydaje mi się, że od samego początku to przeczuwałem i głównie dlatego odważyłem się powziąć takie postanowienie.

Na szczęście noc okazała się naszym sprzymierzeńcem. Jak tylko zaczęło się ściemniać, z Isaaka uleciało całe napięcie. Wiedział, że wyczekiwanie niebawem się skończy; nikt nie lubił włączyć się po ciemku, nawet żołnierze patrolujący ulice. Jeśli zmierzch zastaje cię daleko od domu, wydaje ci się, że nie ma na świecie nic okrutniejszego niż zachód słońca, zwłaszcza jeśli jest oszałamiający, a niebo spowijają pasemka purpurowych i czerwonych chmur. W takich chwilach piękno dobitnie przypomina o obojętności przyrody czy też, jeśli jesteś wierzący, Boga. Im wspanialszy



przepych ginącego słońca, tym bardziej dojmująca pustka i groza, jaka po nim nastaje. Pamiętam, że tamtego wieczoru słońce przedstawiało widok wspanialszy niż zwykle, lecz tylko dlatego, że cała nasza dziesiątka zebrała się, żeby podziwiać je w poczuciu bezpieczeństwa, jakie daje wspólnota.

Gdy tylko słońce zniknęło za horyzontem, doleciały nas odgłosy potężnych silników i żwiru chrzęszczącego pod kołami. Strażnicy odpowiedzialni za otwieranie bramy gwałtownie odwrócili się w jej stronę, jakby rwali się do tego jednego zadania, co do którego mieli pewność, że potrafią je wykonać. Isaak patrzył na ich twarze, trzymając w ten sposób strażników w ryzach. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy samochody były już niemal pod bramą, kłaśnięciem pozwolił im się ruszyć. Cała czwórka pognąła do bramy, żeby podnieść sztaby i odsunąć na bok skrzydła. W pośpiechu rozdeptali nawierzchnię podjazdu, którą wcześniej tyle godzin wygładzali. Wystarczyło kilka sekund, żeby cały ich poranny wysiłek poszedł na marne. Isaak ani trochę się tym nie przejął. Wręcz się uśmiechnął, widząc, jak niszczą dzieło, które wcześniej stworzyli na jego polecenie.

– Popatrz na nich. Są jak dzieci – stwierdził.

Lecz przez niego nie przemawiała życzliwość. Choć nazwał strażników dziećmi, byłem pewny, że tak naprawdę chciał powiedzieć coś innego – że są jak psy.

\*

Skrzydła bramy otworzyły się jednocześnie we właściwej chwili i na dziedzińcu wtoczyły się trzy czarne mercedesy. W wieczornym półmroku, wlepiając w nas jasnożółte ślepia przednich reflektorów, wyglądały jak groźne drapieżniki. Wątpię, czy tylko mnie jednego opanowało instynktowne pragnienie rzucenia się do ucieczki. To tylko ludzie, tłumaczyłem sobie, lecz nie znajdowałem w tym żadnej pociechy. Jeśli na tym świecie należało się czegośkolwiek bać, to właśnie ludzi przybywających pod osłoną nocy, siedzących w drogich samochodach z przyciemnionymi szybami, z włączonym silnikiem i zapalonymi światłami, którzy dokonują oceny własnego bezpieczeństwa i wartości, jaką przedstawia dla nich twoje życie.

Co najmniej kwadrans minął, nim najpierw w jednym samochodzie, a potem w drugim i w trzecim, zgasły silniki. Przez ten czas nikt spośród nas się nie odezwał ani nie poruszył. Zrobiło się zupełnie ciemno. Na to właśnie czekali przybysze. Kiedy otworzyły się drzwi samochodów, z miejsca, które zajmowałem na werandzie, widziałem jedynie błyski srebrnych klamek i sylwetki sześciu mężczyzn wysiadających parami z każdego z nich. Czterej, ubrani w ciemne garnitury, byli mniej więcej mojego wzrostu i niemal tak szczupli jak ja. Natomiast dwaj, którzy wysiedli pierwsi z ostatniego samochodu, byli krępi i przysadziści; ich ordery i czapki wojskowe rysowały się w mroku niemal tak wyraźnie jak pistolety, które nosili u boku.

\*

Choć niespokojne wyczekiwanie i przygotowania na ich przyjazd trwały wiele godzin, już po paru minutach goście zniknęli nam z oczu. Przez chwilę rozmawiali na dziedzińcu, a potem, nie zaszczyciwszy nawet przelotnym spojrzeniem strażników ani nowego otoczenia, weszli po kolei do domu. Tylko jeden zauważył naszą obecność i wykonał gest, który można by uznać za króciutkie, bo trwające zaledwie kilka sekund, powitanie. Ten mężczyzna był znacznie młodszy od pozostałych. Jego twarz wydała mi się znajoma. Zatrzymał się, mijając Isaaka.

– Świetnie się spisałeś – stwierdził, ściskając oburącz jego dłoń.

Mówił z autentycznym brytyjskim akcentem, jego głos również brzmiał znajomo. Rozmyślnie nie patrzył w moją stronę, lecz i tak przypomniałem sobie, gdzie go wcześniej widziałem; siedział niedaleko nas przy stoliku w Café Flamingo. To on powstrzymał oprawców Isaaka. Ilekroć przechodziłem obok tej kawiarni, sam lub w towarzystwie Isaaka, zawsze szukałem go wzrokiem. Nigdy na niego nie natrafiłem, zresztą nawet gdyby tam siedział, nie wiem, co powiedziałbym Isaakowi. „Widzisz faceta przy tamtym stoliku? Gdyby nie on, zatłukliby cię na śmierć”. A może raczej: „Ten facet spokojnie się przyglądał, jak ci studenci omal nie zatłukli cię na śmierć”.

Jeden z żołnierzy otworzył drzwi i mężczyzna wszedł do środka. Żołnierz natychmiast zamknął za nim drzwi i stanął przed nimi na warcie, podczas gdy jego towarzysze kręcili się niespokojnie przy samochodach. Uznawszy, że okolica jest bezpieczna, wsunęli pistolety do kabur. Zachowywali się, jak przystało na zawodowców, dając jasno do zrozumienia, że są wojskowymi, a nie najemnikami u kresu kariery.

Wróciliśmy z Isaakiem na nasze miejsce pod drzewem, gdzie przesiedzieliśmy na krzesłach niemal całe popołudnie. Noc była ciepła, nieco parna. W oddali, bliżej centrum miasta, widać było co najmniej pół tuzina jaskrawych lamp służących do łapania pasikoników, które dopiero co się wylęgły. Były to łowy w najprostszym wydaniu: owady zlatywały się chmarami do światła, waliły łebkami o otaczające je metalowe ścianki i zamroczone spadały na ziemię. Zbierano je do wiader, a następnie sprzedawano po kilka sztuk, jeszcze żywe albo opiekane, w brązowych papierowych torebkach albo w plastikowych woreczkach. Na ten przysmak stać było nawet najuboższych. Podobno nawet prezydent się nimi zajadał, pieczonymi lub gotowanymi i maczanymi w czekoladzie.

Isaak również wpatrywał się w odległe lampy. Wyznał mi kiedyś, że jako dziecko chciał założyć hodowlę pasikoników; wyniósł z domu dziadków wszystkie świece i zapalił je na podwórku. „Złapałem tylko trzy, powiedział, za to strasznie pogryzły mnie komary; o mało nie umarłem na malarię”.

– Omija nas cała zabawa – stwierdził, wskazując jaskrawe światła pułapek.

Powiedział to z przekonaniem, pełen melancholii. Ucieszyło mnie to, gdyż nieczęsto zbierało mu się na szczere wyznania.

– Może jutro? – odparłem.

– Na drugi dzień to już nie to samo. Trzeba je łapać pierwszej nocy, zaraz, jak się wylęgną.

Oddał się marzeniom o pasikonikach i fortunie, jaką mogłyby mu przynieść, a ja nie przeszkadzałem. Rzadko zdarzały się takie chwile w życiu, kiedy częśćka mnie zupełnie nie przejmowała się tym, ile minut lub godzin trwa milczenie. Wiedziałem, że drzwi domu nie otworzą się tak szybko, co więcej, zdawałem sobie sprawę, że kiedy to już nastąpi i wejdziemy do środka, to oddawanie się wspomnieniom stanie się dla nas, a zwłaszcza dla Isaaka, jeśli nie niemożliwe, to na pewno o wiele trudniejsze. Dlatego pozwoliłem mu rozpamiętywać przeszłość tak długo, jak się dało. W końcu musiałem jednak zapytać:

– Co teraz będzie?

– Poczekamy – odparł. – Muszą najpierw omówić sprawę, które nas nie dotyczą.

– Ten mężczyzna...

– Który?

– Ten, który ci podziękował.  
– Dlaczego cię interesuje?  
– Widziałem go wcześniej. Był wtedy w kawiarni.  
– Na imię ma Joseph – powiedział Isaak. – Jest właścicielem Café Flamingo.  
– Wiedziałeś o tym, kiedy tam poszliśmy?  
– I tak, i nie. Nie wiedziałem, jak wygląda ani jak ma na imię. Nie sprowokowałbym tej bijatyki, gdybym wiedział, że on się przygląda, ale i tak się udało. Po twoim odejściu przyszedł do mnie. Leżałem w kuchni na stole. Przyprowadził lekarza, żeby mnie zbadał. Powiedział, że zaimponowała mu moja odwaga. Zapytał, czym się zajmuję. Powiedziałem, że studiuje na uniwersytecie, ale się domyślił, że kłamię.  
– Skąd ta troska z jego strony?  
– To nie troska. Po prostu zlitował się nade mną. Potem często zaglądałem do tej kawiarni – jeśli nie byłem w kampusie, byłem właśnie tam. Joseph wynajdywał mi drobne prace – przenoszenie skrzynek, zmywanie podłogi w kuchni. Po kilku tygodniach zapytał, co sądzę o sytuacji w kraju. Wiedziałem, kim był jego ojciec: widziałem go raz, jeszcze zanim przyjechałem do stolicy. W mojej wiosce wszyscy go uwielbiali. Miał zostać pierwszym gubernatorem naszej prowincji, ale tuż przed wyborami zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Prezydent obwinił rebeliantów, nie wykluczał również, że udział w tym brali Brytyjczycy. Na miejsce ojca Josepha wystawił kandydaturę swojego kuzyna, pułkownika. W tym czasie Joseph przebywał w Londynie. Jego ojciec był mądrym człowiekiem. Kiedy starał się o urząd gubernatora, trzymał syna z dala od kraju. Myślę, że mało kto wiedział, że w ogóle ma syna. Nie przyznałem się Josephowi, że znałem jego ojca. Wiedziałem jednak, że mogę być wobec niego szczerzy, więc powiedziałem, że moim zdaniem teraz w kraju jest gorzej niż pod rządami Brytyjczyków. Podobała mu się moja odpowiedź, ale stwierdził, że nie mam racji. „Lepiej zginąć z ręki własnego diabła niż cudzego”, powiedział. Wymienił całą listę nazwisk i zapytał, czy znam te osoby. Odpowiedziałem, że nie. Chciał się upewnić, czy nie kłamię. Odpowiedziałem, że pochodzę z małej wioski i nie znam nikogo w stolicy. „Tym lepiej, stwierdził. Ale pamiętaj, postępuj tak, jakbyś był o tym przekonany. Nawet kiedy to już przestanie być prawdą”. Zacząłem odbierać wiadomości dla niego i mu dostarczać. Tylko w nocy albo wczesnym rankiem. Zwykle przekazywałem je któremuś z tych oficjeli, którzy siedzą teraz w środku, choć żadnego nigdy nie widziałem. Drzwi zawsze otwierał strażnik albo pokojówka. Chciałem być przy Josephie od rana do wieczora, ale powiedział, że jestem potrzebny w kampusie. „Studenci muszą wiedzieć, co się dzieje, powiedział. Nie mogą dowiadywać się o tym z gazet”.  
– I wtedy doszło do protestu? – zapytałem.  
– Naprawdę nie rozpoznałeś żadnego ze strażników?  
– A powinienem?  
– Dwóch z nich pilnowało kampusu – powiedział. – To oni pierwsi wtedy nas zaatakowali. No ale ty szybko uciekłeś, nie miałeś czasu im się przyjrzeć.  
– Wszyscy uciekali. Nie wiedziałem, że źle robię.  
– Nie to miałem na myśli – tłumaczył Isaak. – Dobrze, że uciekłeś. Chciałem cię nawet wcześniej uprzedzić, ale nie mogłem ryzykować. Znalezienie dwóch strażników, którym można było zaufać, kosztowało Josepha wiele zachodu i pieniędzy. Reszta była łatwa. Kiedy studenci poczuli, że są celem ataku, wszystkie odłamy się zjednoczyły i zorganizowały wspólny protest. Miałem w tym niewielki udział. Moim zadaniem było

śledzić rozwój wypadków. Zaskoczyłeś mnie, kiedy się pojawiłeś na kampusie.

– Nie miałem pojęcia, co się dzieje na uniwersytecie. Gdybym wiedział, pewnie bym nie przyszedł.

– Jasne. Ale zostałeś. Zachowałeś się lojalnie. Kiedy się dowiedziałem, że wylądowałeś w szpitalu, myślałem, że to sprawka żołnierzy. Ci, którzy stali przed bramą, nie zrobiliby ci krzywdy. – Isaak wskazał umundurowanego mężczyznę pilnującego samochodów. – To byli ludzie Josepha. Ale wokół kręciło się sporo innych żołnierzy, którzy nie byli po naszej stronie. Powiedziałem Josephowi, że oberwałeś po wyjściu z kampusu. To dlatego opłacił twoje leczenie i pozwolił cię tu sprowadzić. Nie może się dowiedzieć, że skatowali cię, bo po prostu siedłeś sobie ulicą. Sytuacja jest niebezpieczna i dla Josepha, i dla wszystkich pozostałych.

– A co z tobą?

– Trudno powiedzieć. Chyba nic mi nie grozi, ale pewności nie mam. Z ciebie to dopiero szczęściarz. Nie musisz się teraz niczym przejmować. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, coś ty za jeden.

## HELEN

Objechałam cały kwartał ulic i zaparkowałam niedaleko kamienicy Isaaka, po drugiej stronie ulicy. Gotowa byłam przeczekać tam nawet całą noc. Gdyby Isaak wyszedł z domu, ruszyłabym za nim i zaskoczyłabym go – albo odwrotnie, najpierw bym go zaskoczyła, a potem za nim ruszyła. Nie miałam pojęcia, jak potoczą się wydarzenia. Nie miałam planu, zresztą nie był mi potrzebny. Gdyby matka jakimś zrzędzeniem losu zobaczyła mnie wtedy, na pewno by spytała: „Helen, co ty wyprawiasz? Jaki masz plan?”.

Sądzę, że różniłam się od niej przede wszystkim brakiem planu, choć nie tylko. Matka miała długie włosy – ciemnobrązowe, niemal czarne. Moje były jaśniejsze, latem niemal blond, i nigdy nie dłuższe niż do ramion. Matka miała grube łydki i wąskie, małe stopy. Moje nogi były szczupłe, a butów matki nie mogłam założyć już jako nastolatka. Ja po szkole poszłam na studia, ona dwa lata po maturze zaszła w ciążę i wzięła ślub. Ja ciągle sobie podśpiewywałam; jej repertuar ograniczał się do dwóch piosenek: *Silent Night* i *White Christmas*, nuconych zresztą tylko w okolicach świąt. Miała drobne dłonie z długimi i delikatnymi, niemal ptasimi palcami, które – jak sobie wyobrażałam – łatwo można było złamać. Moje dłonie były szerokie, a palce duże – ręce mężczyzny, tak określił je kolega w szkole podstawowej. Jej jedyną lekturę stanowiła Biblia, głęboko wierzyła w Boga, mnie zaś był on całkowicie obojętny, a do kościoła w niedzielę chodziłam tylko dlatego, że matka nalegała. Miała idealnie owalną twarz, za młodu całkiem ładną, choć nie piękną. Moja twarz była taka jak jej, kiedy była w moim wieku, i obiecałam sobie, że nie dopuszczę do tego, żeby obwisła i nabrzmiała jak z czasem twarz matki. Ja budziłam się kilka razy w ciągu nocy, matka spała jak zabita. Łatwo wzruszała się do łez. Nienawidziła prowadzenia samochodu, zawsze trzymała obie ręce na kierownicy i nawet po południu na pustych, wiejskich drogach jechała z prędkością o dziesięć kilometrów na godzinę niższą od dozwolonej. Ja z kolei mogłam siedzieć za kółkiem całymi godzinami. Rodzice dali jej na imię Audrey, po jej babce. Dla mnie ojciec wybrał imię Helen; dlaczego, sam później nie pamiętał. To były tylko powierzchowne różnice między nami. Matka była ostrożną kobietą; do tej chwili to samo można było powiedzieć o mnie.

\*

W mieszkaniu Isaaka paliły się światła. Dostrzegłam go, jak chodził po salonie tam i z powrotem, łapiąc się za głowę. Odwrócił się w stronę okna, lecz z mojego miejsca w samochodzie trudno było dojrzeć jego twarz.

Powiedziałam sama sobie, że gdybym była swoją matką, odjechałabym stąd czym prędzej.

Opuściłam szybę, żeby przyjrzeć się Isaakowi dokładniej. Nie miałam pewności, ale chyba poruszał ustami, tak to przynajmniej wyglądało. Może coś mówił, śmiał się albo płakał. W każdym razie nie był sam.

Wystawiłam głowę za okno samochodu. Na ścianę salonu padał cień i nie był to cień Isaaka – krótki, pękaty, zwieńczony okrągłą, prawdopodobnie łysą głową.

Znów odezwał się w mojej głowie głos matki. Tym razem kazał mi uciekać – zamknąć oczy i odjechać. Lecz co by to dało? Nawet gdybym ruszyła i nie zatrzymywała się wcześniej, niż zobaczę przed sobą ocean, Atlantycki czy Spokojny, nadal tkwiłabym

przed domem Isaaka, obserwując cienie w jego oknie.

Wyjęłam kluczyk ze stacyjki i wrzuciłam do schowka. Przyszło mi na myśl, żeby przedziurawić opony, odłączyć świece w silniku. Nie miałam do siebie zaufania, nie wierzyłam, że w końcu nie ucieknę. Po chwili przymknęłam oczy. Lecz David miał rację – w tej dzielnicy nie było wskazane przysypianie w samochodzie. Kiedy poczułam, że zaczynam odpływać, otworzyłam oczy i spojrzałam na okno pokoju Isaaka. Czekwały mnie drobne niespodzianki. Przez chwilę wyglądało na to, że cienie w salonie nie tylko rozmawiają, lecz się sprzeczą, podnoszą ręce, pokazują coś palcami. Potem zapanował niczym niezmacony spokój. Przez bite dwadzieścia minut Isaak siedział na sofie niemal bez ruchu, a jego gość dotrzymywał mu towarzystwa. Uświadomiłam sobie, że wołałam, kiedy się kłócili.

Starłam się nie odrywać oczu od okna, lecz w którymś momencie przysnęłam. Kiedy się ocknęłam, salon wyglądał na pusty. Już zaczęłam się niepokoić, że przegapiłam coś ważnego, gdy z kamienicy wyszedł mężczyzna, którego postać przypominała cień widziany wcześniej na ścianie. Miałam tylko kilka sekund, żeby mu się przyjrzeć, gdy stał w świetle przed drzwiami, rozglądając się za swoim samochodem. Był znacznie starszy, niż zakładałam, łysy, lecz nie taki gruby, jak mi się zdawało.

Zaraz po wyjściu zapalił papierosa i wyjął z kieszeni kluczyki. Ruszył w moją stronę. Zsunęłam się na siedzeniu. Przez opuszczoną szybę słyszałam, jak otwiera i zamyka drzwi samochodu stojącego niedaleko, po przeciwnej stronie ulicy. Chwilę potem uruchomił silnik i włączył reflektory. Chciał mieć pewność, że go nie przeoczę; mijając mnie, opuścił szybę i rzucił: „Dobranoc, Helen!”.

## ISAAK

Isaak i ja przysypialiśmy na krzesłach, kiedy otworzyły się drzwi i pozwolono nam wejść do środka. Dziewczyny i strażnicy wynieśli się już na tył domu, do kwater przeznaczonych dla służby. Lampy wabiące pasikoniki zgasły, tak jak światła w całym mieście. Od dwóch tygodni w ramach oszczędności rząd nakazał wyłączać latarnie uliczne, lecz do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak głębokie ciemności wtedy zapadają. Gdy z naszego ustronnego zakątka patrzyłem na stolicę, przypomniła mi się zasłyszana w dzieciństwie opowieść o mieście, które znikало co noc, kiedy zasypiał ostatni mieszkaniec. Opowiadał mi ją ojciec, który był urodzonym gawędziarzem, choć nie tak znakomitym jak wujowie czy dziadkowie, lubujący się wręcz w dodawaniu do swych opowieści rozmaitych efektów dramatycznych. Mimo że jego spokojny, monotony głos wypadał na ich tle nader poważnie, historie ojca wywierały na słuchaczach długotrwałe wrażenie. O znikającym w nocy mieście zaczął mi opowiadać, kiedy w wieku dziesięciu czy jedenastu lat zawładnął mną nagły irracjonalny strach przed ciemnością. Byłem już na tyle duży, żeby wiedzieć, że nie powinno się bać czegoś tak zwyczajnego jak koniec dnia, i wyrosłem już z bajek na dobranoc, lecz przez pierwszych kilka nocy tej grozy ojciec pocieszał mnie jak małe dziecko. Opowiedział mi o północnych krajach leżących tysiące kilometrów od nas, gdzie mijały nieraz całe miesiące, a słońce nie zachodziło. Liczył pewnie na to, że pocieszy mnie świadomość, że świat się nie kończy, gdy w naszej wiosce gasną ostatnie światła.

Jak twierdził ojciec, miasto z tej historii kiedyś naprawdę istniało. „Nie wymyśliłem go specjalnie dla ciebie”, powiedział. „Wszystko, co usłyszysz, jest prawdą”. Wierzyłem mu, choć nie do końca świadomie, jak dzieci, które odrzucają rzeczywistość w nadziei, że trafi się coś lepszego. „Przez długie wieki, opowiadał ojciec, to miasto istniało tylko dlatego, że nocami śnili o nim jego mieszkańcy. Na początku wszyscy przechowywali we śnie jakąś część miasta; śnili o swoich ogrodach, o roślinach, które posadzili z nadzieją, że na wiosnę zakwitną, o cebuli wciąż jeszcze niedojrzałej i nienadającej się do jedzenia. Śnili o domach sąsiadów, które na ogół podobały im się bardziej od własnych, i o ulicach, jakimi codziennie chodzili do pracy, albo, jeśli byli bezrobotni, do kawiarni, gdzie wysiadali godzinami przy herbacie. Nie miało znaczenia, o czym śnią, jeśli zachowywali pod powiekami choć jeden obraz miasta, a potem przekazywali ten obraz dzieciom, które miały mieszkać w tym samym domu, uczyć się w tej samej szkole, a może też pracować w tym samym biurze co rodzice. Jednak z upływem lat ludziom znudziło się śnić noc w noc o tym samym. Zaczęli narzekać. Sprzeczali się i kłócili między sobą o to, czy nie porzucić swego miasta. Organizowali spotkania, a liczba mieszkańców, którzy nie chcieli dłużej obowiązkowo o nim śnić, systematycznie rosła. «Niech ktoś inny śni o mojej ulicy, o moim domu, o parku, o skrzyżowaniu, przez które przejazd jest okropny, gdyż cały ruch odbywa się w jednym kierunku», mówili, i przez pewien czas zawsze znajdowali się ochotnicy, i brali na siebie dodatkowy obowiązek. Zawsze trafiał się ktoś, kto mówił, «Dobrze, wezmę ten sen i będę śnił jak własny». Tacy bohaterowie obu płci kładli się spać zaraz po zachodzie słońca, żeby zdążyły im się przyśnić wszystkie dzielnice, nawet te, które rzadko, jeśli w ogóle, odwiedzali. Lecz w końcu nawet im sprzykrzyło się dźwiganie na swych barkach całego ciężaru, podczas gdy znajomi i sąsiedzi cieszyli się swobodą. Oni również zaczęli tęsknić do innych snów, i jeden po drugim upominali się

o niepodległość. Mówili: «Jestem już zmęczona. Nim umrę, chciałabym zobaczyć we śnie coś nowego». I nadszedł dzień, kiedy to nikt nie chciał już śnić o mieście. Tego dnia pewien młodzieniec, którego mało kto znał, i któremu nikt nie ufał, przez wszystkie stacje radiowe i na głównym placu miasta ogłosił, że weźmie na siebie cały ciężar istnienia ich świata. «Nie martwcie się, zapewniał, będę za was śnił o wszystkim, co trzeba. Znam na pamięć każdy zakątek tego miasta. W nocy zamknijcie spokojnie oczy, wiedząc, że odtąd jesteście wolni».

Od tamtej chwili wszyscy mieszkańcy wierzyli, że mogą swobodnie śnić o dalekich stronach, o obcych krajach, tych znanych z książek i tych, które nigdy nie istniały, o wymarzonych kochankach, o lepszych mężach czy żonach oraz większych domach. Ludzie ci, nie zdając sobie z tego sprawy, powierzyli nieznanemu młodzieńcowi swoje życie. Zrzekli się na jego rzecz całej władzy, której pożądał, i choć nieświadomie, uczynili go swym królem.

Mijały tygodnie, miesiące, lata. Ludzie śnili o życiu na księżycu i na słońcu. Śnili o zamkach wzniesionych na chmurach, o dzieciach, które nigdy nie płakały, a co noc, kiedy mieszkańcy oddawali się tym mrzonkom, król wymazywał część ich miasta. A to zniknął park, a to przepadło bez śladu wzgórze, z którego roztaczał się najpiękniejszy widok. W ciemności nocy bezpowrotnie zatapiały się kolejne ulice i kolejne domy. Niebawem zaczęli ginąć ludzie, którzy skarżyli się na zachodzące zmiany. Pewnego ranka okazało się, że zniknęły wszystkie rozgłośnie radiowe i biblioteki. Na popołudnie zwołano więc tajne zebranie, na którym uchwalono, że miasto musi odzyskać pierwotną postać. Lecz nikt już nie pamiętał, jak wcześniej wyglądało – budynki zostały poprzerastywane, nazwy ulic zmienione, mężczyzna, który prowadził sklep przy ruchliwym skrzyżowaniu, zaginął bez śladu. Lecz na tym problemy się nie kończyły. Nikt z mieszkańców nie umiał opisać, jak miasto wygląda obecnie, nikt nie miał pewności, czy Avenue Marcel i Independence Boulevard nadal się przecinają, czy francuska kawiarenka należąca do pana Scipiona zamknęła podwoje, czy po prostu została przeniesiona gdzie indziej. Od wielu lat ludzie nie przyglądali się uważnie swemu miastu; na początku dlatego, że wolno im było o nim zapomnieć, później ze wstydu, a wreszcie z obawy, że zobaczą, do jakiego stanu je doprowadzili.

Próbowali znów śnić o swoim mieście, ale zachowali jedynie obraz własnego domu czy ulicy sprzed lat, nie śnili więc, lecz wspominali, a w świecie, w którym rządzi ten, co widzi, nostalgia nic nie znaczy”.

\*

Korciło mnie, żeby opowiedzieć tę historię Isaakowi, lecz nie wiedziałem, jak mu ją wytłumaczyć, żeby nie zabrzmiała głupio. Prezydent kazał nocą wyłączać w stolicy oświetlenie. „I co z tego? – odpowiedziałyby, chce utrudnić rebeliantom atak”. Choć nie dało się zaprzeczyć, że taki był oczywisty powód gaszenia latarni, ja upierałbym się, że w grę wchodzi coś znacznie groźniejszego. Miasto w nocy zniknęło; owszem, prezydent bronił swej pozycji, a jak skuteczniej mógł to osiągnąć, niż pokazując mieszkańcom, że ot tak, jednym pociągnięciem dźwigni, wszyscy oni oraz świat, jaki znają, od łóżek, na których śpią, po nieutwardzone drogi przed domami, mogą po prostu zniknąć?

\*

Drzwi domu się otworzyły i w progu ukazał się Joseph. Miał rozchełstaną koszulę



i poluzowany krawat, jakby całą noc biesiadował, bawił się, pił i wygłaszał przemowy na weselu. Na jego twarzy malowało się wyczerpanie i ulga; jeśli miałem dotychczas wątpliwości, czy jestem mile widziany w jego domu, serdeczny uśmiech Josepha, który zamasztyłem gestem zaprosił nas do środka, spowodował, że natychmiast je od siebie odsunąłem. Gdybym uważniej mu się przyjrzał, może dostrzegłbym, że tak jak wcześniej, właściwie mnie zignorował, całą uwagę skupiając na Isaaku.

– Musicie być zmęczeni, chłopcy – stwierdził. – Przepraszam, że kazaliśmy wam czekać na dworze. Mam nadzieję, że się nie obraziliście. Moi towarzysze są trochę nieśmiali, nie przywykli przemawiać przed liczną widownią.

Ze wszystkich znanych mi osób tylko on jeden wyrażał się w ten sposób. Nie sam akcent, lecz dobór słownictwa nadawał temu, co mówił, oficjalny, a zarazem łagodzący ton, jakby Joseph starał się nie tylko przekazać informację, lecz również wynieść słuchaczy na swój wyższy poziom dla uprzywilejowanych.

– Nic nie szkodzi – odparł Isaak. – Chętnie posiedzielibyśmy tu jeszcze dłużej.

Ustalono, że Isaak przenieś się do mojego pokoju na drugim piętrze, a Joseph, trzech jego gości i dwaj ochroniarze podzielą się pokojami na parterze i na pierwszym piętrze.

– Musimy wykorzystać każdy skrawek podłogi w tym domu – oświadczył Joseph. – A to dopiero początek.

Kiedy to mówił, dwóch strażników po cichu wniosło do domu materac, należący zapewne do jednego z nich. Joseph zatrzymał ich tuż przed schodami. Kazał im odwrócić materac, żeby obejrzeć go z obu stron, a potem powiedział coś w języku suahili, co wywołało uśmiech na twarzach strażników, a Isaaka zawstydziło i sprawiło, że odwrócił się gwałtownie.

Po raz drugi Isaak i ja dzieliliśmy pokój: pierwszy raz nocowaliśmy razem w mojej klitce wtedy, gdy Isaak wylądował na ulicy. Tamtej nocy nie spaliśmy dobrze, ani ja, ani Isaak, pełni obaw, co przyniesie przyszłość. Teraz czułem się podobnie, choć trudno mi było określić podłoże lęku. Wydawało mi się, że w tym domu byliśmy bezpieczni, przynajmniej na razie, ale w powietrzu wisiała jakaś niejasna groźba. Isaak też zdawał się ją wyczuwać. Nie odezwał się do mnie ani słowem, tylko rozebrał w ciemności i od razu umościł na swoim materacu, leżącym pod drzwiami, naprzeciwko mojego. Wypadało, żeby powiedział, że wszystko będzie w porządku, nawet jeśli obaj mieliśmy pewność, że nie będzie. Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć; wiedziałem, że Isaak wyraźnie czymś się gryzie. Odwróciłem się do niego plecami, żeby nie widział, że choć leżę w całkowitym bezruchu, oczy mam szeroko otwarte.

Musiałem udawać bardziej przekonująco, niż mi się zdawało, a może po prostu Isaak przestał się w końcu mną przejmować. Około trzeciej nad ranem, po mniej więcej godzinie milczącego czekania, wstał. Nie odwróciłem się w jego stronę, słyszałem jedynie, jak układa pościel i się ubiera. Uchylił drzwi i przecisnął się na korytarz; dopiero kiedy nabrałem pewności, że nie wróci, przekręciłem się na drugi bok.

Wraz z Isaakiem opuściły mnie mgliste obawy, które nie dawały mi spokoju. Po kilku minutach zapadłem w sen. Chyba się domyślałem, dokąd wybrał się tamtej nocy, wiedziałem też, czego ode mnie oczekiwał: ufał, że nie tylko zachowam tę wiedzę dla siebie, lecz również całkowicie ją zignoruję. Nie było tajemnicy, której trzeba strzec, nie było czemu zaprzeczać, ponieważ w myśl umowy, którą zawarliśmy bez słów, nic się nie wydarzyło.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, zobaczyłem Isaaka wyciągniętego na materacu. Koszula i spodnie leżały na podłodze, ciśnięte niedbale, tak samo jak wczoraj wieczorem, kiedy kładł się spać. Ku mojemu zdziwieniu pogrążony był w głębokim śnie. Nigdy nie odczuwałem w stosunku do Isaaka instynktu opiekuńczego. Widziałem go rannego, skatowanego, nieprzytomnego, lecz budziło to we mnie jedynie litość albo smutek, może też zazdrościłem mu trochę szaleńczej odwagi. Nie zdarzyło się dotąd, żebym musiał go przed czymś bronić; szczerze mówiąc, nawet bym tego nie potrafił. Gdybym go obudził i oświadczył, że przy mnie jest bezpieczny, że nie ma powodu do obaw, wywaliłby mnie z tego domu na zbity pysk i więcej się do mnie nie odezwał. A jednak chciałem mu to jakoś dać do zrozumienia i przyszedł mi do głowy tylko jeden sposób wyrażenia tego. Podniosłem z podłogi jego ubranie i starannie złożyłem, tak jak matka składała spodnie i koszule ojcu i mnie; pozornie błahy gest należał do tych, za którymi, żyjąc na obczyźnie, z dala od domu, tęskniłem najmocniej. Taki gest kojarzy się z poczuciem pewności, że kiedy śpisz, ktoś nad tobą czuwa i każdego ranka, bez względu na to, ile błędów popełniłeś wcześniej, masz prawo zacząć od nowa. Zostawiłem złożone ubranie Isaaka obok jego pośłania; zanim wyszedłem, otrzepałem je dłonią z kurzu i wygładziłem zmarszczki na tyle, na ile się dało, tak jak robiła to zawsze moja matka.

## HELEN

„Dobranoc, Helen!”. Te zwyczajne, na pozór zupełnie niegroźne słowa obcego mężczyzny sprawiły, że przestałam oddychać, co uświadomiłam sobie dopiero, gdy jego samochód zniknął za zakrętem. Bałam się poruszyć, dopóki nie nabrałam pewności, że nie zawróci; wpadłam w panikę. Próbowalam wymacać kluczyki w stacyjce, a kiedy ich nie znalazłam, walnęłam dłonią w kierownicę. Przetrzęsnęłam kieszenie, sprawdziłam na siedzeniu obok i dopiero wtedy sobie przypomniałam, że wrzuciłam je do schowka. Oczami wyobraźni widziałam, jak Isaak i jego łysy towarzysz, jeszcze zanim go opuścił, przyglądają mi się z okna i mają niezły ubaw. Mówiłam sobie, że jestem przerażona, lecz tak naprawdę najdotkliwiej dawał mi się we znaki wstyd.

Nie spiesząc się, włożyłam kluczyk do stacyjki. Jeśli Isaak mnie obserwował, chciałam pokazać, że odjeżdżam zupełnie spokojnie; więc grałam kobietę opanowaną najlepiej, jak potrafiłam. Zapięłam pas, poprawiłam lusterka i już miałam włączyć zapłon, gdy otworzyły się drzwi kamienicy. Isaak wyszedł powoli, jakby z ociąganiem, takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Zauważyłam, że jest bez płaszcza. Ręce trzymał w kieszeniach, był zgarbiony. Uzmysłowiłam sobie, że to jego pierwsze zetknięcie z zimą, a niemal od samego przyjazdu się martwił, jak zniesie chłód. We wrześnie zapytał, czy pogoda się pogorszy. „Jeszcze jak”, odparłam, nie zdając sobie sprawy, że zima nie jest dla niego tematem do żartów. Robiło się coraz chłodniej i choć wciąż jeszcze było powyżej zera, czułam, że palce u rąk i nóg niemal mi zdrętwiały. Miałam ochotę zawołać do Isaaka, żeby wrócił do mieszkania i wziął płaszcz.

Spojrzał w stronę mojego samochodu. Nie umiałam określić, czy poczułam ulgę, czy rozczarowanie, kiedy się okazało, że wie, gdzie zaparkowałam. Jednak długo nie roztrząsałam tej kwestii. Ponieważ stał w świetle żarówki umieszczonej nad wejściem, jego postać była doskonale widoczna. Nawet nie próbował ukryć swoich uczuć; czułam jego smutek, tak wyraźnie wypisany na twarzy, jakby Isaak leżał tuż obok.

\*

Wsiadł do samochodu i ruszyliśmy. Nieważne, jak to się stało, że odjechaliśmy, nie zamieniając ani słowa, choć David próbował mnie później przekonać, że miało to ogromne znaczenie.

– Nie miałaś zielonego pojęcia, co on wyprawia, z kim się wtedy spotkał ani gdzie się podziewał wcześniej – mówił. – Proszę, powiedz, że przynajmniej cię przeprosił.

– W ogóle się do mnie nie odezwał – odparłam.

– W takim razie jesteś albo świętą, albo idiotką – stwierdził.

David nie miał racji. Po prostu zobaczyłam człowieka w potrzebie i uznałam, że mogę coś zrobić, żeby mu ulżyć.

Minęliśmy jego dom, objechaliśmy centrum miasta i w niecałe dziesięć minut dotarliśmy do wjazdu na autostradę. Nasza wyprawa nie miała konkretnego celu. Im dłużej jechaliśmy, tym Isaak ciężiej oddychał, i na tym przede wszystkim się skupiałam. Słuchałam, jak z wysiłkiem łapie i wypuszcza powietrze. Nie trwało to długo. W końcu, już na autostradzie, z jego piersi wyrwał się krótki szloch, po nim następny, aż wreszcie Isaak przestał ze sobą walczyć i rozplakał się na dobre. Przyspieszyłam. Wiedziałam, że gdy przestanie płakać, będzie mu wstyd, że się tak rozkleił, i uznałam, że dopóki pędzimy

przed siebie, możemy udawać, że nic się nie stało, albo że to błahostka, która wydarzyła się w przeszłości i dzieli nas od niej tyle kilometrów, że nie warto już o niej wspominać. Przejechaliśmy granice dwóch hrabstw, minęliśmy drogowskazy, których nigdy wcześniej nie widziałam, pokazujące odległość do Kansas, St. Louis i Chicago. Jechałabym jeszcze dłużej, gdyby była taka potrzeba, lecz dławiący Isaaka ciężar zdawał się stopniowo ulatywać. Wkrótce Isaak zaczął normalnie oddychać. Otarł twarz rękawem i położył mi dłoń na ramieniu.

– Kim był ten facet w twoim mieszkaniu? – zapytałam.

Długo czekałam na odpowiedź. Przejechaliśmy kilkanaście kilometrów, lecz Isaak wyraźnie się nie kwapił, żeby zaspokoić moją ciekawość, więc spróbowałam ponownie.

– Czy możesz mi powiedzieć, skąd znał moje imię?

– Jak brzmiały jego słowa?

– „Dobranoc, Helen”.

Coś na kształt uśmiechu przemknęło po jego twarzy.

– Myślałem, że żartuje, kiedy powiedział, że zamierza cię pozdrowić. Ma na imię Henry. Nie chciał cię przestraszyć.

Henry. To imię padło wcześniej w biurze podczas rozmowy na temat Isaaka. To ten człowiek załatwił mu wizę i przysłał go do naszego miasteczka, do Davida.

– Czego od ciebie chciał? – spytałam.

– Nie uprzedził mnie, że przyjeżdża – odparł Isaak. – Czekał, kiedy wróciłem do domu. Jechał trzy godziny, żeby osobiście przekazać mi wiadomość, że osoba, która wiele dla mnie znaczyła, nie żyje.

– Ktoś z rodziny?

– Bliski przyjaciel – wyjaśnił. – Był dla mnie jak brat i jak ojciec.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam. Chciałam jeszcze dodać: „Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...”, lecz mimo że Isaak cierpiał, strata, której doznał, wydawała mi się zbyt enigmatyczna, dlatego się powstrzymałam.

– Musi ci być trudno tak daleko od domu – stwierdziłam, choć tak naprawdę chciałam powiedzieć, że martwię się o niego i o nas. Nic nie rozchodzi się tak szybko jak wiadomość o śmierci. Samotność potęguje smutek, a obawiałam się, że Isaak ma już tylko mnie.

– On nie musiał umierać – oświadczył.

– Pewnie nie – odparłam. – Lecz teraz już nic nie możesz na to poradzić.

– Nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz.

– Mógł wyjechać. Mógł być teraz tutaj.

Ścisnęłam go za rękę. Spojrzałam czule. Nie brałam poważnie jego słów; brzmiały jak znana śpiewka powtarzana w żałobie: Przecież mógł... Przecież mogła... Gdyby tylko...

– Jak miał na imię?

Isaak odwrócił się do okna. Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, lecz nawet gdyby mógł cokolwiek dojrzeć, byłyby to wyłącznie równe jak stół pola uprawne, ogołoczone u progu zimy.

Powtórzyłam pytanie.

– Spytałam, jak miał na imię.

Mijały minuty. Policzyłam do dwudziestu i z powrotem do jednego. Zaczęłam

obmyślać różne scenariusze na wypadek, gdyby wciąż mnie ignorował: zjadę na pobocze, zażadam odpowiedzi i się nie ruszę, dopóki jej nie usłyszę; zacznę krzyczeć; gwałtownie zahamuję.

– Uwielbiał przybrane imiona – powiedział w końcu. – Wymyślił ich dla mnie z tuzin, ale ja zawsze mówiłem na niego Isaak.

## ISAAK

Kiedy rano zszedłem na dół, Joseph stał przy drzwiach i rozmawiał ze strażnikami, którzy przestawiali meble w salonie. Zobaczyłem go wcześniej na schodach i od razu przyszło mi na myśl, żeby wrócić do pokoju i poczekać, aż Iszaak się obudzi, lecz bałem się, że Joseph nabierze podejrzeń, widząc, że się wycofuję; nic nie budziło we mnie większego niepokoju, niż zwracanie na siebie uwagi. Byłem w tym domu obcym, przybłądą. Nikt poza Isaakiem nie przejąłby się moim zniknięciem. Odkąd przyjechałem do stolicy, moje życie sprowadzało się do stania z boku i obserwowania wydarzeń niejako z linii bocznej. I tak pewnie byłoby dalej, gdybym nie zauważył, że Iszaak wymyka się z pokoju w środku nocy.

\*

Joseph przywołał mnie ruchem ręki. Zmienił garnitur na spodnie w ciemnym odcieniu khaki i białą koszulę z wyszytymi na kieszeni inicjałami J.M. Ten monogram stanowił z jego strony jedyny przejaw ekstrawagancji, całkiem skromny w porównaniu ze złotymi zegarkami i łańcuszkami, w których lubowali się inni bogacze. Joseph nie należał do tych prawdziwych rewolucjonistów, o których z podziwem rozprawialiśmy z Isaakiem w kampusie, lecz nie był też paniczny zgrzywającym bojownika. Był wyjątkowy. Jedyny w swoim rodzaju.

Przywitaliśmy się; dookoła trwało przemeblowanie salonu. Joseph uściśnął mi ramię z wylewnością, która wydawała się prawdziwa.

– Dobrze spałeś? – zapytał.

– O tak. Byłem wykończony. Zasnąłem od razu, jak tylko się położyłem.

Roześmiał się. Nie mogłem wykluczyć, że rozbawiły go moje słowa, ponieważ wiedział, że kłamię.

– A Iszaak? Nie widziałem go do tej pory.

– Jeszcze spał, kiedy wychodziłem z pokoju.

Pokręcił głową, udając, że jest zawiedziony, lecz widać było, że to tylko na niby. Dał mi znak, żebym wyszedł z nim na dziedziniec. Ranek był pogodny, słoneczny, niebo bezchmurne, światło tak jaskrawe, że raziło w oczy. Słuchałem Josepha z opuszczoną głową.

– Chciałbym z tobą szczerze porozmawiać – zaczął, a ja ledwo mogłem na niego spojrzeć, mimo że osłaniałem oczy dłonią. – Iszaak chce cię mieć pod ręką, dlatego nigdy ci tego nie powie, ale możesz odejść. Nic cię tu nie trzyma, nie jesteś do niczego zobowiązany. Jeśli odejdziesz, powinieneś pojechać gdzieś daleko stąd. Wyjedź z kraju. Wróć do domu, do rodziny. Jestem pewny, że zdajesz sobie z tego sprawę, ale to miasto jest niebezpiecznym miejscem dla młodych mężczyzn takich jak ty. Wkrótce zrobi się tutaj naprawdę gorąco. Mogę kazać cię odwieźć do jakiegoś miasteczka przy granicy; Iszaak będzie ci towarzyszył w drodze, a potem kto wie, jak już będzie po wszystkim, może będziesz mógł wrócić i znów się z nim spotkać.

W jego głosie brzmiała prawdziwa troska, wręcz czuło się wyrzuty sumienia, jakby przykro mu było sugerować, że lepiej będzie, jeśli odjadę. Z tego właśnie powodu mu nie dowierzałem. Nie zasługiwałem na takie zainteresowanie z jego strony, a świadomość, że ktoś baczenie mi się przygląda, bardziej dawała mi się we znaki niż poczucie, że jestem traktowany jak powietrze.

– Chciałbym zostać – odparłem.

Joseph zwrócił uwagę jednemu ze strażników przesuwających meble. Ten skłonił głowę w odpowiedzi. Ciekawe, czy Joseph wymagał tego rodzaju służalczości, czy też okazywano mu ją dobrowolnie, pomyślałem.

Przysunął się do mnie kilkanaście centymetrów.

– Czy wiesz dlaczego? – spytał.

Udawałem, że nie rozumiem pytania, i wpatrywałem się w czubki butów w nadziei, że go nie powtórzy. Kiedy jednak powtórzył, powiedziałem:

– Nie bardzo rozumiem...

– Czy chcesz zostać tu dla przyjaciela, czy dlatego, że nie masz gdzie się podziąć?

Położył mi rękę na ramieniu. Chciałem udzielić mu śmiałej, stanowczej odpowiedzi – Isaakowi takie repliki przychodziły bez trudu – lecz w głowie miałem pustkę. Minęło kilka sekund, nim Joseph nachylił się nade mną i sam sobie odpowiedział:

– Pewnie z obu powodów. Na razie wystarczy.

To nie była wyraźna groźba ani ostrzeżenie, lecz zapowiedź jednego i drugiego. Ścisnął mi ramię i wyprowadził mnie na dwór, opowiadając o dziejach posiadłości.

– Ta ziemia należała do mojego dziadka – mówił – choć to nie jest właściwe określenie, gdyż technicznie rzecz biorąc, w tamtych czasach wszystko było własnością Brytyjczyków i w każdej chwili mogło zostać przez nich przejęte. W każdym razie dziadek zapłacił za tę ziemię, podpisał akt kupna. Wtedy było tu zupełnie pustkowie. Dziadek myślał, że z nastaniem niepodległości nikt już nie będzie chciał mieszkać w stolicy. Mówił, że zbudowano ją dla białych, a po ich odejściu ludzie będą chcieli wrócić na wieś, żyć tak jak przodkowie. Błyskotliwe założenie, lecz, niestety, chybione. Kiedy odzyskaliśmy niepodległość, on już nie żył, a do stolicy ścigało coraz więcej ludzi. Wśród bogaczy zapanowała moda na rezydencje na obrzeżach miasta. Ojciec podzielił ziemię na działki i sprzedawał po kawałku. I tak dorobiliśmy się majątku. Ten dom ojciec postawił dla kochanki. Ona wciąż żyje; jest już stara. Wróciła do rodzinnej wioski, żeby tam w spokoju umrzeć; tylko ona wie, że tu jesteśmy. Rząd już dawno przejąłby ten dom, gdyby wiedział, że należał do mojego ojca.

To była najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek miałem odbyć z Josephem. Przez cały czas trzymał mi rękę na ramieniu, po chwili jej delikatny nacisk wydał mi się krzepiący, jakby stanowił składową siłę, która wszystkich nas przyciągała do ziemi. Kiedy Joseph skończył przemowę, staliśmy na dziedzińcu pod drzewem, spoglądając na dom, który dla niego znaczył tak wiele, a dla mnie nie znaczył nic. Nie miałem przekonania, na jakie mógłbym się powołać, ani domu, na który mógłbym popatrzeć i oświadczyć: „To dlatego tu jestem; o to będę walczył”. Jeśli właściwie zrozumiałem wymowę opowieści Josepha, nie miałem zbyt dużo czasu, żeby ten stan rzeczy zmienić.

Na koniec podał mi rękę.

– Czuj się tu jak u siebie – powiedział. – Możesz zostać tak długo, jak zechcesz, ale niech ta rozmowa zostanie między nami.

Odszedł, nim zdążyłem odpowiedzieć, lecz moje słowa i tak nie miałyby znaczenia. Upewniła mnie co do tego swoboda, z jaką mieszał fakty z fikcją.

\*

Tego popołudnia przygotowania do wojny ruszyły pełną parą. Dowiedziałem się od Isaaka, że planowane są pewne konkretne kroki, lecz to samo w sobie nie było niczym

szczególnym. Marzenia o rozlewie krwi i bardziej realistyczne od nich plany snuto z zapalem w całej stolicy, więc zakładałem, że w tym przypadku chodzi o coś podobnego.

W ciągu kilku godzin ujawnił się rozmach planów Josepha. W półgodzinnych odstępach, najwyraźniej z góry ustalonych, przybywali parami jacyś mężczyźni. Kiedy Isaak zszedł na dół i dołączył do mnie na dziedzińcu, w domu gościło już ośmiu przybyszów; naradzali się w jednym z pokoi, do których, jak sam się domyśliłem, nie mieliśmy wstępu. Obecność tylu nowych twarzy stanowiła pewną odmianę, tak bardzo nam obu potrzebną. Chwilę wcześniej z niepokojem myślałem o tym, jak się zbliżyć do Isaaka, i oto pojawiła się sprawa o wiele bardziej fascynująca niż jego tajemnicza eskapada w środku nocy; sprawa, która mogła dotyczyć nas obu. Osobnicy w garniturach i osobnicy w mundurach. Osobnicy z pistoletami przy pasach. Powinienem się martwić zbliżającą się walką; zamiast tego z wdzięcznością powitałem okazję do oderwania się od innych nurtujących mnie kwestii.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Isaak, wskazując na dziedziniec i na dom, jakby prezentował malowniczy widok, będący jego dziełem.

– Co to za ludzie?

Uśmiechnął się szeroko i objął mnie ramieniem.

– To tylko przednia straż – odparł. – Wkrótce nadciągną główne siły.

\*

Spotkanie, które odbyło się tego popołudnia, w historii stolicy od czasu odzyskania niepodległości ustępowało pod względem znaczenia tylko zjazdowi literatów. To właśnie podziw dla pisarzy, którzy niegdyś zgromadzili się na tutejszym uniwersytecie, przywiódł mnie do tego miasta. Przybyłem tu przez wzgląd na pisarzy, a zostałem z powodu wojny. Różnica nie była aż tak wielka, jak mogłoby się wydawać.

Isaak wcielił się w rolę prezentera.

„Ten mężczyzna jest pułkownikiem w rządowej armii”.

„Tamten ma kopalnię złota na południu”.

„To jest brat jakiejś szychy w parlamencie”.

„A to podobno generał z Tanzanii”.

\*

Przybywali kolejni goście, aż w końcu całe piętro domu zapełniło się ważnymi figurami; ich ochroniarze i służący w milczeniu stali w pogotowiu w salonie. Kiedy stawił się ostatni uczestnik spotkania, zamknięto drzwi frontowe, a bramę zasunięto i zaryglowano. Jeśli Isaak był zawiedziony, że nie dopuszczono go do obrad, to wcale tego nie okazywał.

– To wszystko wydaje się takie znajome – stwierdził. – Mam wrażenie, jakbyśmy to już kiedyś robili.

– Mnie też to przyszło do głowy – odparłem. – Wiesz, o czym teraz rozmawiają?

– Mogę się domyślać.

Ja też mogłem. W konkretnych okolicznościach było to do przewidzenia.

– Jak myślisz? Co by się stało, gdybym wszedł teraz do domu? – spytałem.

Isaak popatrzył na strażników rozstawionych pod drzwiami. Wskazał wysokiego chudzielca, którego twarz ginęła niemal za okularami przeciwsłonecznymi w złożonych



oprawkach.

– Ten facet kazałby temu obok cię zastrzelić.

Przyjrzałem się bliżej im obu. Zabicie mnie byłoby dla nich jak zabicie muchy.

– A gdybyś ty spróbował?

– Mnie może by wpuścili – powiedział. – Ale chwilę potem ktoś by cię sprzątnął.

– A gdybym próbował się stąd wydostać?

Isaak się roześmiał.

– To podziurawiliby cię kulami jak sito.

Zastanawiał się przez chwilę nad tą ewentualnością, po czym dodał:

– A gdyby tego im było mało, byłbym następny do odstrzału.

Nie miałem odwagi zapytać go, co takiego gwarantuje mu większą nietykalność.

Mimochodem dał do zrozumienia, że sam nie jest w stanie zapewnić mi bezpieczeństwa, więc nadszedł czas, żebym sam się o nie zatroszczył.

\*

Narada na pierwszym piętrze zakończyła się przed lunchem. Wzorowy porządek, który panował przy wchodzeniu do domu, nijak się miał do zamętu, jaki wynikł podczas wychodzenia stamtąd. Uzbrojeni strażnicy przepychali się, starając się jak najprędzej wyprowadzić swych podopiecznych za bramę. Oznaczało to, byłem tego pewny, że sprawy potoczyły się nie po myśli Josepha, lecz kiedy pierwsza grupka opuszczała dziedziniec, on sam pojawił się w progu, zadowolony i rozpromieniony. Goście, jak na komendę, cofnęli się do drzwi, żeby uścisnąć mu rękę na pożegnanie. Zauważyłem, że odnosili się do niego z szacunkiem, i przypomniałem sobie kłaniającego mu się rano strażnika. Tym razem jednak to potężne i wpływowe osobistości pochylały przed nim głowy, jakby nagle spostrzegły na swoich butach plamy brudu, których sekundę wcześniej tam nie było.

– Już po wszystkim? – zapytałem Isaaka. – To już koniec?

– Joseph jest sprawnym organizatorem – odparł. – W końcu wychował się w Anglii.

Sprawność sprawnością, lecz nie sposób było nie dostrzec desperacji, z jaką dygnitarze czym prędzej starali się opuścić towarzystwo. Przebywanie na widoku w takim gronie, nawet przez mgnienie oka, było niebezpieczne nawet tu, na ogrodzonym murem dziedzińcu. Nawet prywatna przestrzeń nie wzbudzała zaufania: albo pokoje bez okien, albo nic z tego. Zastanawiałem się, w skądinąd romantycznym duchu, czy tak właśnie czuli się pisarze na zjeździe w stolicy – nie jak ściżgani czy zaszczuci, lecz jak wyjęci spod prawa.

\*

Dosłownie kilka minut po wyjściu ostatniego z gości na dziedziniec wjechały trzy ciężarówki z ładunkiem przykrytym brązowoszarą plandeką. Czekały w pobliżu, aż towarzystwo się rozjedzie, i dopiero wtedy ruszyły do akcji. Isaak miał rację: Anglia wyrobiła w Josephie zmysł organizacyjny.

– Joseph chce, żebyś to zobaczył – szepnął mi do ucha.

Czułem, że Joseph się nam przygląda; chciałem wypaść jak najlepiej.

Z każdej ciężarówki wyskoczyło dwóch mężczyzn i zabrało się do rozwiązywania linek mocujących. Nie zaprzętałem sobie głowy domysłami na temat tego, co kryje się

pod plandekami; tak pochłonęło mnie granie przed Josephem, że nie miałem pojęcia, jak zareagować na widok skrzynek z niedojrzałymi bananami i bulwami jamsu, którymi załadowane były ciężarówki.

– Wyżywienie dla wojska? – spytałem Isaaka.

– W pewnym sensie – odparł.

Mężczyźni rzucali skrzynki na ziemię. Część pękała, a zawartość wysypywała się i ulegała zniszczeniu, co rozładowujący przyjmowali z obojętnością. Ułożyli ze skrzynek sterty wyższe ode mnie, a potem zabrali się do zdejmowania innego ładunku, ukrytego wcześniej pod żywnością. Z tymi skrzynkami obchodzili się ostrożnie: każdą chwyтали we dwóch, zanosili do salonu i układali je tam starannie w równych rzędach. Kiedy została im do wniesienia ostatnia skrzynka, Joseph wyszedł za próg i dał ręką znak, żeby ją otworzyli. Z miejsca, w którym stałem, nie mogłem dojrzeć, co w niej było. Musiałem poczekać, aż Joseph zanurzy tam rękę i wyciągnie taśmę z nabojami o długości odpowiadającej wzrostowi przeciętnego mężczyzny. Uniósł ją, jakby chciał się popisać okazem złowionym w oceanie, choć wcale nie przypominała ryby ani nawet martwego węża. Wyglądała po prostu na dziesiątki, a może setki spiętych ze sobą pocisków. Trzymał ją w górze po to, jak sądzę, żebym mógł dobrze się przyjrzeć.

\*

Kiedy skrzynki z żywnością z powrotem zostały załadowane na ciężarówkę, nikt z nas – ani Isaak, ani Joseph, ani żaden ze strażników – nawet się nie zająknął, że złożony pod naszymi nosami arsenał wystarczyłby do zrównania z ziemią całej okolicy albo jakiejś wioski, nie mówiąc o stoczeniu morderczej walki na śmierć i życie, gdyby przyszło nam bronić się tu przed atakiem. Do zawartości ładunku odnieśliśmy się, i to nie wprost, dopiero później, kiedy odjechały ciężarówki, a skrzynki zostały przykryte kocami i zasłonięte meblami. Jeden ze strażników przyniósł baterię butelek kenijskiego piwa. Joseph osobiście wręczył każdemu po jednej.

– Za co powinniśmy wznieść toast? – zapytał go Isaak.

Spodziewałem się, że padną słowa o wyzwoleniu, wolności, przyszłym zwycięstwie, lecz Joseph zdawał sobie sprawę, że to zabrzmiałoby banalnie i płytko.

Uniósł swoją butelkę i powiódł wzrokiem dokoła.

– Nie wznosimy toastu – rzekł. – Nie ma powodu do świętowania. Zamierzamy po prostu położyć kres koszarowi, w jakim pograżył się ten kraj.

Wypiliśmy jedno piwo, a potem następne. Kiedy Joseph wyszedł na chwilę z pokoju, Isaak szepnął do mnie:

– Może zamiast broni trzeba było załatwić budzik.

Uniosłem butelkę i powiedziałem:

– Żeby nigdy więcej nie zasnąć.

Stuknęliśmy się butelkami; w tej samej chwili do salonu wrócił Joseph. Bałem się, że rozgniewa go nasz toast, ale miał słabą głowę i trzy piwa, które zdążył wypić, wprawiły go w pogodny nastrój. Podszedł i objął nas ramionami.

– Uważajcie, bo jutro jest ważny dzień. Żadnego wylegiwania się w łóżku.

– Nie martw się – odparłem. – Ja będę budzikiem Isaaka.

Musieliśmy odwrócić wzrok, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przez chwilę mieliśmy wrażenie, jakbyśmy wrócili do czasów poprzedzających studencki protest w kampusie, kiedy naszym najpilniejszym zadaniem było podtrzymywanie papierowej

rewolucji. W istocie za mało czasu upłynęło, żeby poczuć tęsknotę, lecz i tak nas ogarnęła. Ten okres w naszym życiu oficjalnie się zakończył i jeśli należało cokolwiek uczcić, to właśnie to.

Joseph czule ścisnął nas za ramiona.

– Muszę spocząć – oświadczył. – Czuję znużenie.

Padł na sofę i kazał strażnikowi przynieść kolejne piwo. Z tego, jak się wysławiał, wywnioskowałem, że dopadła go tęsknota za studenckimi latami spędzonymi w Londynie.

– Zawsze tak mówi, kiedy sobie wypije – powiedział Isaak.

Nim Joseph pociągnął łyk, założył nogę na nogę i wyprostował lewą rękę na oparciu sofy. Długo przyglądał się pomieszczeniu – nie zebrany w nim ludziom, lecz meblom i ogołoconym ścianom – po czym oznajmił ścisłym głosem, żebyśmy mogli go usłyszeć tylko my dwaj:

– Mam nadzieję, że nie wylecę w powietrze.

## HELEN

Przy pierwszej sposobności zjechałam z autostrady i po przejechaniu około kilometra wąską dwupasmową szosą stanęłam. Spodziewając się wstrząsu, chciałam znaleźć się w jakimś spokojniejszym otoczeniu. Ale kiedy zatrzymaliśmy się na poboczu nieoświetlonej wiejskiej drogi, uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem wstrząśnięta. Nie czułam nawet zdziwienia; cały czas podejrzewałam siedzącego obok mężczyznę o kręactwo; naprawdę zaskoczył mnie tylko sposób, w jaki mi to wyznał.

Nie zgasiłam silnika. Dzięki temu miałam poczucie, że wciąż jesteśmy w ruchu, a to było mi teraz bardzo potrzebne.

– Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? – zapytałam.

W końcu odwrócił się do mnie. W samochodzie panowały niemal egipskie ciemności; wyraźnie widziałam jedynie zarys jego nosa i białka oczu.

– Mógłbym – odparł.

– Ale wolałbyś nie mówić?

– Nie umiem na to odpowiedzieć.

\*

Zawróciłam i ruszyłam w kierunku autostrady. Uścisnęłam Isaakowi dłoń. Wiele stracił tego dnia; nie chciałam, żeby na dokładkę zaryzykował utratę tego, co nas łączyło, a kto wie, może do tego by doszło, gdyby zdradził mi więcej szczegółów.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– A dokąd byś chciał? – odparłam.

– Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie możemy zostać na noc. Nie chcę dzisiaj wracać do domu.

\*

Zdecydowałam się na pierwszy motel, jaki napotkaliśmy przy drugim zjeździe z autostrady, na skraju nieznanego mi miasteczka. Nie było obawy, że zobaczy mnie tu któryś ze znajomych, lecz mimo to, kiedy wjeżdżałam na parking, Isaak zsunął się z siedzenia.

– Nawet jeśli cię tu nie znajdą – tłumaczył – może im się nie spodobać to, kogo przywiozłaś.

Nie odezwałam się, lecz w duchu przyznałam mu rację. Isaak rozumiał amerykańską mentalność lepiej niż ja.

Motel był piętrowy i bardzo długi; w mieście zajmowałby chyba z pół kwartału. Ilekroć go sobie przypominam, przychodzi mi na myśl miejsce żywcem przeniesione z podrzędnego kryminału o ściganej parze bandytów, dające schronienie uciekającym przed prawem przestępcom.

Poprosiłam o pokój na parterze i, o ile to możliwe, na samym końcu budynku. Na parkingu stały tylko dwa samochody oprócz naszego, więc życzenie zostało spełnione. Dostaliśmy pokój 102 – dokładnie tyłu uczniów z mojego rocznika zdawało wraz ze mną maturę. Uznałam to za dobrą wróżbę i za każdym razem, kiedy wracaliśmy z Isaakiem do tego motelu, pytałam, czy pokój 102 jest wolny. Zwykle był. A kiedy okazywało się, że jest zajęty, starałam się nie patrzeć, kto do niego wchodzi, ani nie słyszeć odgłosów dochodzących zza niebieskich drzwi. Dzięki temu wciąż mogłam sobie roić, że pokój

należy wyłącznie do nas.

\*

Isaak i ja mieliśmy przed sobą całą noc, więc nie musieliśmy się spieszyć. Zaraz za progiem długo się całowaliśmy, aż nogi zaczęły drętwieć, potem osunęliśmy się na łóżko i Isaak zaczął mnie rozbierać. Zawsze uważałam, że namiętność i niecierpliwość to jedno i to samo; im szybciej i mocniej napierałeś, tym większa była twoja żądza. Różnica między pieprzeniem się a kochaniem nie sprowadza się tylko do udziału serca; liczą się też ręce, szczególnie zimą, kiedy kochankowie próbują przedrzeć się przez kolejne warstwy ubrań. To komedia rozpisana na ręce i na głowy, które wkrótce również grzęzną w swetrach i w podkoszulkach; uczestniczą w niej też buty – one na przekór podejmowanym wysiłkom nie dają się zdjąć. Jeśli umiesz przebrnąć przez to wszystko nie tylko z głupawym uśmieszkiem, lecz z rosnącym pożądaniem, to świecący pustkami motel przy autostradzie zarówno w chwili uniesienia, jak i przez długie lata, jakie po niej nastąpią, może ci się wydawać miejscem jak najbardziej uświęconym.

Skończyliśmy tak, jak rozpoczęliśmy, nieskrępowani i bliscy śmiechu. Zostawiliśmy włączone światła i wreszcie mogliśmy się sobie przyjrzeć, nie zdając się wyłącznie na zdolności poznawcze dłoni. Wydawało się, że całymi godzinami wpatrujemy się w swoje ciała; pochłaniało nas to bez reszty.

– Co ci chodziło po głowie – zapytał Isaak – kiedy siedziałś w samochodzie i obserwowałaś moje mieszkanie? Myślałaś, że sprowadziłem sobie kochankę? Drugą Helen, podobną do ciebie?

Zastanawiałam się, ile mogę wyjawić bez żadnego ryzyka. Spojrzałam mu w oczy; wciąż odbijał się w nich smutek. W przeciwieństwie do większości mężczyzn Isaak nie był jak szczelna zaporą; nie umiał skutecznie tamować emocji. Nawet jeśli próbował ukryć uczucia, to i tak przeciekały, sączyły się szczelinami. W najlepszym razie przypominał tekturowe pudełko: nie trzeba było się wysilać, żeby zorientować się, co jest w środku. To sprawiało, że łatwiej było go kochać i mu wybaczać, lecz zarazem utrudniało rozstanie, które, co wiedziałam, kiedyś będzie musiało nastąpić.

– O czym myślałam? – odparłam. – O różnych sprawach, a wszystkie związane były z tobą.

\*

I tak nastał krótki złoty okres naszego związku: zima, a potem wiosna, długie noce spędzane w czułym uścisku, którego nie musieliśmy przerywać, nawet jeśli było już po północy. Po kilka razy w ciągu dnia do siebie dzwoniliśmy, żeby przekazać drugiemu to, co oczywiste: że poprzednia noc była cudowna, że godziny rozłąki dłużą się niemiłosiernie i że nie ma chwili, żebyśmy o sobie nie myśleli. Pierwszy grudniowy weekend spędziliśmy opatuleni kocami, które przenieśliśmy z łóżka na sofę. Isaak wyznał, że przypominają mu zimy w rodzinnych stronach.

– U nas w domu wszyscy uwielbiali koce – powiedział. – To jedna z rzeczy, za którymi najbardziej tęsknię. Widok matki czy babki owiniętej kocem, gdy na dworze pada deszcz. Miały specjalne koce na zimę i na lato. Kiedy byłem mały, często próbowałem im się pod nie wślizgnąć.

Stałam naga na łóżku, a on pokazywał, jak należy okryć ramiona i szyję kocem, żeby swobodnie machać rękami. Podniosłam ręce i spojrzałam w lustro.

– Myślisz, że mogłabym latać? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł.

Machając ramionami, wzięłam rozbieg i przeskoczyłam z mojego łóżka na łóżko Isaaka. Siłą odwróciłam go w stronę lustra.

– Skoro mowa o ptakach – powiedziałam, patrząc na nasze wspólne odbicie – to razem przypominamy pingwina.

Kiedy matka spytała, gdzie spędzam noce, starałam się, na tyle, na ile było to możliwe, odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Poznałam kogoś – wyjaśniłam.

Wróciłam do domu wczesnym rankiem i liczyłam na to, że się wymknę, nim matka się obudzi. Lecz ona rozszyfrowała mój nowy porządek dnia i kiedy zbiegłam na dół niemal gotowa do wyjścia, z jedną ręką w rękawie płaszcza, zastałam ją czekającą w salonie.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? – spytała. – Nie wiesz, że się o ciebie martwię?

Była wzburzona, zraniona. Jej słowa nie brzmiały jak wyrzut, ale tak je odebrałam.

– Bo nie pytałaś – odparłam.

– Jak mogłam pytać, skoro w ogóle się nie widzimy? Kim on jest?

Udawałam, że mam problem z włożeniem ręki do drugiego rękawa płaszcza. Co miałam odpowiedzieć? Sama nie znałam jego prawdziwego imienia i nazwiska; wiedziałam tylko tyle, że to miły, przyzwoity facet, co zresztą i tak nie miałyby najmniejszego znaczenia, gdyby matka się dowiedziała, skąd pochodzi. Chciałam nam obu oszczędzić rozczarowania.

– Spóźnię się do pracy – powiedziałam.

Mimo że nie stała mi na drodze, odsunęła się nieco na znak, że wcale mnie nie zatrzymuje. Ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam, nim wyszłam, brzmiały:

– To do ciebie niepodobne, Helen.

– Nieważne – odparłam. – Wiem.

Przez kilka następnych tygodni prawie nie rozmawialiśmy, a kiedy już zamieniałyśmy parę słów, nie poruszałyśmy takich tematów, jak dokąd chodzę i z kim spędzam czas. Matka za mną tęskniła; dawała to odczuć na swój nieporadny sposób. Pod moją nieobecność położyła mi na łóżku nową suknię, a innym razem naszyjnik, który podziwiałam u niej jako dziewczynka. Kiedy spotykałyśmy się rano, opowiadała o plamach wilgoci na suficie w łazience, o lunchu, jaki jadła w ubiegłym tygodniu; ja na temat Isaaka nie puściłam pary z ust.

Jeśli chodziło o niego i o mnie, chciałam wierzyć, że będziemy się spotykać aż do dnia jego wyjazdu; może nawet spodoba nam się to tak bardzo, że postanowimy nadal być razem; osiadziemy na stałe w jakiejś hipisowskiej enklawie w San Francisco albo zaszyjemy się w dżungli wielkiego miasta, gdzie nie będziemy budzić szczególnego zainteresowania. Tymczasem sylwestrową noc spędziliśmy, sącząc białe wino w naszym pokoju w motelu niedaleko autostrady. Świętowaliśmy tam również Walentynki, które wypadły w niedzielę: udekorowaliśmy pokój czerwonymi i różowymi goździkami i zajadaliśmy się czekoladkami w kształcie serduszek. W kwietniu, niedługo po świętach wielkanocnych, zaczęło padać i, jak się okazało, lało nieprzerwanie prawie dwa tygodnie. Kilka miasteczek położonych nad rzeką zalala woda głęboka niemal na pół metra.

W normalnych okolicznościach nie chciałabym mieć do czynienia z tego rodzaju klęską żywiołową – ze względu na jej skalę, jak i niekończące się komplikacje, jakie pociągała za sobą – lecz kiedy David zapytał, czy ktoś chciałby na ochotnika wziąć udział w akcji ratunkowej i wesprzeć bratnią agencję pomocy humanitarnej, pierwsza podniosłam rękę. Myślałam, że straciłam serce do podejmowania tego rodzaju wyzwań, ale okazało się, że nie. Po prostu mięśnie mi trochę osłabły, nic więcej. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że kochanie kogoś z wzajemnością to najlepsze ćwiczenie dla serca; hartuje też ducha i dodaje sił do tego, żeby chcieć robić coś więcej, niż tylko iść przez życie. Kiedy oznajmiłam Isaakowi, że zgłosiłam się do pracy na terenach dotkniętych powodzią, które co wieczór oglądaliśmy w wiadomościach telewizyjnych, zapytał, czy to zadanie nie jest dla mnie zbyt ciężkie. Wyobrażał sobie, że będę taszczyć worki z piaskiem na wał przeciwpowodziowy.

– Oczywiście, lekko nie będzie – odparłam i naprężyłam mięśnie ramion. – Pomacaj.

Ścisnął mi bicepsy.

– Jesteś najsilniejszą kobietą na świecie – oświadczył i tak właśnie się czułam, kiedy był przy mnie.

Kolejne tygodnie upływały mi na odwiedzaniu zalanych domów. Dzieło destrukcji wzbudzało we mnie dziwny spokój, głównie wieczorem, gdy przed oczami stawały widziane w ciągu dnia obrazy: unoszące się na wodzie odwrócone do góry nogami krzesło kuchenne, kobieta stojąca po kolana w wodzie, z rękami na biodrach, wpatrzona w ruinę, która do niedawna była sypialnią jej dzieci. Ulewa już się skończyła, podobnie jak budowa wału z worków z piaskiem, lecz szkody pozostały i właśnie na tym pobojuwisku odnalazłam swoje miejsce. Z dnia na dzień przeistoczyłam się w anioła ocalenia. Przed południem brodziłam w wodzie i przeglądałam zalane szafy i komody, szukając ważnych dokumentów i pamiątek, które można było jeszcze uratować – sami powodziarze wciąż nie potrafili się na to zdobyć. Popołudnia i wieczory spędzałam nad formularzami przysyłanymi przez rząd i towarzystwa ubezpieczeniowe. Rozpisywałam na poszczególne pozycje to, co składało się na życie poszkodowanych, sporządzałam tabelki i zestawienia utraconych dóbr – od samochodów, mebli, ubrań i domów po akty urodzenia, świadectwa ślubu, umowy, testamenty, hipoteki. Byłam w swoim żywiole. Ludzie tulili się do mnie, wypłakiwali się na moim ramieniu. Miałam w sobie dość siły, żeby im ulżyć, unieść choć część ich nieszczęścia, przejąć je na swoje barki. Za każdym razem kiedy słyszałam: „Nie wiem, co robić”, brałam delikwenta za rękę i mówiłam, że nic nie szkodzi, nie musi się martwić, ponieważ ja wiem. Trzy, cztery razy w tygodniu, wieczorami, kiedy czułam, że najbardziej tego potrzebuję, jeździłam do Isaaka. Urządzaliśmy sobie długie wspólne kąpiele.

– Niedługo zamienię się w kaczkę – zapowiedziałam. – Najpierw brodę po pas w wodzie, a potem pławie się z tobą w wannie.

Kiedy otwierał mi drzwi, na powitanie zawsze mówiłam: „Kwa, kwa”. Zwykle byłam zbyt zmęczona, żeby długo rozmawiać, Isaak czytał mi w łóżku aż do zaśnięcia. Nigdy się nie zdarzyło, żeby czytał mi fragmenty tego samego utworu co poprzedniego wieczoru; przeważnie pochłaniał całą książkę w jeden dzień.

– Jak wybierasz następną? – spytałam.

– To proste – odparł. – Idę wzdłuż regału z zamkniętymi oczami i przesuwam rękę po grzbietach. Biorę tę, na której się zatrzymam.

Przez chwilę nawet mu uwierzyłam, ale potem zobaczyłam leżący przy łóżku informator uniwersytecki. Pozaznaczał w nim dziesiątki przedmiotów na każdym możliwym kierunku i powoli przedzierał się przez skróconą listę lektur zamieszczoną obok każdego przedmiotu. Oto cały Isaak w swym najlepszym wydaniu.

\*

Pewnego dnia w ten nasz prywatny świat wkroczył Henry. Maj okazał się litościwie suchy: osiemnaście słonecznych, bezchmurnych dni z rzędu; ani zbyt upalnych, ani zbyt parnych. Na początku miesiąca, kiedy na placu boju pojawiły się koparki i ekipy budowlane, wróciłam do biura z przekonaniem, że w całej tej powodzi, z wyjątkiem pięciu istnień ludzkich, nie uległo zniszczeniu nic, czego nie dałoby się odtworzyć. Przez cały czas trzymałam się dzielnie i nie odliczałam miesięcy, jakie zostały Isaakowi i mnie do rozstania, ale zmiana pogody i powrót do dawnych obowiązków sprawiły, że przed oczami miałam już koniec lata. Przeskoczyłam czerwiec i lipiec i od razu przeszłam do drugiego tygodnia sierpnia, kiedy Isaakowi kończyła się wiza.

– Czas goni – oświadczyłam.  
– Starajmy się o tym nie myśleć – odparł.  
– Jak to sobie wyobrażasz? Ty wkrótce wyjedziesz, a ja wciąż nie wiem, co mi pozostanie.

Chyba chodziło mi o to, że miałam już dość jego tajemniczości; straciła dla mnie cały urok. Chciałam mieć u boku kogoś prawdziwego, za kim mogłabym kiedyś tęsknić. Objął mnie ramieniem.

– Jeszcze się nie rozstajemy – powiedział, a ja, słysząc to, zmiękłam.  
Tydzień później zadzwonił do biura i zaprosił mnie na wspólną kolację z Henrym, jedynym, nie licząc mnie, przyjacielem, jakiego miał w Stanach. Oczywiście, jak zwykle w odniesieniu do Henry'ego, użył bardziej górnolotnego wyrażenia, mówiąc, że to jego jedyny w tym kraju łącznik z przeszłością.

Twierdził, że to on zaprosił Henry'ego na kolację, lecz jestem pewna, że to nieprawda. Isaak nigdy nie gościł Henry'ego, wręcz przeciwnie, sam był jego gościem. To właśnie ten beczułkowatej postury łysiejący pan w średnim wieku, którego cień widziałam z samochodu, umożliwił mu przyjazd do Ameryki, wystarał się o wizę i oddał go pod opiekę swemu dawnemu znajomemu, Davidowi. Nie, nie wierzę, że to Isaak zaprosił Henry'ego na kolację, żeby nas ze sobą poznać. To Henry postanowił poznać kobietę, która czaiła się w samochodzie pod oknem.

Isaak sprytnie wszystko rozgrywał. Oboje zachowywaliśmy ostrożność; ja nigdy nie zostawiałam samochodu na noc pod jego domem, a on dzwonił do mnie do biura w ustalonych porach, kiedy mogliśmy bezpiecznie porozmawiać. Ja jednak zawsze chciałam od niego czegoś więcej. O jego rodzinie dowiedziałam się od niego tylko tyle, że po raz ostatni widział swoich bliskich przed laty, że ojciec chorował i że on ma pięcioro rodzeństwa, choć to nie znaczy, że w tym czasie nie przybyło mu braci czy siostr.

– Jesteśmy dobrzy w rozmnażaniu się – stwierdził. – Lepszy niż Chińczycy. Jeśli stracimy dziecko, zaraz staramy się o dwoje następnych, żeby nadrobić stratę. Gdybyśmy kiedyś mieli stoczyć wojnę na dużą skalę, szybko podwoilibyśmy liczbę obywateli.

Nadal nie chciał zdradzić mi nazwiska ani imion swoich bliskich i twierdził, że



nie ma żadnych fotografii rodzinnych. Miał za to Henry'ego.

– Będziemy się zachowywać tak, jakby łączyła nas przyjaźń i nic więcej? – zapytałam. – Nie lubię udawać przed innymi.

– Nie musimy się kryć – odparł. – On już o nas wie.

Jestem pewna, że na początku wzbraniałam się przed udziałem w tej kolacji, choć może nie dość stanowczo. Nie sadzę, bym dała to Isaakowi wyraźnie do zrozumienia: zdawałam sobie sprawę, czym grozi wkroczenie do naszego prywatnego świata osoby pokroju Henry'ego, jednak paliła mnie ciekawość; rozpaczliwie pragnęłam poznać go bliżej, wydobyć z niego jak najwięcej informacji, nie mogłam więc zaprzepaścić okazji, żeby się z nim spotkać.

Isaak zaplanował kolację na piątek o szóstej. Przyjechałam do niego pół godziny wcześniej; Henry już tam był. Gdy otworzył mi drzwi, odniosłam wrażenie, że przytył od czasu, kiedy ostatni raz go widziałam, lecz zdawałam sobie sprawę, że jego obraz, jaki sobie stworzyłam, nie był wiarygodny. Spodziewałam się szorstkiego w obejściu gburą, a okazało się, że mam do czynienia z czarusem, który wziął ode mnie żakiet i powiesił w szafie, jakby był gospodarzem przyjęcia; zresztą na dobrą sprawę nim był. Spotkaliśmy się w mieszkaniu Isaaka, lecz to Henry przywiózł wszystko, co niezbędne do kolacji: kieliszki do wina, srebrne sztucce i serwetki z tkaniny, takie, jakich w domu mojej matki nigdy nie wykładano, bo żadna okazja nie była wystarczająco uroczysta. Henry przyznał jednak, że danie główne, pieczony kurczak, to dzieło jego żony. „Moja zasługa to włożenie go do piekarnika i podgrzanie”, oświadczył.

Przyjechałam z postanowieniem, że podczas kolacji wyciągnę z Henry'ego istotne fakty na temat Isaaka, lecz wyszło na to, że sama chcąc nie chcąc się przed nim odsłoniłam. Zapytał mnie o pracę, o radości i pułapki, jakie ze sobą niesie. Tak dokładnie brzmiały jego słowa. „Isaak mówił, że pracujesz w opiece społecznej. Ludzie na pewno często cię proszą, żebyś opowiedziała im o radościach i pułapkach, jakie niesie ze sobą tego rodzaju praca”.

Rzadko proszono mnie o to, żebym opowiadała o swojej pracy. David przestrzegł mnie kiedyś, żebym broń Boże nie ujawniała, w jaki sposób zarabiam na życie, facetowi, z którym chcę się umówić na randkę. „Powiedz, że jesteś nauczycielką albo sekretarką. Mężczyźni obawiają się kobiet, które wydają się moralnie nad nimi górować”.

Henry, zwracając się do mnie, patrzył mi w oczy z żarliwym przejęciem, czym dawał do zrozumienia, że cokolwiek powiem, będzie przyjęte jak najświętsza prawda i zawieść go mogę tylko w jeden sposób – milcząc. Podpuszczał mnie, zdawałam sobie z tego sprawę, lecz po pewnym czasie przestałam się tym przejmować.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł. – Ja też kiedyś na swój sposób próbowałem przysłużyć się bliźnim.

– Dlatego podjąłeś pracę w Afryce?

– Nie. Dlatego zostałem tam dłużej, niż powinienem.

Rozmawialiśmy tak we dwojkę ponad godzinę, jakbyśmy byli w pokoju sami. Im więcej mówiłam, tym uważniej Henry słuchał, na koniec zabiegałam wręcz o jego uznanie.

Kiedy powiedziałam: „W naszym mieście przydałoby się więcej takich ludzi jak Isaak”, kierowałam te słowa do Henry'ego, nie do Isaaka.

Henry pokrótce opisał mi swoją działalność w Afryce, ujawniając tyle, żebym

odniosła wrażenie, że on też, przynajmniej częściowo, przede mną się otworzył. Kiedy zapytałam, jakie to uczucie być dyplomatą, wywołałam u niego ten z pozoru szczery serdeczny śmiech, który ma świadczyć o pokorze.

– „Dyplomata” to szumne określenie. Prawdę mówiąc, byłem tylko starej daty biurokratą na rządowym garnuszku. Zaczynałem od wbijania pieczętek z wizą w Tanzanii. Nienawidziłem tego; nie samego zajęcia, lecz kraju. Wcześniej uważałem, że Stany postąpiły bardzo mądrze, nie pchając się do Afryki. Ja pojechałem tam, ponieważ sądziłem, że stamtąd łatwiej trafić do Europy, lecz zaczęły się ruchy wyzwolenicze i Afryka nagle wydała mi się najciekawszym miejscem na ziemi. Francuzi, Brytyjczycy i Belgowie uciekali w popłochu, a my staliśmy się najważniejszym graczem na kontynencie. Dostałem posadę w Kenii. Tam wystarczyło, że podniosłem słuchawkę telefonu, a zaraz łączyli mnie z prezydentem. Gościłem w hotelach i wygłaszałem odczyty o demokracji i o naszej konstytucji. Po pewnym czasie już nie chciałem wyjeżdżać. Kiedy bawiłem w Waszyngtonie, przekonywałem szefostwo, że powinniśmy bardziej się zaangażować, a nie tylko zwalczać wpływy Rosji w Afryce. Uważałem, że możemy zjednać sobie cały kontynent, potrzebujemy tylko odpowiednich przywódców. Wtedy przenieśli mnie do Londynu. Kiedy zapytałem szefa o powód, wyjaśnił, że straciłem z oczu nasz nadrzędny cel. Nikogo w Kansas nie obchodzi, co dzieje się w Afryce, powiedział. Zagalopowałem się, co mówiąc wprost, oznaczało, że zacząłem trzymać stronę tubylców. W Londynie poznałem sporo barwnych postaci rodem z Afryki, między innymi naszego wspólnego znajomego, Josepha. To jemu powinniśmy być wdzięczni za to, że nasz przyjaciel Isaak trafił do Stanów. Joseph był najbardziej niezwykłą osobą, z jaką zetknąłem się w Londynie; został moim przyjacielem, prawdopodobnie jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego tam miałem. Do klubu, w którym dyplomaci spotykali się przy kieliszku, kolorowi nie mieli wstępu, więc piliśmy w pubie naprzeciwko. W Kenii poznałem jego ojca. Powiedział, że jego syn studiuje w Londynie, więc obiecałem mu, że zaproszę go na lunch, jeśli mnie tam odnajdzie. I odnalazł. Afrykańczycy tacy są. Uwielbiają ludzi, którzy w ich mniemaniu mają jakąś władzę. Od razu go polubiłem. W obejściu był oficjalny, jak Anglicy, choć też szczerze ich nie znosił. Spotykaliśmy się w tym pubie dwa, trzy razy w tygodniu prawie przez dwa lata. Po śmierci jego ojca nawet częściej. Przynajmniej raz w tygodniu Joseph pytał: „Henry, jak myślisz, czy gdybym został prezydentem, wpuściliby mnie do tego waszego klubu?”. Miał w nosie klub, lecz brzydziły go kłamstwa, na których opierało się jego istnienie. „Zabijają nas i nazywają to «przygodą». Gdy na ulicy odezwę się głośniej do białego mężczyzny, patrzą na mnie jak na bandziora”. Raz na jakiś czas, gdy kończyliśmy spotkanie w pubie, przechodził przez ulicę i się domagał, żeby wpuszczono go do klubu. Słyszałem, jak krzyczał do odźwiernego: „Powinniście wstawić kraty w okna! Tam w środku siedzą sami kryminaliści!”. Wierzyłem, że kiedyś zostanie prezydentem swojego kraju. Isaak lepiej ode mnie ci wyjaśni, jak bardzo się myliłem.

Miałam wrażenie, że Henry żałował swej gadatliwości. W jednej chwili ochłódł, wycofał się, oddając się wspomnieniom. Zadałam mu jedyne pytanie, jakie przyszło mi na myśl.

– Podobało ci się w Londynie?

– Nie – odparł. – Czuję się tam okropnie. Kiedyś, podczas uroczystej kolacji, pewien facet zapytał, jak się zapatruję na to, żeby odbić siłą kolonie w Afryce. Wiedziałem, co to za jeden – minister czegoś tam – ale nie mogłem się pohamować.

Wygarnąłem mu, że takie rzeczy mogą wygadywać tylko mali ludzie z małej wyspy. Udawał, że to go rozbawiło. „Tylko Amerykanin, odparł, użyłby dwa razy w jednym zdaniu przymiotnika «mały»”. A ja na to: „Ma pan rację. Powinienem być powiedzieć: «Tylko niedouczone mikrusy na swojej małej żalosnej wysepce mogą wygadywać takie rzeczy»”. Myślałem, że mnie uderzy. Ale wiecie, co powiedział? „Jeszcze nigdy tak ciekawie nie rozmawiało mi się przy kolacji z Amerykaninem”. Przerzucaliśmy się obelgami do samego końca. Następnego dnia poinformowano mnie, że mam unikać oficjalnych przyjęć. Pół roku później dostałem przydział do konsulatu w Kanadzie. Wtedy postanowiłem odejść ze służby.

Po kolacji, kiedy Isaak zebrał naczynia i wyszedł z nimi do kuchni, Henry pochylił się do mnie nad stołem i dał mi znak ręką, żebym zrobiła to samo.

– Dziękuję, że zgodziłaś się dziś przyjść. Isaak ma szczęście, że trafił na ciebie. Martwiłem się, jak sobie tu poradzi. Ale przystosował się. Myślę, że obojętnie dokąd się wybierze w następnej kolejności, nie zginie.

– A dokąd się wybiera? – zapytałam.

Henry spojrział w stronę kuchni, żeby się upewnić, że Isaak nas nie obserwuje.

– Pomogłem mu tu przyjechać – odparł. – Co będzie potem, zależy wyłącznie od niego. Po tym wszystkim, co przeszedł, nie sądzę, żeby chciał wracać do siebie. W jego przypadku trudno nawet powiedzieć, co znaczy „do siebie”. Zresztą ty pewnie wiesz o nim więcej niż ja.

Robiłam dobrą minę do złej gry. Na pewno nie wiedziałam więcej od niego, lecz się bałam, że jeśli się do tego przyznam, dużo stracę w oczach Henry’ego, więc tylko rozsiadłam się na krześle i uśmiechnęłam tajemniczo, jakbym chowała w zanadrzu jakiś sekret.

Kiedy Isaak wrócił z kuchni, czułam, że lekko kręci mi się w głowie. Wszystkie niedopowiedzenia, które tolerowałam w naszym związku, w końcu zaczynały domagać się wyjaśnienia. Isaak zaproponował kawę i deser; ja wybijałam rytm stopami na podłodze, chcąc poczuć pewny grunt pod nogami, a Henry uprzejmie odmówił.

– Czeka mnie długa droga do domu – oświadczył. – Ale się cieszę, że mogliśmy się spotkać.

Podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach, jakby się domyślał, że ani myślę wstawać z krzesła.

– Jeśli będziesz kiedyś w St. Louis, Helen, koniecznie mnie odwiedź.

Obiecałam, że to zrobię. Wydawało mi się wtedy, że stanie się to zaraz z samego rana.

Isaak się uparł, że pozmywa po kolacji. Powiedział, że sprawiam wrażenie zmęczonej i powinnam się położyć, ja jednak wolałam mu się przyglądać, tak żeby nie zauważył, że na niego patrzę. Czasami obserwowałam tak moją matkę. Po sposobie, w jaki zmywała naczynia, mogłam odgadnąć jej nastrój. Kiedy była smutna, długo płukała i wycierała każdy talerz, zanim odłożyła go na suszarkę; tak samo zmywał naczynia tego wieczoru Isaak.

Później, kiedy leżałam już w łóżku, zaczęłam się cała trząść. Drżały mi ręce. Objął mnie i zapytał:

– Co ci jest?

– Zimno mi – powiedziałam.

Mimo pootwieranych okien przez cały wieczór czułam się jak w ukropie. Lecz

gdy tylko powiedziałam, że mi zimno, przeszył mnie autentyczny dreszcz, od którego dostałam gęsiej skórki na ramionach. Isaak próbował mi pomóc, przytulił się mocno, ogrzewał mnie swoim ciałem, lecz wciąż czułam się zziębnięta. Zamknęłam oczy i starałam się przywołać gorąco; nie odczucie, lecz samo słowo – wyobraziłam je sobie wypisane dużymi pogrubionymi czerwonymi literami jak znak ostrzegawczy. I po chwili, tak po prostu, gęsia skórka znikła i znów poczułam parną, niemal tropikalną atmosferę panującą w mieszkaniu. Isaak poszedł po dodatkowe prześcieradło. Kiedy wrócił do sypialni, zapytał, czy może coś jeszcze dla mnie zrobić.

– Owszem – odparłam. – Obiecaj, że nie znikniesz niespodziewanie pewnego dnia. – Po czym, kiedy uzmysłowiłam sobie, że tak naprawdę chciałam powiedzieć coś innego, dodałam: – Dłużej tak nie może być między nami. Należy mi się od ciebie coś więcej.

## ISAAK

Następnego ranka w stolicy, niedaleko centrum, doszło do niezbyt silnej eksplozji, a potem przez całe popołudnie i wieczór z czterech różnych dzielnic co jakiś czas dochodziły odgłosy strzelaniny. Te ataki nie były dziełem Josepha i jego ludzi. Wiedziałem o tym, ponieważ wraz z nim i Isaakiem przyglądałem się z okna na drugim piętrze słupowi dymu unoszącemu się nad stolicą. Isaak zapytał Josepha, czy wie, kto kryje się za tymi zamachami. Joseph odpowiedział, że nie wie i nic go to nie obchodzi.

– Nie mają z nami nic wspólnego. To amatorzy – skwitował.

Wieczorem dowiedzieliśmy się z radia, że ci amatorzy zrobili wyrwę w ścianie urzędu pocztowego. Myśleli, że to jakiś ważny rządowy budynek, ponieważ wisiała na nim flaga państwowa. O strzelaninie nie wspomniano ani słowem.

– Zginęli nadaremnie – stwierdził Isaak.

Joseph był innego zdania.

– Każda akcja się liczy – powiedział. – Dowodzi słabości rządu. Budzi w innych bojowego ducha.

Mimo że Joseph nie patrzył w moją stronę, czułem, że do mnie kieruje te słowa. Czy miałem bojowego ducha? Tego jeszcze nie wiedziałem, lecz na pewno chciałem go poczuć. Tej nocy pierwszy położyłem się spać i pierwszy rano zerwałem się na nogi. Mogłem więc szczerze stwierdzić, że nie mam pojęcia, co zaszło w czasie, kiedy spałem.

Ponieważ nie wiedziałem, czy Isaak wychodził z pokoju w środku nocy, łatwiej mi było zacząć nowy dzień. Spośród pół tuzina książek, które przywiozłem do stolicy, zachowała się tylko jedna. Nie żałowałem zbyt wiele tych, które utraciłem. Znałem je niemal na pamięć, podobnie zresztą jak uratowane przez Isaaka *Wielkie nadzieje* Dickensa. Z książką pod pachą wyszedłem na dziedziniec i usiadłem pod drzewem. Nie tyle czytałem, ile odtwarzałem jej treść z pamięci; mogłem tak recytować przez kilka minut bez zaglądania do tekstu i nie pominąć przy tym ani słowa, podobnie jak mój ojciec i wujowie, kiedy raczyli dzieciaki opowieściami. Ich historie nabierały życia dopiero wtedy, kiedy oni nadawali im znaczenie, tak jak ja uczyniłem tego ranka. Londyn przeistoczył się w Kampalę, a po ulicach stolicy błąkał się Pip, biedna afrykańska sierota.

Do czasu, kiedy dzień obudził się na dobre i poczułem zapach smażonej w kuchni cebuli, wokół panowała błoga cisza. Zacząłem się zastanawiać, jakie kroki tego dnia powinienem podjąć, żeby przekonać Josepha o moim oddaniu sprawie, gdy nagle usłyszałem oklaski i wiwaty dochodzące z najwyższego piętra. Odgłosy te mnie wystraszyły, głównie dlatego, że od tygodni czegoś takiego nie słyszałem. Zastanawiałem się, co też mogą oznaczać, kiedy w oknie pokazała się głowa Isaaka (nasz wspólny pokój nie miał okna wychodzącego na podwórze).

– Przyjdź do salonu – powiedział. – Musisz posłuchać radia.

\*

Spotkaliśmy się przy schodach. Isaak miał na sobie ciemnofioletową koszulę, której nigdy wcześniej nie widziałem. Postawił radio na stole w salonie i pogłodził tak, żeby wszyscy w całym domu słyszeli; od dziewczyn w kuchni po strażników na dachu i przy bramie. Poranne przemówienie prezydenta odtwarzane było w kółko bez żadnych przerywników. Jego głos, kiedy mówił o zagrożeniach dla narodu, o atakach wymierzonych w państwo, o podjętych środkach nadzwyczajnych, o godzinie policyjnej

i rozstrzeliwaniu podejrzanych, brzmiał całkiem spokojnie. Stwierdził, że wszyscy jesteśmy dziećmi rewolucji, która oswoiła Afrykę, a on jako nasz prezydent robi wszystko, żebyśmy pozostali wolni.

Nim Isaak zniósł radio na dół, zdążył wysłuchać przemówienia kilka razy. Do jego ulubionych fragmentów należały prezydenckie deklaracje o wprowadzeniu godziny policyjnej od zmierzchu do świtu i ustanowieniu stanu wyjątkowego. Słyszając je, za każdym razem uderzał pięścią w stół.

– Jedyna prawdziwa różnica – powiedział – polega na tym, że odtąd działają oficjalnie. Już nie muszą udawać, że mają powód, żeby cię zastrzelić.

\*

Nie podzielałem jego entuzjazmu, ale też się go nie bałem. Parskałem śmiechem, kiedy robił to Isaak, i uśmiechałem się ironicznie, kiedy uważałem, że tak wypada. Patrząc na niego, wyzbyłem się wątpliwości. Moje odczucia związane z rozwojem wydarzeń nie uległy zmianie, a że raczej nie odpowiadały sytuacji, czym prędzej przyjąłem postawę Isaaka jako własną.

– Boją się – stwierdziłem.

Kiedy to powiedziałem, od razu poczułem się lepiej.

– Są wręcz przerażeni – odparł Isaak.

– Idą na dno.

– Niedługo będzie po wszystkim – zawyrokował.

\*

Po krótkiej przerwie przemówienie prezydenta zaczęło się od początku. Wsłuchiwałem się uważnie, chcąc się przekonać, czy jest to jedno i to samo nagranie, czy też nadają różne wersje z tymi samymi słowami, ale wypowiedzianymi inaczej, wywołującymi w słuchaczach różne nastroje: wersja wzbudzająca strach, druga dodająca otuchy; specjalna wersja na poranek, inna na popołudnie i wieczór, jeszcze inna na noc – wolniejsza i łagodniejsza.

Słuchaliśmy przemówienia po raz trzeci. W połowie uznałem, że Isaak i ja się myliliśmy, głosząc rychły upadek rządu – to my byliśmy skończeni. I wtedy nastąpiła króciutka przerwa, na którą za pierwszym ani za drugim razem nie zwróciłem uwagi; trwała sekundę, może nawet ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, żeby przywołać obraz mężczyzny siedzącego samotnie za biurkiem i czytającego w kółko na głos te same słowa, i w jednej chwili znów nabrałem przekonania, że niedługo będzie po wszystkim. Rząd zostanie obalony, a władzę przejmąmy my albo inni powstańcy.

\*

Joseph zszedł na dół, kiedy przemówienie dobiegało końca. Jego pojawienie się przyjąłem z ulgą; odeszła mi ochota do dalszego słuchania. Zdany wyłącznie na siebie potrafiłbym odczytać znaczenie tego, co się działo, na zbyt wiele sposobów. W obecności Josepha możliwy był tylko jeden.

Podniósł radio i je wyłączył. Było szare, miało ten sam odcień co jego garnitur. Zastanawiałem się, czy to zbieg okoliczności, czy może Isaak specjalnie wybrał dla niego na dziś garnitur w tym kolorze.

– To dla nas ważny dzień – oznajmił Joseph. – Musimy działać szybko.

Wyciągnął do mnie rękę. Ukłoniłem się, nim ją uścisnąłem. Wreszcie stałem się częścią „nas”.

– Umiesz czytać mapy? – zapytał.

Isaak położył mi rękę na ramieniu.

– To geniusz – powiedział. – Ze wszystkim sobie poradzi.

\*

Joseph miał w całym domu kilka gabinetów, a każdy z nich służył innemu celowi. W jednym przeprowadzał odprawy dla strażników, inny wykorzystywał do cichej, samotnej pracy. Tym razem udał się do gabinetu na parterze, a nam kazał czekać w salonie albo na dziedzińcu. Woleliśmy dziedzińiec; chcieliśmy zobaczyć, kto tego dnia odwiedzi Josepha. Isaak spodziewał się tłumu dygnitarzy, ministrów, biznesmenów.

– Joseph ma wielu wpływowych przyjaciół, którzy na pewno go poprą – powiedział.

Staliśmy pod drzewem i czekaliśmy na pierwszą falę gości; po pół godzinie usiedliśmy. Minęło południe, a na dziedzińcu nie zajechał ani jeden samochód. Strażnicy trzymali wartę przy bramie i na dachu; dziewczyny wieszały za domem wyprane prześcieradła. Upłynęła godzina, potem druga. Na dworze panował nieznośny upał, lecz Isaak się uparł, żebyśmy zostali na dziedzińcu.

– Zaraz coś się wydarzy – powiedział i się nie mylił.

Kilka minut później podszedł do nas jeden z osobistych ochroniarzy Josepha, zwykle nieodstępujący go na krok. Na jego widok obaj wstaliśmy. Twarz ochroniarza, ukryta za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, których nie zdejmował nawet w domu, była niemal niewidoczna, ale podejrzewałem, że sprawiło mu przyjemność, kiedy stanęliśmy przed nim na baczność nie z szacunku, lecz ze strachu.

Powiedział coś do Isaaka i przekazał mu kopertę, po czym ruszył z powrotem do domu. Po sposobie, w jaki Isaak trzymał kopertę, domyśliłem się, że była przeznaczona dla mnie. Nie kwapił się, żeby mi ją oddać, a ja chciałem mu uzmysłowić, że dłużej nie będzie decydował o tym, co się ze mną stanie.

– Wszystko gra – powiedziałem.

Wręczył mi kopertę.

– Joseph chce, żebyś do końca popołudnia nauczył się tego – oznajmił.

„To” oznaczało ręcznie sporządzoną, zawiałą mapę części stolicy, w której nigdy wcześniej nie byłem. Dziesiątki wąskich i krętych dróg wskazywały na dzielnicę nędzy podobną do tej, w której kiedyś mieszkaliśmy z Isaakiem, lecz kilka razy większą.

– A potem co?

– Nie wiem – odparł. – Ale nie masz zbyt wiele czasu. Za kilka godzin się ściemni.

Na zapoznanie się z mapą udostępniono mi pokój na pierwszym piętrze. Z wyjątkiem cienkiego, wąskiego materaca wciśniętego pod okno nie było w nim żadnych sprzętów. Spojrzałem przez szybę; widać było odcinek drogi prowadzącej do wejścia. Klęknąłem na materacu i udając, że mój palec to rewolwer, celowałem do wyimaginowanych napastników szturmujących dom.

Do końca popołudnia nauczyłem się mapy na pamięć. Widniało na niej trzydzieści sześć różnych ulic, a od nich odchodził tuzin mniejszych, które nagle się urywały. Zapamiętałem je, wyobrażając sobie, że spaceruję każdą z nich, a kiedy już

wszystkie przeszedłem, przechadzałem się nimi po raz drugi i trzeci. Lecz nie tylko spacerowałem tymi ulicami, ja wśród nich żyłem. Na jednej z nich mieszkała moja dziewczyna, inną w piątkowe popołudnia wracałem z pracy do domu. Miałem liczną rodzinę rozrzuconą po całej okolicy – braci, ciotki, dziadków – którą regularnie odwiedzałem. Kiedy Isaak przyszedł mi powiedzieć, że Joseph czeka na dole, umiałem z zamkniętymi oczami odtworzyć nie tylko całą mapę, lecz również twarze ludzi i wnętrza domów, które wymyśliłem.

Joseph zwięźle, w kilku słowach, wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje. Odpowiadała mi jego małomówność. Zapytał, czy nauczyłem się mapy na pamięć. Odparłem, że znam ją jak własną kieszeń. Wziął ode mnie mapę i wyraził nadzieję, że mówię prawdę.

– Nie możesz sprawiać wrażenia kogoś, kto się zgubił – powiedział. – Musisz wyglądać na miejscowego.

Zapewniłem go, że nie będę sprawiał wrażenia zagubionego, że znam te ulice tak dobrze, jakbym mieszkał tam od lat. Joseph oznajmił, że ma dla mnie zadanie: chodzi o dostarczenie w umówione miejsce pewnej przesyłki.

– Mamy w tym domu coś, co trzeba przenieść.

Powiedział, że wkrótce przyjedzie samochód, który zawiezie mnie na obrzeża tamtej dzielnicy. Potem ruszę pieszo, udając sprzedawcę owoców. Przygotowano dla mnie taczkę. Miałem tylko dostarczyć ją pod wskazany dom przed zachodem słońca, nim zacznie obowiązywać godzina policyjna.

Na koniec zapytał, czy jestem pewny, że chcę się podjąć tego zadania.

– Decyzja należy do ciebie – podkreślił.

Uważałem, że nie mam nic do stracenia. Sprzykrzyło mi się życie bez celu.

– Na sto procent – odpowiedziałem.

\*

Samochód przyjechał w przewidzianym przez Josepha czasie, punktualnie co do minuty.

– Będzie tu za dziesięć minut – powiedział i rzeczywiście, dokładnie dziesięć minut później na dziedziniec wjechała mocno poobijana i oblepiona błotem półciężarówka z otwartą skrzynią. Do zachodu słońca pozostało niewiele czasu, więc szybko się uwinęliśmy. Joseph rozmówił się z kierowcą, na samochód załadowano pełną taczkę, a potem ja wdrapałem się na skrzynię. Po kilku minutach byliśmy już gotowi do odjazdu i ruszylibyśmy, gdyby Isaak nie próbował z nami się zabrać. Podszedł do skrzyni, na której przycupnąłem, i zaczął się na nią gramolić, lecz Joseph krzyknął, żeby zszedł. Isaak stał na zderzaku dłużej, niż się spodziewałem, i całkiem możliwe, że dołączyłby do mnie, gdyby nie ściągnął go jeden ze strażników. Gdy tylko znalazł się na ziemi, samochód natychmiast wycofał za bramę i wjechał na drogę, a ja zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Isaak staje przed Josephem z pochyloną głową.

\*

Przez pierwsze pięć minut jazdy strasznie trzęsło. Dwa razy o mało nie spadłem ze skrzyni, kiedy przedzieraliśmy się przez wąskie boczne drogi. Wreszcie oddaliliśmy się od domu tak, że mogliśmy bezpiecznie wyjechać na jedną z głównych arterii miasta. O tej porze ruch był niewielki. Kiedy nabraliśmy prędkości, przestałem tak kurczowo



trzymać się barierki i odetchnąłem głębiej ciepłym wieczornym powietrzem. Przed rondem na Bulwarze Niepodległości samochód zatrzymał się na chwilę, żebym zdążył zeskoczyć i zdjąć taczkę. Do godziny policyjnej pozostało niecałe trzydzieści minut. Na chodnikach i jezdniach tłoczyli się ludzie, którzy albo śpieszyli się do domu, albo stali beczynnymi na ulicy, czekając, aż zostaną zmuszeni do schowania się pod dachem. W tę ludzką cizbę udało mi się niepostrzeżenie wmieszać. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Wiedziałem, gdzie się znajduję; niemal tak, jakbym był u siebie.

\*

Prowadziłem taczkę zaśmieconymi, porytymi koleinami uliczkami, przy których mieszkali moi wymyśleni znajomi i krewni. Dzielnica pod każdym względem odpowiadała moim wyobrażeniom – szarość, brud, wszystkie funkcje życiowe ścieśnione na niewielkiej powierzchni: od sracza pod gołym niebem po sen, seks i małżeńskie kłótnie w sypialni. Zewsząd dolatywały podniesione głosy i mocne zapachy. Kiedy dotarłem do oznaczonego na mapie domu – parterowego budynku z betonem, nieróżniącego się od sąsiednich niczym, z wyjątkiem wystawionego w oknie spłowiałego plakatu z Bobem Marleyem – żałowałem, że to już kres mojej wędrówki; pod byle pretekstem chętnie ruszyłbym dalej.

Gdy tylko zatrzymałem się przed domem, natychmiast otworzyły się drzwi. Ze środka wyrosło kilka par rąk i złapało mnie za szyję i ramiona. Miałem dość rozumu, żeby nie krzyczeć, choć starałem się wyrwać. Machałem rękami, wierzgałem. Czyjeś potężne ramię oplotło mi szyję i zaczęło dusić; czułem, jak napastnicy odrywają mnie od ziemi i unoszą w powietrze. Szukałem wzrokiem taczki; nie było po niej śladu. W ten sposób się upewniłem, że trafiłem pod właściwy adres.

Zaniesiono mnie do pokoju w głębi domu. Pod ścianą stały piętrowe prycze, a na środku łóżko polowe, ale mnie rzucono na podłogę. Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, spostrzegłem, że nie jestem w pokoju sam. Towarzyszyło mi siedmiu chłopaków, z wyglądu sądząc, nastolatków. Czterech siedziało na dolnych pryczach, trzech przykucnęło w kącie i paliło papierosy. W pokoju nie było okna i do środka wpadało tylko przyćmione światło z korytarza. Unoszące się w powietrzu gęste kłęby dymu tłumiły niemal wszystkie inne zapachy. Jeden z chłopaków wyciągnął rękę w stronę mojego czoła – z rozcięcia nad brwią sączyła się krew. Powiedział coś w języku, który słyszałem po raz pierwszy w życiu, a kiedy odpowiedziałem po angielsku, że nie rozumiem, wszyscy chłopcy się roześmieli. Zerwałem się na równe nogi. Zwróciłem się w stronę drzwi; w domach biedoty raczej nie wstawiano zamków, a mój plan był prosty: wybiec na ulicę i ukryć się gdzieś. Nie zdążyłem nawet dotknąć klamki. Cała siódemka chwyciła mnie i powaliła na podłogę, a potem dwóch chłopaków stanęło przed drzwiami. Obchodzili się ze mną stosunkowo łagodnie, biorąc pod uwagę okoliczności. Kręcili głowami i ciągle powtarzali „nie”, jakby karcili dziecko albo zwierzę domowe, które nie umiało się zachować. Nie pozwolili mi wstać. Kazali leżeć na dolnej pryczy w rogu pokoju. Przez cienkie ściany dochodziły krzyki dorosłych. Wmawiałem sobie, że wszystko dobrze się skończy. Starałem się nie myśleć o śmierci, ale to oczywiście niezawodnie sprawiło, że myślałem tylko o niej. Okrzyki na zewnątrz cichły co chwila, co mogło oznaczać, że niebawem nastąpi rozstrzygnięcie. Zamknąłem oczy i modliłem się o to, żeby drzwi pokoju otworzyły się nie wcześniej niż o świcie. Otworzyły się może po dziesięciu minutach, a może po godzinie, i usłyszałem męski głos, który kazał mi się

zbierać.

– Szybko, musimy się stąd wynosić.

Oczy miałem wciąż zamknięte, ale od razu poznałem, że to Isaak. Ruszyłem za nim ze wzrokiem wbitym w tył jego głowy. Nie oglądałem się na chłopaków, którzy mnie obskoczyli, ani na mężczyzn zebranych w pokoju obok. Jak tylko wymknęliśmy się frontowymi drzwiami na ulicę, usłyszałem za plecami szcęk zasuw.

– Teraz kolej na ciebie. Musisz nas stąd wyprowadzić – powiedział Isaak.

Przed oczami stanęła mi mapa okolicy. Ujrzałem drogę ucieczki, którą nakreśliłem sobie wcześniej w wyobraźni, i starałem się w miarę możliwości jej trzymać. W niemal wszystkich domach i sklepikach pogaszono światła. Świeczki z rzadka wystawione w oknach rozjaśniały mrok tak, że można było dostrzec najbliższy zakręt, lecz w zasadzie poruszaliśmy się po omacku. Byliśmy na ulicy sami; od kilku godzin obowiązywała godzina policyjna. Skręciliśmy w lewo; miałem nadzieję, że wybrałem właściwy kierunek. Zdążyliśmy przejść ledwie kilkaset metrów, gdy usłyszeliśmy stukot butów żołnierzy maszerujących w naszą stronę i znajomy głos dochodzący z radia. Stanęliśmy na chwilę; to wystarczyło, żebyśmy rozpoznali przemówienie prezydenta, które słyszeliśmy rano. Kolumna zbliżała się i jego głos brzmiał coraz głośnie.

Isaak chwycił mnie za rękaw i pociągnął w stronę stojącego kilka metrów dalej małego błękitnego domu, którego drzwi były lekko uchylone. Wprowadził mnie do środka i je za sobą zatrasnął. Kilka kroków od nas na podłodze siedzieli starszy mężczyzna i młoda kobieta, skuleni przy świecy celowo ustawionej z dala od środka izby.

Choć oboje wyglądali na przerażonych, żadne nie odezwało się do nas ani słowem. Wpatrywali się we mnie, potem w Isaaka, wreszcie w podłogę, unikając nawzajem swego wzroku, jakby już dawno pogodzili się z tym, że każdego wieczoru do ich domu mogą wtargnąć obcy i zrobić z nimi, co zechcą. Nie sposób rzetelnie oszacować szkody, jaką wyrządza taka wiedza, niezależnie od tego, czy punktem odniesienia będzie przestrzeń jednej izby czy całego miasta.

Isaak próbował jakoś podnieść ich na duchu. Przykucnął przed mężczyzną i tym samym czułym głosem, którym zwrócił się do kaleki przed szpitalem, powiedział:

– Dziadku, nie bój się.

Przemawiał do niego kilka minut w języku suahili, a starszy mężczyzna co jakiś czas mlaskał językiem na znak, że się zgadza. W końcu Isaak wstał i oświadczył:

– Zostaniemy tu do rana.

– Nie możemy wyjść wcześniej?

Pokręcił głową. Spojrzał na kobietę; dopiero teraz zauważyłem, że jest bardzo młodą dziewczyną, dziewczynką właściwie, a kiedy położyła rękę na brzuchu, uzmysłowiłem sobie, że spodziewa się dziecka.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli wszyscy dożyjemy świtu – stwierdził Isaak.

Dziewczyna poszła do pokoju w głębi domu i zniknęła nam z oczu. Isaak złożył gratulacje mężczyźnie, który po raz pierwszy się uśmiechnął. Wyciągnął rękę i zaczął po kolei odliczać na palcach, przy każdym wypowiadając kilka słów. Potem wznosił modły do swojego Boga.

– To jego piąte dziecko – wyjaśnił Isaak. – Dwoje nie żyje, pozostałe od lat nie dają znaku życia. Ma nadzieję, że tego potomka Bóg pozwoli mu zachować.

Mężczyzna dźwignął się z podłogi jakby ostatkiem sił. Wcześniej dobrze mu się nie przyjrzałem, wydał mi się po prostu znacznie starszy od żony; teraz zobaczyłem, że to

wręcz staruszek. Skóra jego stóp była pomarszczona, palce niemal pozbawione paznokci. Przeszedł do pokoju w głębi i dołączył do swojej młodziutkiej małżonki. Wyobraziłem ich sobie leżących obok siebie na materacu, a obraz ten wzbudził we mnie nie tyle oburzenie, jak można by się spodziewać, ile litość dla tych dwojga, a co za tym idzie, również dla nas samych.

Isaak i ja zostaliśmy sami w izbie, której umeblowanie stanowiły dwa drewniane zydle, mata modlitewna w kącie i podłużna twarda ława stojąca pod ścianą. Wtedy usłyszeliśmy pierwszy strzał, a po nim kilka serii z broni maszynowej. Tylko ja zacząłem rozglądać się za jakąś kryjówką. Isaak nawet nie drgnął.

– Usiądź – powiedział. – Przed nami długa noc.

## HELEN

Isaak przyrzekł, że postara się zaspokoić moją ciekawość.

– Obiecuję, że nie zniknę nagle bez uprzedzenia – oświadczył, lecz nie byłam przekonana, że dotrzyma słowa, więc słowa, które padły z jego ust, nie miały dla mnie większego znaczenia.

– To już wiem – skłamałam. – Lecz nie to chciałam od ciebie usłyszeć.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać mnie po ramieniu, lecz się odsunęłam, nim zdążył mnie dotknąć. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczął mnie pocieszać. Wstałam z łóżka. Zobaczyłam moje ubranie leżące na podłodze i zaczęłam się zastanawiać, jakie słowa z jego strony mogłyby mi posłużyć za pretekst do odejścia.

– Henry stwierdził, że ja wiem lepiej od niego, dokąd się wybierzesz w następnej kolejności, ale to nieprawda. Wiem o tobie tyle co i on. Co to w ogóle za pomysł z tą wspólną kolacją?

– Chciałem, żebyście się poznali. Henry też chciał cię poznać.

– To dlatego, że nic o tobie nie wie. Nie wie nawet, skąd pochodzisz. Jak to możliwe?

– Nie chciał wiedzieć więcej niż to konieczne.

– Nie wierzę.

– Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, na lotnisku, od razu zapytał: „Kim ty, u licha, jesteś?”. Miał w portfelu zdjęcie Isaaka – tego, o którego śmierci dowiedziałem się tamtego wieczoru, kiedy czatowałam pod moim domem. Powiedziałem mu wtedy prawdę: Isaak, na którego czekał, przebywał na północy Ugandy. Oddał mi swój paszport i wizę, żebym mógł przyjechać do Stanów zamiast niego, bo on nigdy się tu nie wybierał. Powiedziałem Henry’emu, że z chwilą kiedy wsiadłem do samolotu, stałem się Isaakiem.

– A kim byłeś przedtem?

– Tego właśnie Henry nie chciał wiedzieć. Stwierdził, że gdyby coś się stało, im mniej o mnie wie, tym lepiej.

– Ja nie jestem Henrym.

– Wiem.

– To dlaczego traktujesz mnie tak, jakbym nim była?

Otulił się koldrą. Zastanawiałam się, czy naprawdę go uraziłam, czy tylko udawał obrażonego.

– Zanim tu przyjechałem, dwa dni spędziłem u Henry’ego. Zabrał mnie z lotniska w Chicago do swojego domu w St. Louis. Tam miał się zastanowić, co dalej ze mną zrobić. Nie dowierzał mi i oświadczył, że jeśli się dowie, że go okłamałem, każe mnie aresztować i odesłać tam, skąd przybyłem. Rozumiałem jego wątpliwości. Spędził w Afryce dość czasu, żeby wiedzieć, do czego skłonni są zdesperowani ludzie.

Codziennie ryzykowali życie, żeby tylko się stamtąd wydostać. Gotowi byli posunąć się do kradzieży, a nawet zabójstwa. Henry dzwonił w różne miejsca, żeby ustalić, gdzie przebywa jego przyjaciel, Joseph. To Joseph go poprosił, żeby ściągnął tu Isaaka.

Pomyślał, że jeśli wyśle go do Ameryki, zapewni mu bezpieczeństwo do czasu zakończenia wojny. Rano ktoś z Ambasady Brytyjskiej w Kampali przekazał Henry’emu wiadomość, że Joseph prawdopodobnie nie żyje, a on i jego armia są odpowiedzialni za wiele zbrodni na północy kraju. Spałem, kiedy Henry odebrał ten telefon. Słyszałem tylko, jak po skończonej rozmowie rzucił słuchawkę na widełki. Myślałem, że udaje

wzburzenie. Zapytał, co wiem o Josephie. Powiedziałem mu prawdę. Dodałem, że Joseph nie żyje. Usiadł na krześle naprzeciwko i zapytał: „Kiedy wy zmądrzejecie? Zabijanie sprawia wam przyjemność?”. Przyznam, że sam się nad tym zastanawiałem. Na moich oczach zginęło wielu ludzi; wtedy uznawałem to za naturalne, wydawało mi się, że nasze życie nie ma żadnej wartości. Jednak podczas rozmowy z Henrym zrozumiałem, że obaj byliśmy w błędzie. Nikt nie musiał nas uczyć zabijania, lecz to właśnie oni, przybyli do Afryki cudzoziemcy, pokazali nam, że zabić człowieka to jak splunąć. Joseph, przyjaciel Henry’ego, miał na sumieniu śmierć wielu ludzi. Teraz uważam, że robił po prostu to, czego nauczyli go Brytyjczycy. I tak mniej więcej odpowiedziałem wtedy Henry’emu: „Jak myślisz, czego nauczył się Joseph w Anglii, przestając z ludźmi takimi jak ty?”. Moje słowa go zaskoczyły, nie spodziewał się tego po mnie. Bałem się, że go obraziłem, ale uśmiechnął się i powiedział: „Wiesz co? Chyba masz rację”. Po południu zadzwonił ktoś z Ambasady Brytyjskiej. Isaak, którego Henry próbował namierzyć, służył jako kapitan lub pułkownik w tej samej armii, którą wcześniej dowodził Joseph. Jej dowódcy zabiegali o to, żeby poddać się Brytyjczykom; nie chcieli oddawać się w ręce rządu. Isaak był jednym z trzech oficerów, którzy podpisali się pod listem z prośbą o pomoc skierowanym do Brytyjczyków. Henry nie wyjawiał mi dalszych szczegółów.

Kiedy odłożył słuchawkę, długo się do siebie nie odzywaliśmy. Ja myślałem o przyjacielu, który jeszcze żył, choć raczej nie było szans, że wyjdzie z opresji cało, a Henry się głowił, co ze mną zrobić. Minęła prawie godzina, nim oświadczył: „Nie chcę wiedzieć, czym się zajmowałeś przed przyjazdem do Ameryki. Dla mnie urodziłeś się dziś rano i masz na imię Isaak. Tylko tak mogę ci pomóc”. Z miejsca się polubiliśmy. Przestałem być dla niego problemem, który należało rozwiązać. Nie musiał nikogo ratować ani się obwiniać. Zapytał, czym zajmuję się w wolnym czasie. Nie rozumiałem, pierwszy raz słyszałem takie wyrażenie, więc dodał: „Jakie są twoje ulubione rozrywki?”. Odparłem, że lubię czytać Dickensa. Powiedział, że jego zdaniem nawet mówię z lekkim brytyjskim akcentem. „Poza Dickensem w ciągu ostatnich stu lat Anglia nie dała światu nic dobrego”, stwierdził. Później tego samego dnia udzielił mi kilku rad, jak zachowywać się w Ameryce. Powiedział, żebym nie przyglądał się białym, żebym odpowiadał: „panie władzo”, kiedy zatrzyma mnie policja, i żebym siedział jak mysz pod miotłą. „Tutejsze społeczeństwo nie jest zbyt tolerancyjne, dodał. Być może będziesz żałował, że tu trafiłeś”. „Poradzę sobie, zapewnilem. Stanę się praktycznie niewidoczny”. Kiedy się z tobą związałem, nadal kierowałem się tą zasadą. Uważałem, że im mniej o sobie mówię, tym lepiej.

– Dla mnie czy dla ciebie? – zapytałam.

– Dla nas obojga.

– David podejrzewał, że masz na sumieniu coś strasznego, dlatego tak mało mi o sobie opowiadasz. Nawet się nie przyznałam, że miałam wątpliwości co do twojego imienia. Gdybym mu to powiedziała, błagałby, żebym więcej się z tobą nie spotykała, a tego nie chciałam. Nie rozumiem, jak możesz tak żyć. Ja czuję się bardzo związana ze swoim miastem; nawet gdybym stąd wyjechała, prawdopodobnie nadal myślałabym o sobie jako o Helen z Laurel.

– Rozumiem cię. Kiedyś czułem podobnie, ale zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby się wyrwać. Kiedy przyszedłem na świat, otrzymałem trzynaście imion na cześć ojca i jego przodków, wywodzących się z wielu pokoleń wstecz. Ja pierwszy w całej wiosce mogłem się poszczycić trzynastoma imionami. Nasza rodzina uchodziła za

błogosławioną z racji tak długiej historii. Wszyscy w niej rodzili się i umierali na tej ziemi. Karmiliśmy ją swoimi ciałami dłużej niż inne rodziny i zakładano, że ja zrobię to samo, a po mnie moje dzieci. Lecz już od najmłodszych lat wiedziałem, że to nie dla mnie. Czułem się jak w więzieniu. Mieliśmy jednego konia i muła, na których jeździliśmy z ojcem po polach. Ziemia była tam piękna, niezmienna od setek lat. Zaprzęgaliśmy woły, oraliśmy i wiedziałem, że jeśli tam zostanę, moje życie nie będzie się wiele różniło od losu tych wołów. Błagałem ojca, żeby posłał mnie do szkoły, ale twierdził, że matka nigdy by mu tego nie wybaczyła, więc postanowiłem wyjechać. Miałem wtedy chyba trzynaście albo czternaście lat. Przyjaźniłem się z garstką chłopców, z czasem ich liczba jeszcze się zmniejszyła. Potajemnie przygotowywałem się do wyjazdu. Wymyślałem sobie rozmaite imiona i nazwiska i zapisywałem je w zeszytach, który potem spaliłem. Objeżdżając pola na grzbiecie muła, ćwiczyłem angielski, czytałem te kilka książek, które miałem, kilkadziesiąt, a może i setki razy. Jednak zostałem w rodzinnej wiosce o wiele dłużej, niż zakładałem. Nastąpiła susza i zbiednieliśmy jeszcze bardziej. Powoli zacząłem nabierać przekonania, że najlepsze lata życia upłyną mi na marzeniach. Dochodziły do nas pogłoski o buncie żołnierzy na południu kraju, ale czuliśmy się bezpieczni. Wkrótce w naszej wiosce zaczęli pojawiać się młodzi agitatorzy. Byli w moim wieku, lecz mieli już za sobą studia na uniwersytecie. Zwoływali zebrania, na które nikt nie przychodził. W końcu przybyli do naszego domu i zapytali, czy naszym zdaniem to sprawiedliwe, że żyjemy w ubóstwie, podczas gdy rządzący w Addis Abebie opływają w dostatki niczym królowie. Zapowiadali rewolucję socjalistyczną i namawiali mnie, żebym się do nich przyłączył. Następnego dnia ojciec oświadczył, że już czas, żebym wyjechał. „Nie chcę, żebyś tu został, powiedział. Gdyby twoi bracia byli starsi, też wysłałbym ich jak najdalej stąd”. Był przekonany, że w naszym kraju wkrótce dojdzie do rozlewu krwi. Myślę, że miał rację. Jeszcze nic się nie dzieje, ale to tylko kwestia czasu. Kiedy się żegnaliśmy, objął mnie i długo trzymał w uścisku. Jak byłem mały, nazywał mnie Ptaszkiem. Powiadał, że żyję w górze, na niebie, wysoko nad resztą ludzi. „Wrócisz do nas”, powiedział. „Oczywiście”, odparłem. Myślałem, że będzie kazał mi pisać, lecz tylko ucałował mnie cztery razy, dwukrotnie w każdy policzek. „Nie, mój Ptaszku, powiedział. Wiem, że już nie wrócisz”. Pojechałem do Addis Abeby, stamtąd autobusem do Kenii, a potem do Ugandy. Kiedy dotarłem do Kampali, byłem nikim. Tak, jak sobie wymarzyłem.

## ISAAC

Tego wieczoru rozpoczęła się wojna Josepha. Arsenał ukryty w taczce trafił do rąk siedmiu chłopców, którzy mnie uwięzili. Wkrótce po tym, jak Isaak i ja opuściliśmy ich dom, zaczęli zabijać żołnierzy patrolujących dzielnicę, jednego po drugim. Z początku chłopcy mieli przewagę. Działali na swoim terenie, wiedzieli, skąd zaatakować i gdzie się schować.

Żołnierze odstrzelili się bezładnie, na oślep. Na śmierć lub zranienie któregoś z towarzyszy odpowiadali setkami pocisków, kierowanymi nie tylko w stronę ulicy, ale przez okna i drzwi do wnętrza domów bez względu na to, kogo mogli tam osiągnąć. W pierwszej godzinie zamieszek zginęło wielu ludzi, lecz Isaak i ja nie tym się martwiliśmy. Nasłuchiwalismy odgłosów strzelaniny z kąta pokoju, zapewniającego najlepsze w tych warunkach schronienie przed zabłąkanym pociskiem. Kiedy w wymianie ognia nastąpiła przerwa, zaczęliśmy się rozliczać.

Rozpocząłem od kwestii, która najbardziej mnie nurtowała:

- Jak długo byłeś w tamtym domu?
- Dziesięć minut – odparł Isaak. – Może mniej.
- Co by się ze mną stało, gdybyś się nie pojawił?
- Skąd mogę wiedzieć? Przecież przyszedłem.
- Dlaczego? – spytałem.
- Dlaczego przyszedłem? – zdziwił się Isaak.
- Tak.
- Martwiłem się o ciebie.
- Joseph kazał ci po mnie pójść?
- On też się o ciebie martwił.
- Nie o to pytałem.
- A co chcesz usłyszeć? Jestem tu i koniec.

Zatoczyliśmy koło. Ja miałem wiele wątpliwości, ale Isaak mógł je po kolei zbijać, twierdząc, że przecież jest ze mną, i teraz nam obu grozi niebezpieczeństwo. Do paska miał przytroczony pistolet, czarny, z krótką, grubą lufą. Przestaliśmy się kłócić i skupiliśmy się na tym, co dzieje się na zewnątrz. Cisza się przedłużała i Isaak zaczął się niepokoić.

- Nie mogli tak szybko ich wszystkich wystrzelać – powiedział.

Kilka sekund później rozległ się pojedynczy wystrzał. Obaj poczuliśmy ulgę, każdy z innego powodu. Wydawało mi się, że Isaak szepnął: „Całe szczęście”, choć równie dobrze mogło to być: „Co za nieszczęście”. Tak czy owak, strzelanina, która się potem wywiązała, była dla nas dobrym znakiem.

Isaak nauczył mnie rozpoznawać, kto strzela. Wojsko rządowe używało broni automatycznej; chłopcy oddawali pojedyncze wystrzały z karabinów.

- Teraz muszą bardziej uważać – stwierdził.

Przemieszczali się ulicami i po dachach pojedynczo lub dwójkami. Czekali na dogodną okazję i oddawali jeden lub dwa strzały, po czym szybko przenosili się w inne miejsce.

- Nie są na to za młodzi? – spytałem.
- Roześmiał się.
- Jeszcze rano mieli na sobie mundury – odparł.

Wtedy zginął pierwszy z chłopców. Domyśliliśmy się tego po okrzykach żołnierzy. Wiwatowali, strzelając w powietrze i pewnie do jego martwego ciała. Podobne odgłosy się rozległy, kiedy zabili drugiego; tym razem towarzyszyło im także miarowe skandowanie. Trzeci zginął dopiero godzinę później, co zakrawało na cud, jeśli brać pod uwagę to, że wojsko ściągnięte tu niemal z całej stolicy obstawiło wszystkie ulice. Widzieliśmy niewyraźne zarysy postaci przebiegających obok domu, w którym się ukrywaliśmy. Wtedy właśnie Isaak wyjął z kabury pistolet i położył na podłodze. Walka musiała wybuchnąć na nowo. Dopóki pozostała czwórka powstańców żyła, nikt w całej okolicy nie mógł czuć się bezpieczny. Słyszeliśmy dochodzące z oddali krzyki i wystrzały, które powtarzały się co pewien czas.

– Przechesują po kolei wszystkie domy – szepnął mi do ucha Isaak.

Miałem ochotę zapytać, czy plan zakładał również taki rozwój wypadków, lecz z góry wiedziałem, co odpowie. Plan był taki, żeby rozpocząć wojnę; cokolwiek nastąpiło potem, stanowiło jej skutek.

Gdyby pozostałym czterem chłopcom nie udało się znaleźć odpowiedniego domu, z którego mogli przeprowadzić ostatni atak, nie doczekalibyśmy rana. Odgłosy wyłamywanych drzwi się zbliżały. W końcu żołnierze dotarliby do naszej kryjówki; to była tylko kwestia czasu. Wkrótce się okazało, na czym polegała taktyka rebeliantów; chodziło o to, żeby ściągnąć siły przeciwnika w jedno miejsce, a następnie spowodować jego jak największe straty.

Chłopcy z armii Josepha zaszyli się niedaleko domu, w którym byliśmy, i stamtąd rozpoczęli ostatni atak. Wszyscy jednocześnie otworzyli ogień i strzelali, aż wyczerpała im się amunicja: kilkadziesiąt pocisków, żaden nie mógł się zmarnować. Szturm, jaki potem nastąpił, z pewnością zburzył nie tylko ich kryjówkę, ale również sąsiednie budynki. Wszyscy żołnierze wysłani na akcję prowadzili ostrzał choćby po to, żeby móc się potem poszczycić udziałem w bitwie. Kiedy skończyli, w niebo biła czerwona luna, która oświetlała widoczną przez okno ulicę.

– To już koniec. Czas na nas – stwierdził Isaak.

Nie przytaknąłem ani się nie sprzeciwiłem. Cieszyłem się, że żyję; z radością przyjmowałem polecenia.

\*

Nie widzieliśmy się już ze staruszką ani jego żoną; Isaak zostawił im na podłodze trochę pieniędzy. Sądziłem, że na ulicach będzie pusto, a już kilka minut po opuszczeniu domu natknęliśmy się na grupki starszych kobiet i gangi chłopaków przechesujące pobojowisko w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby im się przydać: od łusek po duże kawałki potłuczonych szyb. Natknęliśmy się na naszpikowane kulami zwłoki mężczyzny w średnim wieku, nieostatnie zresztą, któremu ktoś już zdążył ściągnąć buty. Kobiety wywoziły taczkami trupy swych mężów i braci, żeby przygotować im należyty pochówek.

Wracaliśmy do domu Josepha bocznymi drogami, byle jak najdalej od centrum stolicy i setek patrolujących je żołnierzy. Tak długo, jak się dało, posuwaliśmy się na północ, potem skręciliśmy na zachód, przecinając dzielnicę, w której kiedyś mieszkaliśmy. Żaden z nas nie wspomniał o tym ani słowem.

Dopiero późnym popołudniem znaleźliśmy się w pobliżu domu Josepha.

– Osiem godzin – stwierdził Isaak. – Krótszej trasy nie mogłeś wymyślić.



– Bez mapy, niestety, nie – odparłem.

Byliśmy wykończeni. Mówienie sprawiało nam ból, kurz mieliśmy nie tylko na ciałach i ubraniach, ale również w gardłach. Isaak wyciągnął rękę w stronę domu, chciał coś powiedzieć, lecz uznał, że nie warto się niepotrzebnie męczyć. Nim dotarliśmy do bramy, drogę zastąpiło nam dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy wysiedli z zaparkowanego tuż obok samochodu. Isaak rozpoznał w nich ludzi Josepha i uniósł rękę, żeby im pomachać. Mężczyźni, mierząc w naszą stronę, zaczęli wrzeszczeć; nie rozumiałem słów, ale nietrudno było się domyślić, że nas ostrzegali, żebyśmy bliżej nie podchodzili. Isaak coś do nich krzyknął, a oni odpowiedzieli mu to samo, tym razem z wycelowanymi prosto w nas lufami. Dał mi znak ręką, żebym się nie ruszał, i przerzucił się z nimi przekleństwami i groźbami. Bałem się, że żołnierze zastrzelą nas i na tym się skończy. Błagałem Isaaka, żeby przestał ich prowokować, ale nie zwracał na mnie uwagi. Uniósł ręce wysoko nad głowę, żeby pokazać, że nic nie ukrywa; kiedy to nie zadziało, zdjął koszulę, potem buty i spodnie, zostając jedynie w skarpetkach i majtkach. Drażnił się z nimi, sprawdzał, czy mają odwagę go zastrzelić. A właściwie dlaczego nie mieliby tego zrobić? Tyle osób zginęło przez nas tego ranka, a my wyszliśmy z całej sytuacji bez najmniejszego draśnięcia. Jak inaczej można to naprawić?

W końcu zjawił się Joseph otoczony szczelnie wianuszkami uzbrojonych ochroniarzy; ledwo było go widać. Spodziewałem się, że po tym wszystkim co przeszliśmy – w końcu narażaliśmy się dla niego – odegra scenę serdecznego powitania i przygarnie nas z powrotem, zwłaszcza Isaaka. Lecz on tylko stanął przed bramą i skinieniem głowy nakazał strażnikom, żeby nas wpuścili.

Kiedy ich mijaliśmy, Isaak splunął im pod nogi i oświadczył, że są podlejsi od psów. Po przejściu przez bramę szybko się zorientowaliśmy, jak wiele się za nią zmieniło od poprzedniego wieczoru. Z domu usunięto wszystkie meble, z wyjątkiem jednej kanapy w salonie; ulotnił się też bez śladu panujący w nim wcześniej duch i nastrój. Na dziedzińcu, pod drzewem, na podjeździe i przy otwartych drzwiach frontowych, tłoczyli się nieznajomi przybysze. Większość miała na sobie mundury z flagą Tanzanii na ramieniu.

– Istny najazd – stwierdził Isaak. – To nasi przyjaciele z Tanzanii.

– Przyjechali w nocy? – zapytałem.

Lecz nie musiał odpowiadać. Oczywiście, że tak. Tych siedmiu chłopaków miało po prostu wywołać zamieszanie dla odwrócenia uwagi.

Joseph krzyknął na Isaaka z salonu. Słyszając jego głos, stwierdziłem, że słusznie się go bałem. Ochroniarze otaczali go nawet wtedy, kiedy wylegiwał się na kanapie, jedynym meblu w całym pomieszczeniu.

– Myślałem, że już po was – powiedział.

– Nie, jeszcze nie – odparł Isaak.

– Masz szczęście – stwierdził Joseph, zwracając się do mnie. – Jak ci poszło?

– Jak z płatką – odpowiedziałem.

Dopóki obaj kłamaliśmy, miałem wrażenie, że rozmawiamy jak równy z równym.

– Dziś wieczorem musimy stąd wyjechać – oznajmił Joseph. – To dotyczy również ciebie – dodał, wskazując na mnie.

Skinąłem głową, lecz tylko dlatego, że nie przyszło mi na myśl nic lepszego. Resztę popołudnia Joseph spędził zamknięty w salonie; Isaak i ja zajęliśmy naszą ulubioną pozycję na dziedzińcu pod drzewem.

– Wiesz, dokąd mamy jechać? – zapytałem.  
– Do rodzinnej wioski jego ojca – odparł. – Zamierza wyzwolić ją w pierwszej kolejności. Już tam na niego czekają. A potem z powrotem do stolicy.

– Jest nas za dużo.

Isaak pokręcił głową.

– Większość żołnierzy pozostanie tutaj – wyjaśnił. – Nie są stąd. Gdyby wkroczyli do wioski, jej mieszkańcy wzięliby ich za najeźdźców. A tu, w stolicy, mogą w ukryciu zaczekać na nasz powrót. Kiedy będzie po wszystkim, Joseph im zapłaci, da więcej broni i wrócą do siebie, do buszu.

– Mógłbym zostać z nimi – oświadczyłem.

– I co byś tu robił? – Isaak się zaśmiał. – Kucharza już mają.

Nie powiedział tego, żeby mnie urazić, a zresztą, kto wie, może właśnie o to mu chodziło. Niczego już nie byłem pewny.

Usiedliśmy pod drzewem. Isaak oparł się o pień i wyciągnął nogi. Brakowało mu tylko munduru i okularów przeciwsłonecznych.

– Joseph mówi ci o wszystkim – odezwałem się po chwili. Nie odpowiedział. – I jakoś nikogo to nie dziwi.

Odwrocił się do mnie plecami. Dał mi do zrozumienia, że jeszcze mogę się wycofać. Pojąłem jego intencje, lecz postanowiłem dążyć dalej.

– Znasz go od niedawna. Nie służyłeś wcześniej w wojsku. Jesteś biednym chłopakiem z jakiejś zapyziałej wioski. Nie masz nic, co mogłoby mu się przydać, a on mimo to traktuje cię jak...

Chciałem, żeby Isaak na mnie spojrział. Chciałem, żeby poczuł się zagrożony. Nim zdążyłem dobrać odpowiednie słowa, zamachnął się łokciem i złamał mi nos. Przez kilka minut okładał mnie pięścią po twarzy. Czułem ból, lecz na to nie zważałem. Nie płakałem, nie błagałem o litość. Słyszałem, jak inni mężczyźni na dziedzińcu go dopingują; byli mi bliżsi niż własne ciało. Kiedy Isaak wstał, zobaczyłem w jego rękę pistolet z pękatą lufą. Odchodząc, nie celował we mnie, lecz wiedziałem, że myślał o tym, żeby go użyć. Któryś z żołnierzy podszedł i dla zabawy kopnął mnie w plecy i w zębra. Nie przejąłem się tym w ogóle. Wreszcie, pomyślałem, ktoś szczerze wyraża swoje uczucia.

Próbowałem się dźwignąć, lecz nie dałem rady. Prawa ręka załamała się pod ciężarem ciała. Podniosłem wzrok i ujrzałem zamazaną postać Josepha stojącego w progu domu, spokojnie tłumaczącego coś Isaakowi. Kiedy skończył, ruszył w moją stronę. Nie mogłem dojrzeć, czy trzyma coś w ręku.

Kucnął przy mnie, żebym go lepiej słyszał.

– Isaak chce wiedzieć, jak się czujesz.

– Nic mi nie jest – odparłem.

– To dobrze. Wstań i się ogarnij. Za kilka godzin wyjeżdżamy. Co zrobisz potem, to twoja sprawa.

Jego ostatnim gestem współczucia było polecenie wydane strażnikowi, żeby przyniósł mi mokry ręcznik do wytarcia twarzy, i dwóm innym, żeby wnieśli mnie do domu. Tam, w równym stopniu wskutek odniesionych urazów, co z powodu wyczerpania, pragnienia i głodu, straciłem przytomność. Ocknąłem się na dobre dopiero w porze odjazdu. Nie byłem w stanie o własnych siłach wgramolić się na tył odkrytej wojskowej ciężarówki, więc mnie na nią wepchnęli. Oprócz mnie jechało nią jeszcze kilkunastu

żołnierzy; mimo ścisku udało mi się zwinąć w kącie w kłębek i zasnąć. Drzemałem i budziłem się co chwila niemal przez całą drogę, kiedy oddalaliśmy się od stolicy i zbliżaliśmy do celu – pierwszej wioski, która miała zostać oswobodzona przez Josepha.

## HELEN

Kiedy Isaak opisywał mi swoje pożegnanie z ojcem, wróciłam do łóżka. Wydawało mi się, że im więcej o sobie opowiada, tym bardziej się oddalamy, i miałam nadzieję, że gdy położę się obok niego, przekonam się, że jednak jest inaczej. Kiedy opowiadał o swych wrażeniach po przyjeździe do Kampali, mnie zaprzętała jedynie myśl, jak bezbarwne musiało mu się wydawać moje życie. Związek z Isaakiem był największą przygodą w moim dotychczasowym życiu, a wszystko sprowadzało się do tego, że spędzałam noce poza domem z mężczyzną, którego nikt nie uznałby za odpowiedniego dla mnie partnera.

Choć wcześniej zależało mi na tym, żeby się przede mną otworzył, teraz chciałam, żeby się zamknął. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale nasze milczenie wynikało nie z braku wzajemnego zrozumienia, lecz w obawie, że odsłonimy się zupełnie i przekonamy w końcu, że pozostaliśmy sobie całkiem obcy.

Dałam mu do zrozumienia, że nie mam ochoty dłużej go słuchać.

– Czuję, że wystarczy tych zwierzeń jak na jedną noc. To ponad moje siły – oświadczyłam. – Spróbujmy teraz zasnąć, tak będzie najlepiej.

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem – odparł. – Tego właśnie starałem się uniknąć.

– Nie jestem zdenerwowana. Po prostu muszę to wszystko przemyśleć.

\*

Oboje spaliśmy kiepsko tej nocy. Trudno było, leżąc w tym samym łóżku, znieść dzielącą nas niewidzialną barierę i za każdym razem, kiedy jedno próbowało się przytulić, drugie natychmiast się odsuwało, między innymi ze strachu, że to pierwsze odsunie się wcześniej.

\*

Obudziłam się tuż przed świtem. Zgarnęłam swoje rzeczy i ubrałam się w łazience. Przed wyjściem szepnęłam Isaakowi do ucha, że mam w pracy różne sprawy do załatwienia. Dopiero w samochodzie sobie uświadomiłam, że jest sobota. Wprawdzie miałam klucze do biura, ale nie uśmiechało mi się siedzieć tam w samotności. Pojechałam do restauracji Billa, jedynej knajpy otwieranej w weekendy o tak wczesnej porze. Zaparkowałam naprzeciwko i przez chwilę obserwowałam dwóch starszych panów, właścicieli podmiejskich farm. Najprzyjemniejsze wspomnienia, jakie zachowałam o ojcu, wiązały się głównie z tym miejscem; to dlatego tak często tu przyjeżdżałam. Zdawałam sobie sprawę, że raczej nie skorzystam już więcej z usług restauracji Billa, choć tylko w niewielkim stopniu wynikało to z tego, jak potraktowano tam Isaaka. Wiedziałam, że moja noga więcej w niej nie postanie, ponieważ zapamiętano mnie tam jako kobietę, która go przyprowadziła. Gdyby Isaak miał zostać w Laurel dłużej albo gdybyśmy przestali ukrywać nasz związek, ciekawe, z czym jeszcze musiałabym się pożegnać. W miasteczku tak niewielkim jak nasze przestrzeń była znacznie ograniczona; szybko można było zostać z niej wykluczonym.

Kiedy słońce weszło na dobre, postanowiłam pojechać do Davida. Bywałam u niego w domu wiele razy, lecz nigdy bez zapowiedzi, choć on sam wielokrotnie podkreślał, że wszyscy pracownicy biura mogą do niego wpadać, kiedy chcą, zwłaszcza

jeśli mają do omówienia jakąś sprawę służbową. Wątpię, żeby ktokolwiek oprócz mnie odwiedzał Davida.

Zobaczyłam go przed domem; wyszedł na werandę po poranną gazetę. Uznałam to za znak, że jednak dobrze zrobiłam, przyjeżdżając, ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że zabraknie mi odwagi, żeby zadzwonić do jego drzwi. Zauważył mój samochód z daleka i jeszcze zanim zaparkowałam, machnięciem gazety zaprosił mnie do środka.

– Nie będę pytał, co cię do mnie sprowadza – oświadczył. – Powiesz mi tyle, ile uznasz za stosowne.

Wszyscy w biurze posługiwali się podobną formułką, którą stosowali wobec swoich nowych podopiecznych. To David objaśnił nam jej zaletę.

– Daje mówiącemu poczucie, że to on panuje nad sytuacją – tłumaczył. – Sugeruje, że naszym zadaniem jest go wysłuchać, nie osądzać.

Zaprowadził mnie do kuchni; nalał dwie filiżanki kawy.

– Wyglądasz, jakbyś miała za sobą nieprzespaną noc – stwierdził.

– Rzeczywiście źle spałam. Zerwałam się skoro świt.

– Można wiedzieć, co się stało?

– Nic się nie stało. Wieczorem zjedliśmy kolację. Rozmawialiśmy.

– Pozwól, że wyrażę się inaczej. Gdybym zapytał, co się stało, powiedziałabyś?

– Tak.

– Kilka tygodni temu Denise mnie spytała, dlaczego poświęcasz tyle czasu jednemu ze swoich podopiecznych. Nie sprecyzowała, o kogo chodzi, ale to przecież oczywiste. Wszyscy unikamy nazywania rzeczy po imieniu. Denise nazywa go „jednym z podopiecznych”, ja mówię o nim „twój Dickens”. A ty najczęściej posługujesz się liczbą mnogą: „my to”, „my tamto”.

– Wolałbyś, żebyśmy używali imienia?

– Nie, wolałbym, żebyś przede mną nie udawała. Głupio się czuję, kiedy słyszę od ciebie, że wybierasz się do kogoś z wizytą albo że nie masz planów na weekend.

– Sprawiłoby ci różnicę, gdybym powiedziała, że jadę do Isaaka?

– Sam nie wiem. Może i nie. Słyszałem, że zabrałaś go na lunch do restauracji Billa. Denise i Sharon pod twoją nieobecność nie plotkowały o niczym innym. Podobno stało na tym, że masz serce na właściwym miejscu, ale nie zdajesz sobie sprawy ze znaczenia swojego postępowania. Oto na jaką nagrodę możesz liczyć ze strony życzliwych ludzi, którzy znają cię od urodzenia. Ja byłem z ciebie dumy, kiedy się o tym dowiedziałem.

– A teraz?

– A teraz mam przed oczami ciebie śpiącą w samochodzie. Myślę, że jeśli nie potrafisz się nikomu zwierzyć, nawet mnie, to masz przerąbane.

– Do tej pory się nie dowiedziałam, dlaczego mnie wtedy śledziłeś.

– Kazałem ci użyć wyobraźni.

– Ja doradziłam ci to samo.

– Wiesz, co by się stało, gdyby Denise odkryła, że masz romans z Isaakiem?

– Nie mam pojęcia.

– Czyżby? Oczywiście, że wiesz. Denise wypaplałaby Sharon, a Sharon zaraz wygadałaby się mężowi i siostrze. Widziałabyś, jak szepczą po kątach, a po kilku dniach zorientowałabyś się, że plotkują o tobie. Po tygodniu zauważyłabyś, że ludzie

w miasteczku dziwnie na ciebie patrzą. Potem spostrzegłabyś, że w sklepie czy na ulicy traktują cię jak powietrze. Na święta dostałabyś o połowę mniej kartek z życzeniami niż zwykle, a miejscowi licealiści przynajmniej raz w roku obrzucaliby twoje okna jajkami.

– Jeśli uważasz, że nic by mi nie powiedzieli, to masz rację. Nie pisnęliby ani słowa na ten temat. Uważaliby, że to nie po chrześcijańsku, że to brak dobrych manier.

– Chciałem wtedy przyłapać cię z Isaakiem z czysto egoistycznych pobudek. Rozumiesz teraz?

– Od razu się domyśliłam. Ale chciałam to od ciebie usłyszeć. Od jakiegoś czasu nurtuje mnie pytanie, dlaczego właściwie stąd nie wyjechałeś.

– Kiedy byłem chłopcem, ojciec zabierał mnie latem do babci, która mieszkała w Missisipi. W tamtych stronach uchodził za komunistę, bo nie lubił, kiedy w obecności jego syna używano słowa „czarnuch”. Oczywiście, nikt się tym nie przejmował. Brat babki zabrał mnie raz do slumsów, w których mieszkali czarni. Tłumaczył, że mój ojciec ma dziwne poglądy, a on chce mi otworzyć oczy. Przejeżdżaliśmy obok lichych domostw, w większości bud skleconych z desek. Nie wiedziałem nawet, że w naszym kraju ludzie żyją w takiej nędzy. „Tylko czarnuchy, stwierdził mój wuj, mogą tak mieszkać”. Zapytałem później ojca, dlaczego czarni stamtąd nie wyjadą. Odparł, że może nie wierzą, że to cokolwiek zmieni, a może czekają, aż świat wokół nich się zmieni, i chcą być w domu, kiedy to nastąpi. Tak składnej przemowy w jego wykonaniu nie usłyszałem nigdy więcej. Domyślałem się, że pewnie sam zadawał sobie to pytanie i tylko w ten sposób potrafił na nie odpowiedzieć. Wydaje mi się, że w moim przypadku w grę wchodzi oba powody. Wiesz co, na górze jest sypialnia dla gości. Możesz się tam zdrzemnąć, zanim zdecydujesz, kogo odwiedzić w następnej kolejności.

– A gdyby ktoś wywęszył, że tego samego dnia spałam u dwóch różnych mężczyzn?

– Będziesz w poniedziałek w pracy?

Nie miałam jeszcze żadnych planów na przyszłość, ale praca w poniedziałek wydała mi się mało prawdopodobna.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

## ISAAK

Przez kilka godzin kierowaliśmy się na zachód, potem skręciliśmy na północ. Jechaliśmy nieutwardzonymi drogami, które wiły się pośród niezamieszkanymi zielonych wzgórz i bezimiennych osad przycupniętych u ich stóp. Przyglądałem się mijanym wzniesieniom, które mieniły się różnymi barwami w jaskrawym świetle chylącego się ku zachodowi słońca. Piękna temu widokowi przydawało dodatkowo to, że tylko ja jeden zwracałem na niego uwagę. Byłem na wojnie, lecz czułem, że ona już mnie nie obchodzi. Siedziałem, a chwilami stałem pośród tuzina wojaków, którzy z rzadka zaszczykali mnie spojrzeniem, mimo że rzucało nami na pełnej wybojów, kamienistej drodze, i ciągle na siebie wpadaliśmy. Wyjąłem notatnik, który dostałem od Isaaka, i zastanawiałem się, co w nim napisać. Gdy się zorientowałem, że robię z siebie widowisko, zrezygnowałem z pisania. Naszkicowałem tylko prosty zarys ciągnących się wzdłuż drogi wzgórz, żeby utrwalić je sobie w pamięci.

Kiedy nasz konwój został zatrzymany na rogatce przed samą wsią, żołnierze zeskoczyli z ciężarówki i ustawili się w szeregach po obu jej stronach; to samo zrobili żołnierze z ciężarówki jadącej przed nami. Zostałem na skrzyni sam i podziwiałem horyzont mieniący się mocną pomarańczową barwą, jeszcze wspanialszą niż wcześniejsze odcienie czerwieni i purpury. Z mojego stanowiska dostrzegałem czubki krytych strzechą chat w wiosce: były ich setki, ustawione wzdłuż głównej drogi, a każda zdawała się płonąć.

Joseph i jego najbliżsi towarzysze, w tym Isaak, wysiedli z samochodów jako ostatni. Ubrani byli identycznie, w oliwkowozielone mundury. Oni też przedstawiali imponujący widok, nie mniej uderzający niż gasnące na naszych oczach słońce. Żołnierze trzymający straż na rogatce podszli i oddali Josephowi honory wojskowe. Jeden z nich podniósł prostą metalową barierkę ustawioną w poprzek drogi; w ten sposób miejscowość została oficjalnie zajęta czy też wyzwolona przez jego armię. To była dla niego doniosła chwila. Wykonał decydujący krok; jego ludzie stali się wojskiem z prawdziwego zdarzenia. Podobnej przemianie uległ Isaak. Był teraz ważną figurą. Złączył swój los z Josephem i nie odstępował go niemal na krok. Stał tuż za nim, a kiedy już wszyscy wysiedli z samochodów, szepnął mu coś do ucha. Nie mogłem się oprzeć i pogratulowałem mu w duchu; byłem dumny z awansu Isaaka.

Potem odbyła się defilada. Joseph poprowadził swoją armię głównym traktem biegnącym przez miasteczko. Po obu stronach ustawiła się w rzędach miejscowa ludność, odgradzona kordonami żołnierzy. Z każdym krokiem Joseph zdawał się rosnąć w siłę. Jego moc promieniowała na zewnątrz, obejmując coraz szersze kręgi, aż wreszcie, już w nieco rozproszony postaci, trafiała do entuzjastycznie wiwatującego na jego cześć, rozśpiewanego tłumu. Joseph kroczył powoli i dostojnie, obracając głowę na boki, żeby każdy z zebranych mógł z całym przekonaniem stwierdzić, że go widział. Posuwając się w takim tempie, do głównego placu dotarł dopiero po niemal godzinie. W samym środku miasteczka z ziemi sterczała odlana z brązu zaciśnięta pięść; ustawiono ją dla uczczenia pierwszej rocznicy uzyskania niepodległości.

Tam też, naprzeciwko pamiątkowej pięści, na szczycie schodów prowadzących do siedziby miejscowych władz, Joseph ogłosił początek walki o oswobodzenie ludu.

Jego przemowa w większości poświęcona była hojnie składanym, lecz niespełnionym, obietnicom oraz zbrodniom popełnionym w kraju od czasu uzyskania niepodległości. Co chwila przerywały ją brawa i owacje tak miłe dla ucha każdego demagoga, a już szczególnie początkującego. Najciekawsze słowa padły na sam koniec, kiedy Joseph opowiadał o swoim ojcu i ostatnim z nim spotkaniu.

– Był prostym, skromnym człowiekiem. Poświęcił swe życie, żeby was bronić i strzec – oświadczył. – I na jego pamięć przysięgam czynić to samo.

Kiedy skończył, przyprowadzono obalonych przywódców wioski, zakutych w kajdanki. Nosili ślady pobicia, ale poruszali się o własnych siłach. Joseph własnoręcznie rozkuł każdego z nich po kolei.

– Nasze dzieło wyzwolenia ludu zaczyna się od nich – rzekł.

Wszyscy ci mężczyźni jeszcze tego samego wieczoru zostali zabici w swoich domach.

\*

Zajęliśmy jedyny hotel w miasteczku – zapuszczony piętrowy budynek z dziedzińcem otoczonym galeriami, opatrzony prymitywnym drewnianym szyldem, na którym zblakłe, ledwo czytelne litery informowały, że jest to hotel Life. Isaak spał na pięttrze wraz z Josephem i kręgiem jego najbliższych towarzyszy; ja i pozostali żołnierze spaliliśmy na ziemi pod gołym niebem. Rankiem Isaak schodził na dół z przewieszonym przez ramię karabinem.

Przez następne trzy dni co wieczór ściągali do nas z pobliskich miejscowości coraz to nowe oddziały wojska, które wypowiedziały posłuszeństwo władzy, biorąc do niewoli wyższych oficerów albo po prostu przyłączały się do powstania. Podobnie jak Josepha i jego pułkowników, żołnierzy oddających się pod jego komendę silniejsze więzi łączyły z północną częścią kraju. Isaak towarzyszył Josephowi i jego oficerom witającym nowo przybyłych na rogatce, a drugiego dnia to on poprowadził defiladę pod siedzibę miejscowych władz. Choć przemowy nadal pozostawały w gestii Josepha, Isaaka traktowano jako jednego z oficerów dowodzących i oddawano mu należne honory. Ja zaś mogłem swobodnie włóczyć się po wiosce. Starłem się jak najlepiej wykorzystać te samotne przechadzki; zamierzałem opisać swe obserwacje zaraz po powrocie na cienisty hotelowy dziedzińiec, zanim obrazy zatrać się w pamięci. Z nikim nie rozmawiałem, przyglądałem się tylko, jak mieszkańcy coraz skrzętniej starają się ukryć swój dobytek, wszystko, co żołnierzom mogło wydać się wartościowe. Pierwszego dnia na widok mężczyzn w mundurach kobiety pośpiesznie zdejmowały srebrne bransolety i łańcuszki. Ich mężowie i bracia upychali banknoty głębiej w kieszeniach, chowając je pod warstwą monet. Po trzech dniach uroczystych przemarszów mężczyźni, którzy nie zgłosili się na ochotnika do wyzwoleniczej armii Josepha, przemykali lękliwie ulicami, pilnując, żeby ich dzieci się nie rozbiegały. Jeśli chodzi o kobiety, widywałem jedynie starsze wiekiem albo zupełne babinki, inne w ogóle się nie pokazywały. Żołnierze zajechali do miasteczka ciężarówkami załadowanymi bronią, ale bez prowiantu, i w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin pochłonęli połowę wszystkich tutejszych zapasów żywności. Gdy trzeciego dnia pewien mężczyzna odważył się zaprotestować, kiedy dwóch przybyłych poprzedniego wieczoru żołnierzy chciało zabrać mu ostatnie dwa pozostałe przy życiu kurczaki, ci zarżnęli je na jego oczach, a chałupę puścili z dymem. Byłem na dziedzińcu, kiedy wieść o tym zdarzeniu dotarła do Josepha. Kazał przyprowadzić obu winowajców;



kilka minut później stawili się przed jego obliczem, obaj z przetraconymi ramionami. Nie sądzę, żeby Joseph chciał wymierzać im dodatkową karę; byli po prostu – zresztą jak cały trzon jego armii – biednymi, niepiśmiennymi chłopcami, których z racji odbytego tygodniowego przeszkolenia i uniformu określano mianem żołnierzy. Kiedy Joseph się zastanawiał, co z nimi zrobić, stojący na galerii Isaak krzyknął:

– Jak możemy mienić się armią ludową, skoro lud się nas boi?

Podniosłem głowę i na niego spojrzałem. Każdego dnia widywałem go przelotnie to tu, to tam, lecz jak dotąd z powodzeniem opierałem się pokusie, żeby się do niego zbliżyć. Mijaliśmy się codziennie po kilka razy i jedyne, co rzucało mi się w oczy, to jego chód i postawa: kroczył sztywno, jakby poślknął kij. Dziwiłem się, że tak łatwo wczuł się w nową rolę.

Zszedł na dziedziniec, a wraz z nim dwóch młodzieńców, którzy chodzili za nim krok w krok.

– Musimy świecić przykładem – oświadczył. – Inaczej lud straci do nas zaufanie. Który z was podłożył ogień?

Nieszczęśni chłopcy spojrzeli po sobie. Miałem nadzieję, że żaden się nie przyzna, modliłem się wręcz, żeby dla własnego dobra tego nie robili. Lecz w końcu wyższy, prawdopodobnie starszy, wysunął się o krok do przodu. Isaak wyjął pistolet i strzelił mu prosto w głowę, a po chwili, kiedy dobrze przyjrzał się swemu dziełu, w ten sam sposób rozprawił się z jego współnikiem. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo zmieniła Isaaka przemoc, z którą się stykał. Starał się za wszelką cenę dowieść, że życie ludzkie to błahostka.

Odwrócił się, żebym mógł zobaczyć w jego ręku pistolet; ten sam, który nosił ze sobą w stolicy. Co najmniej dwa razy rozważał jego użycie: podczas akcji w slumsach, gdybyśmy wpadli w ręce żołnierzy, i w domu Josepha, po tym, jak mnie pobił. Kiedy zobaczyłem, jak parę kroków ode mnie przez prawą nogę zastrzelonego chłopca przebiega przedśmiertny skurcz, poczułem przyływ wdzięczności.

Isaak kazał wystawić ciała na ulicę, żeby, jak to ujął, „mieszkańcy wiedzieli, że jesteśmy tu po to, żeby ich bronić”.

Nie przypuszczałem, że w ludzkiej głowie mieści się tyle krwi. Przez resztę popołudnia przyglądałem się ogromnej kałuży wysychającej na słońcu i raz po raz powtarzałem sobie, że to nie ja jestem winny tej śmierci.

\*

Wieczorem na dziedzińcu hotelu Life Joseph urządził przyjęcie. Wcześniej hojnie wynagrodził mieszkańców miasteczka. Wezwał do hotelu każdego, kto oddał swoje mienie na rzecz ruchu wyzwolenczego, i płacił żywą gotówką za poniesione straty. Siedział na środku dziedzińca w obitym pluszem fotelu, pewnie jedynym takim meblu w całym miasteczku, a czekający na rekompensatę stali w długiej kolejce z wyciągniętymi rękami. Otrzymawszy pieniądze, kłaniali się w pas. Właściciel zarżniętych kurczaków i spalonego domostwa otrzymał kwotę dwukrotnie większą od poniesionych strat. Zeszła się pewnie połowa mieszkańców. Jednym udało się dostać na dziedziniec, pozostali błagali, żeby ich tam wpuszczono. Mniej więcej co pół godziny tłum skandował: „Mabira, Mabira”, tak jak przed trzema dniami na nasze powitanie. Spodziewałem się publicznego wystąpienia Josepha, lecz po spłaceniu ostatniego poszkodowanego zaszył się gdzieś w kącie w towarzystwie ochroniarzy i pułkowników

i przesiedział tam do przyjęcia. Dopiero kiedy mieszkańcy rozeszli się do domów, Isaak podszedł do mnie, żeby porozmawiać. Przez kilka ostatnich godzin nie odstępował Josepha, cały czas kręcił się przy nim, popijając ze słoika samogon. Był już podпиты, ale chciał się upić jeszcze bardziej.

Uszczyptał mnie w policzek i przyjrzał się najpierw mojemu prawemu, potem lewemu oku; oba były jeszcze sine, lecz opuchlizna zeszała.

– Widzę, że rany szybko się na tobie goją – stwierdził.

– Jestem odporniejszy, niż ci się wydaje – odparłem.

– Całkiem możliwe – przyznał. – I pewnie ani trochę cię nie bolało.

– Ledwo co poczułem.

Do naramienników miał przytroczone złote sznury. Pogładziłem je.

– Jesteś teraz szychą – stwierdziłem.

– Zgadza się. Tak jak połowa zebranych tu wojskowych. Dzisiaj dostaliśmy awans. Przez cały wieczór salutujemy sobie nawzajem. Chcesz zostać oficerem?

Wyciągnął z kabury pistolet.

– Widzisz tego z wąsami?

Lufą wskazał przysadzistego mężczyznę w mundurze z rzędami medali i odznaczeń na piersi.

– Jeśli go zastrzelisz, mianuję cię porucznikiem.

Na naszych oczach czterech żołnierzy odprowadziło wąsacza na stronę.

Na początku, kiedy wstał z piwem w rękę, uśmiechał się, lecz wkrótce dotarło do niego, że już nie wróci na przyjęcie. Sądziłem, że będzie się opierał; był potężnym, mocno zbudowanym mężczyzną z głową byka i szczęką buldoga, lecz służył w wojsku dość długo, żeby pojąć, że wszelki opór jest daremny i co najwyżej przysporzy mu dodatkowych cierpień. Po chwili zniknął nam z oczu. Lecz na nim się nie skończyło. Przez następną godzinę co dziesięć minut wyprowadzano pod strażą kolejnego wysokiego rangą oficera. Przy szóstym zapytałem Isaaka, czym sobie na to zasłużyli.

Wzruszył ramionami. Alkohol w końcu na niego podziałał.

– To po co się ich pozbywać?

– Za długo już są w wojsku. Co niektórzy są przekonani, że nie można im ufać.

Kiedy wyprowadzano siódmego, Isaak przeprosił mnie i powiedział, że musi coś załatwić.

Wyszedł z hotelu ze strażą przyboczną. Starał się iść prosto, ale mu się nie udawało. To było bez znaczenia, bo miał do przejścia tylko kawałek. Wkrótce po jego odejściu rozległo się siedem wystrzałów. Po chwili ciszy, kiedy przebrzmiał huk ostatniego z nich, przyjęcie rozkręciło się na dobre. Piwo i wódka lały się strumieniami. Żołnierze pili i śpiewali. Dziewięć osób straciło życie; wreszcie rozpoczęła się prawdziwa wojna.

## HELEN

Kiedy stanęłam przed drzwiami mieszkania Isaaka, spojrzałam na zegarek; od mojego wyjścia minęła niecała godzina. Ani myślałam pukać czy dzwonić; sama otworzyłam sobie drzwi. Ledwo weszłam, od razu rzucił mi się w oczy panujący w salonie nieporządek; Isaak niezbyt dokładnie posprzątał po wczorajszej kolacji. Moja pomięta serwetka, która spadła na krzesło, wciąż tam leżała. Na stole, w miejscu, gdzie stało nakrycie Henry'ego, wałały się okruchy jedzenia, a na białej terakocie widać było ciemnopomarańczową plamę. Kosz na śmieci wypełniony był niemal po brzegi resztkami kolacji, a w lodówce na środkowej półce tkwił samotnie talerz z pozostałościami głównego dania. W zlewku stały nieumyte naczynia – talerz, dwie szklanki i widelec. Uśmiechnęłam się; nie zwróciłam na nie uwagi, kiedy wczesnym rankiem wychodziłam w pośpiechu. Wprowadziłam do bałaganu, jaki kiedyś sobie wyobrażałam, jeszcze sporo brakowało, lecz to można było już uznać za dowód toczącego się tu życia – nie tylko Isaaka, ale naszego wspólnego. Obiecałam sobie, że zadzwonię po południu do Davida i powiem, że nie miał racji: „Wcale nie mamy przerąbane, a przynajmniej nie do końca”.

\*

Kiedy przyglądałam się zawartości lodówki, z sypialni wynurzył się Isaak. Usłyszałam jego kroki. Zatrzymał się pół metra za mną, lecz ja się zachowywałam, jak gdyby nigdy nic.

– Wróciłeś po kurczaka – stwierdził.

Roześmiałam się, lecz niezbyt głośno, i natychmiast zrobiłam poważną minę. Zamknęłam lodówkę i oparłam się plecami o Isaaka.

– Dzisiaj jest sobota – powiedziałam i kiedy wypowiadałam te słowa, przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Salon rozświetlały promienie słońca. Zapowiadał się piękny dzień; ciepły, lecz nie upalny.

Od chwili kiedy się obudziłam, czułam dziwny niepokój i wreszcie przyszedł mi do głowy pomysł, jak temu zaradzić.

– Wybierzemy się na wycieczkę – oświadczyłam.

– Myślałam, że masz coś pilnego do zrobienia w pracy.

– Pomyliłam się. Coś mi się ubzdurało.

Czekałam, aż nazwie rzecz po imieniu. Zwyczajnie skłamałam. Rano odeszłam od niego na dobre, tak to przynajmniej wtedy wyglądało, lecz Isaak najwyraźniej wolał udawać, że nic się nie stało.

– Jedźmy do Chicago, stolicy Środkowego Zachodu. Zawsze chciałam tam pojechać.

– Znam tylko okolice tamtejszego lotniska.

– Teraz mamy okazję to nadrobić – stwierdziłam.

Posprzeczałyśmy się o to, czy powinniśmy wyruszyć od razu. Kiedy Isaak mnie przekonywał, że lepiej odłożyć to na później, ja sporządziłam w myślach listę wszystkich spraw do załatwienia przed wyjazdem.

– Możemy po drodze robić przystanki i odpoczywać, ale musimy wyjechać natychmiast – oświadczyłam, kiedy skończył.

Tym razem się nie sprzeciwił.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał.

– Tak.

Powiedziałam, żeby zabrał jak najwięcej rzeczy i nie zostawiał niczego ważnego. Zaczął się pakować, a ja poszłam do łazienki wziąć prysznic. Po wyjściu z kabiny zauważyłam jego szczoteczkę leżącą na umywalce i włożyłam ją do ust.

– Biorę twoją szczoteczkę – zawołałam z łazienki.

Był to pozorny drobniaczek, lecz wydał mi się intymniejszy niż seks – każda para dzieli choć raz szczoteczkę do zębów. Lecz kiedy spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, dotarły do mnie wszystkie powody, dla których nigdy wcześniej się na to nie zdobyłam.

\*

Kiedy wróciłam do sypialni, zobaczyłam rozłożony na łóżku jedyny garnitur Isaaka; ten, który miał na sobie podczas naszego pierwszego spotkania na lotnisku. Na podłodze leżała ta sama walizka, którą trzymał wtedy w ręku. Zdziwiło mnie, że ma tak mało rzeczy, lecz po chwili uświadomiłam sobie, że przyjechał tu z pustą walizką: wszystkie ubrania, które teraz do niej włożył, kupiliśmy razem. Z Afryki przywiózł jedynie notes, który leżał teraz na samej górze.

\*

– Masz coś przeciwko temu, żebym założył garnitur? Kupiłem go w Nairobi, tuż przed odlotem. Nie chcę, żeby się pogniótł w tej małej walizeczce.

Podeszłam do niego. Oplotłam ramionami i wtuliłam twarz w jego plecy. Korciło mnie, żeby powiedzieć, że go kocham. Nie pierwszy raz naszała mnie taka ochota, lecz teraz miałam pewność, że naprawdę to czuję. Pchnęłam go na łóżko obok rozłożonego garnituru, zrzuciłam ręcznik, którym byłam okryta, i zaczęłam go rozbiierać.

Sięgnął po prezerwatywę, lecz złapałam go za rękę i położyłam ją sobie na plecach, dając do zrozumienia, że ma mnie objąć.

– To przez szczoteczkę do zębów? – zapytał.

– Zgadza się.

Próbował uwolnić się ode mnie przed orgazmem, ale nie pozwoliłam. Wybiegłam myślą w przyszłość: próbowałam przywołać wątpliwości i obawy, jakie będą mnie dręczyć, wyobrazić sobie żal, jaki mnie dopadnie, ale na próżno. Długo tak leżeliśmy, ja na górze, Isaak pode mną.

– Nie ma za co przeproszać – oświadczyłam, czując, że chce to zrobić.

Usmażyłam mu jajka na śniadanie, a on w tym czasie wykąpał się i włożył garnitur. Kiedy pierwszy raz go w nim zobaczyłam, o mało się nie roześmiałam. Rozbawiło mnie, że się tak wystroił na przyjazd do miasteczka, gdzie mężczyźni wkładają garnitury jedynie do kościoła i to tylko na śluby i pogrzeby. Zapomniałam już, jak bardzo mu do twarzy w szarym, a poza tym w garniturze wyglądał na nieco więcej niż swoje dwadzieścia kilka lat, co bardziej odpowiadało poważnej, uroczystej aurze, jaką czasem wokół siebie roztaczał.

– Myślałem, że nie umiesz smażyć jajek – powiedział.

– Nauczyłam się podczas twojej nieobecności.

Siedziałam na kuchennym blacie, patrząc, jak pałaszuje. Mimo woli pomyślałam o tym, jak setki razy przyglądałam się matce, która siadała obok ojca podczas śniadania. On zawsze zjadał rano dwa smażone jajka z bekonem i grzanką. Matka z niepokojem obserwowała go z boku, jakby przeczuwała, że jego ostatnie śniadanie w domu to tylko

kwestia czasu; przez całe lata przygotowywała się w duchu na ten ostatni raz, który jako taki nigdy nie miał być oficjalnie ogłoszony.

Na tym polegała kolejna różnica między mną a matką; ja wiedziałam, że koniec mojego związku jest bliski. Sama do niego dążyłam i rozkoszowałam się tym, co dane mi będzie jeszcze przeżyć z Isaakiem.

Nim wyszliśmy, upewniłam się, że spakował wszystkie rzeczy potrzebne na dłuższy wyjazd.

– Na wypadek, gdybym uprowadziła cię stąd na zawsze.

Uniósł walizkę.

– To cały mój dobytek.

\*

Nie powiedziałam mu, jaki będzie nasz następny przystanek, a on się nie dopytywał. Ominęliśmy centrum miasta, przejechaliśmy obok nowych galerii handlowych, kierując się na wschód. Tam, na skraju miasta, stał dom, w którym mieszkałam z matką. Nigdy nie zabierałam Isaaka do tej części Laurel, a zainteresowanie, z jakim przypatrywał się okazałym domostwom z szerokimi, okrągłymi werandami i rozległymi trawnikami, świadczyło o tym, że był to dla niego zupełnie nowy widok.

Stanęliśmy przed czwartą posesją przy cichej ulicy.

– To twój dom? – zapytał.

Zawsze myślałam o nim po prostu jako o budynku, w którym mieszkam; nie utożsamiałam się z nim. Nie sądzę, żeby którykolwiek z jego mieszkańców żywił do niego głębsze uczucia. Moi rodzice kupili ten dom od pierwszych właścicieli; nigdy się nie zastanawiałam, co z nim zrobię, jeśli go kiedyś odziedziczę.

– Mieszkam w nim, ale należy do mojej matki – wyjaśniłam. – Ojciec zostawił jej po rozwodzie.

Zapytałam, czy wejdzie ze mną do środka i zaczeka, aż się spakuję. Spojrzał przez szybę, jakby próbował ocenić, jakiego rodzaju przyjęcia może się spodziewać. Miałam dość rozumu, żeby nawet nie próbować sobie tego wyobrazić.

– Może po prostu zaczekam w samochodzie? Chyba że nie wypada.

I tak, i nie, pomyślałam, lecz odparłam, że może zaczekać w samochodzie, ponieważ byłam mu to winna.

\*

Drzwi wejściowe były już do połowy otwarte. Doświadczenie podpowiadało, że matka na pewno uchyliła firankę w salonie albo w sypialni, jak tylko usłyszała podjeżdżający pod dom samochód. Mimo to zaskoczył mnie jej widok tuż za progiem. Miała na sobie niebieską sukienkę w kwiatki, długą do kostek i obszerną, o której sama mówiła, że mogłaby pod nią z powodzeniem ukryć kilkoro dzieci i zapas żywności, gdyby zaszła taka potrzeba. Nie wiedziała co zrobić z rękami. A to zakładając je na piersi, a to opuszczając, patrzyła, jak wchodzę i zamykam za sobą drzwi.

– Byłam w kuchni, kiedy usłyszałam samochód – powiedziała.

– Miałam zamiar zadzwonić i uprzedzić cię, że przyjeżdżam.

– To przecież jest też twój dom, Helen. Nie musisz mnie uprzedzać o przyjeździe. Mimo że się kochałyśmy i łączyła nas zażyłość, rzadko się przytulałyśmy.

Wyrażaliśmy uczucia jak dziewczęta – ścisaliśmy sobie dłonie, niekiedy matka brała mnie za rękę. Często przyłapywałam ją na tym, że wpatruje się we mnie, czekając, aż to zauważy. Takie myśli kołatały mi się po głowie, kiedy się z nią witałam. Ujęła moją dłoń, a ja poprowadziłam ją do okna, które wychodziło na podjazd. Firanki były do połowy rozsunięte.

– To z nim spotykam się od pewnego czasu – oświadczyłam. – Ma na imię Isaak. Nie przyglądała się długo; zobaczyła Isaaka, jak tylko przyjechaliśmy, i od razu się domyśliła, co mnie z nim łączy.

– Zawsze chodzi w garniturze? – zapytała.

– Nie, zakłada go tylko na szczególne okazje.

Jęknęła cicho. Przysłoniła usta ręką, jakby w ten sposób mogła to zatuszować. Dopiero wtedy do mnie dotarło, jak matka zrozumiała wyrażenie „szczególne okazje”. Parsknęłam śmiechem nieco głośniejszym, niż wypadało.

– To nie to, co myślisz – tłumaczyłam. – Wybieramy się na wycieczkę do Chicago, nic więcej.

Kiedy to nie poskutkowało, przysięgam, że nie planujemy ani nie rozważamy żadnych innych „szczególnych okazji”. Dopiero to ją uspokoiło.

Odsunęła się od okna. Jej ręce znów zrobiły się niespokojne, palce splatały się i rozplatały gorączkowo.

– Nie wejdzie do środka?

– Zaprosiłam go, ale powiedział, że woli poczekać w samochodzie.

Zmysł, który na co dzień jej podpowiadał, co wypada, a co nie, teraz milczał; matka nie знаła żadnego zbioru reguł, które mogłaby zastosować w tej sytuacji. Pozostawienie Isaaka na dworze uważała zapewne za nietaktowne, lecz jeszcze gorsze było poczucie zagubienia, które niechybnie by ją ogarnęło, gdyby zaprosiła go do domu. Wyobrażałam sobie, jak matka z przerażeniem się zastanawia, gdzie by go posadzić i co powiedzieć, i jak ja bym się poczuła, gdyby w ogóle nie przejęła się jego wizytą.

– Chicago – powtórzyła.

– To mój pomysł. Nigdy tam nie byłam.

– Musicie tam jechać? Będę się zamartwiać, że coś wam się przydarzy.

Przyłożyła do ust prawą dłoń zaciśniętą w pięść i oddychała głęboko. Wyglądała tak, jakby chciała wzbudzić w sobie złość, by powstrzymać się od płaczu.

Podeszłam do okna i zasunęłam firanki. Nie chciałam, żeby Isaak nas zobaczył; nie wiadomo, co by sobie pomyślał. Odwróciłam się od okna i dostrzegłam jego postać na werandzie. Matka otworzyła drzwi, a ja stałam jak oniemiała.

– Zapraszam. Mam na imię Audrey – powiedziała.

Isaak niemal przez cały czas żył niczym aktor na scenie, więc nie powinno mnie dziwić to, że gdy trzeba było dać przedstawienie, z taką łatwością wcielał się w odpowiednią rolę. Próg domu mojej matki przestąpił jako uosobienie albo raczej karykatura angielskiego dżentelmena. Ukłonił się, kiedy się przedstawiał, a w jego głosie pobrzmiwał akcent, którego już dawno u niego nie słyszałam.

– Jestem Isaak. To dla mnie zaszczyt, że mogę panią poznać.

Miałam ochotę się roześmiać, lecz ją opanowałam. Nie chciałam ich urazić. Oboje wzorowo odgrywali swoje role. Czyż mogłam oczekiwać czegoś więcej? Isaak wprost nie mógł się nachwalić domu; „jest doprawdy wspaniały”, tak się wyraził. Matka uznała ten komplement za przesadny i nazwała dom „raczej późnowiktoriańskim”. Nigdy

wcześniej nie użyła tego określenia i podejrzewałam, że skłoniła ją do tego wyłącznie obecność Isaaka. Dom był późnowiktoriański mniej więcej w takim samym stopniu jak akcent przybyłego gościa. Tego rodzaju pozy mogły znaleźć pożywkę jedynie w niedługiej historii Środkowego Zachodu.

Matka zaproponowała, żebyśmy oprowadziła Isaaka, a ona w tym czasie zaparzy herbatę. Mieszkałam w tym domu od urodzenia i nigdy nie proszono mnie o taki pokaz. To tak, jakby oglądało się zdjęcia z wesela, kiedy przyjęcie weselne jeszcze trwa. Ze zdjęć i różnego rodzaju pamiątek wyzierała przeszłość, ale ponieważ nigdy nie wyjeżdżałam stąd na dłużej, raczej nie uważałam ich za cenne znaki minionych czasów.

Poprowadziłam Isaaka schodami na górę.

– Nie wiem dlaczego, ale w każdym domu w Laurel nad schodami wiszą czarno-białe fotografie.

Na samej górze znajdowały się dwa zdjęcia rodziców mojej matki, jedyne, jakie się zachowały; dziadkowie zmarli wkrótce po moim urodzeniu. Oba ujęcia zrobione były ze zbyt dużej odległości.

– Moja rodzina jest przeciwieństwem twojej. Nie sięga dalej niż dwa pokolenia wstecz – powiedziałam, wskazując na fotografie.

– To wielki dom – stwierdził. – Dopiero zaczynacie go zapełniać.

Spojrzałam na dom jego oczami. Zbudowany był dla dużej rodziny, pod jego dachem mogło mieszkać kilka pokoleń. Być może kiedyś ten zamysł się urzeczywistni, lecz ja na pewno nie będę miała w tym udziału.

Kazałam Isaakowi zejść na dół i zabrałam się do pakowania. Nie darzyłam swojego pokoju sentymentem. W ciągu ostatnich lat jego wygląd nabrał istic spartańskiej prostoty; stopniowo zrywałam z nim emocjonalne więzy, wynosząc kolejne sprzęty i pudła z fotografiami do piwnicy, aż z całego umeblowania pozostało jedynie łóżko, regał i biurko pod oknem wychodzącym na zarośnięte chwastami podwórko. Nie nosiłam się poważnie z zamiarem wyjazdu z Laurel, lecz po części się z nim rozstałam już na długo przed przybyciem Isaaka.

Spakowanie potrzebnych rzeczy zabrało mi kilka minut. Po powrocie do salonu zastałam matkę i Isaaka przy herbacie. Nie odzywali się do siebie; całą uwagę skupiali na tym, żeby, podnosząc filiżankę do ust, nie uronić ani kropli zawartości. Przedstawienie się skończyło. Pocałowałam matkę w policzek i szepnęłam, że musimy już jechać. Złapała mnie za nadgarstek i odparła również szeptem:

– Helen, proszę cię, staraj się za bardzo z nim nie afiszować, choćby dla jego dobra.

## ISAAK

Obudziłem się nad ranem i zobaczyłem stojącego nade mną Isaaka, który delikatnie trącał mnie stopą. Na dziedzińcu leżeli pokotem pijani żołnierze; wielu z nich zasnęło, tuląc do siebie puste butelki i karabiny. Nim wczorajszej nocy zmorzył mnie sen, przysłuchiwałem się, jak kilkunastu z nich spiera się o to, czy są rewolucjonistami czy wyzwolicielami. Ta kwestia podzieliła ich na dwa równe obozy, aż wreszcie któryś doszedł do wniosku, że przecież żadne prawo nie zabrania im być jednocześnie jednym i drugim. „Jesteśmy rewolucyjnymi wyzwolicielami”, stwierdził, a dla uczczenia swojego nowego tytułu pogodzeni dyskutanci stuknęli się butelkami; potem cisnęli nimi daleko za mury hotelu. Potłuczone szkło rozsypało się po drodze, którą większość dzieci i wiele kobiet chodziło boso.

Wyszedłem za Isaakiem z hotelu. Ponieważ wyruszyliśmy przed świtem, kiedy na północnym krańcu nieba majaczyło jeszcze kilka bladych gwiazd, miałem nadzieję, że Isaak uznał za stosowne zakończyć naszą przygodę z wojną trwającą w moim mniemaniu już i tak zbyt długo. Mniej więcej wiedziałem, gdzie się znajdujemy, i byłem pewny, że samochodem w ciągu kilku godzin dotarlibyśmy do granicy – mieliśmy aż trzy różne granice do wyboru – a Joseph, zbyt zajęty prowadzeniem kampanii wojennej, nie ruszyłby w pościg. Przez całe życie marzyłem o tym, żeby zamieszkać w wielkim mieście, lecz teraz pragnąłem zaszyć się wraz Isaakiem w jakiejś małej wiosce – sielskiej, zapomnianej przez świat osadzie jak te u stóp wzgórz, które mijaliśmy w drodze do miasteczka – nad rzeką, lub jeszcze lepiej w pobliżu wodospadu, żebyśmy mogli słuchać szumu wody. Tyle było na całym kontynencie ogromnej, niezagospodarowanej przestrzeni, że mogłoby nam się to udać; nie miałem powodu, żeby myśleć inaczej. Musieliśmy tylko znaleźć jeden z takich zakątków, gdzie granice nie mają znaczenia.

Sądziłem, że wiem, jak przekonać Isaaka do pomysłu ucieczki. Chciałem mu wytłumaczyć, że przecież nie o takiej walce marzył i że jeszcze wielu innych rzeczy możemy w życiu dokonać, lecz najpierw musimy się stąd wydostać, dopóki to jeszcze możliwe. Zawołałem na niego szeptem, lecz on zamiast się do mnie odwrócić, podniósł tylko rękę i szedł dalej.

Czułem niepokój, ale się nie bałem. Napawałem się ciszą panującą o tak wczesnej porze dnia. W niektórych domach widać było oznaki budzącego się życia, dające złudzenie, że wszystko potoczy się zwyczajnym rytmem: parzenie herbaty, pieczenie chleba. Mężczyźni pójdą do pracy w polu, kobiety przyniosą wodę i wyprawiają dzieci do szkoły, a kiedy słońce stanie w zenicie, wszyscy schowają się w domach, żeby przeczekać upał.

Szliśmy w milczeniu, słuchając, jak pieją ostatnie ocalałe koguty, aż dotarliśmy do pamiątkowej pięści z brązu, przy której kilka dni wcześniej Joseph wygłosił przemówienie.

– Musimy chwilę zaczekać – oznajmił Isaak, odwracając się do mnie.

– Na co?

Wymownym gestem uciął dalsze pytania.

\*

Słońce już weszło, kiedy wąską ścieżką prowadzącą do głównej drogi nadeszli mężczyzna i chłopiec, a za nimi para osłów.



– Tutaj się pożegnamy – oświadczył Isaak.

Przyjrzałem się przybyszom. Widać było, że to ojciec i syn; obaj mieli takie same szerokie, cofnięte czoła. U chłopca raziło ono wielkością, lecz mężczyźnie nadawało niemal kobiecą łagodność.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytałem Isaaka.

– Dziś wieczorem wyruszamy – odparł. – Joseph zamierza wyzwolić inne wioski.

– A co ze mną?

Wyciągnął rękę w stronę mężczyzny, który nachylał się nad osłem, jakby szeptał mu coś ważnego do ucha.

– Ten człowiek zaprowadzi cię w bezpieczne miejsce – oświadczył. – Posiedzisz tam trochę, odpoczniesz. A jak nabierzesz sił, pójdiesz na wschód. Tam podobno jest spokojnie. Tutaj nie wracaj, choćby nie wiem co. Południe też odradzam; słyszałem, że coś się tam dzieje.

– A północ?

– Odpada. Tam jest jeszcze gorzej.

– A ty co zamierzasz?

Isaak objął mnie ramieniem. Wyciągnął przed siebie rękę i nakreślił wyimaginowaną linię biegnącą wzdłuż horyzontu.

– Więc nic innego mi nie pozostało?

Chcieliśmy sobie jeszcze tyle powiedzieć – tyle było zaległych przeprosin i aktów przebaczenia – lecz mimo wczesnej pory mieszkańcy zaczynali się już krzątać przed chałupami. Poczuliśmy zapach rozpalanych w ogrodach ognisk, usłyszeliśmy głosy na ulicy. Joseph już na pewno się obudził.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytałem.

– Joseph mówi, że to potrwa najwyżej dwa dni. Nie spodziewa się oporu.

Popełniłem błąd, zadając to pytanie. Wzmianka o wojnie go odmieniła.

Przywróciła mu wcześniejszą wojskową szorstkość.

– Dostyc tego, kończmy już – zdecydował, wyciągając rękę na pożegnanie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, potem Isaak wyjął z kieszeni zwitek banknotów i wręczył go mężczyźnie. Rozmawiali przez chwilę i Isaak poklepał go po głowie. Na odchodne powiedział:

– Jeden osioł jest twój; kto wie, może ci się przyda.

\*

Isaak odszedł na południe, w stronę hotelu, a ja ruszyłem na zachód, tą samą ścieżką, którą przywędrowali moi przewodnicy. Jedną z osobliwości życia na wsi jest skwapliwość, z jaką przyroda upomina się o swoje utracone obszary, jakby istnienie osad ludzkich stanowiło właściwie tylko drobne zakłócenia w świecie rządonym przez dziką naturę. Już po kilku minutach przestały do nas docierać wszelkie odgłosy świadczące o bliskości miasteczka, słyszeliśmy jedynie ptaki, a ścieżka, którą szliśmy, po niecałym kilometrze niemal ginęła wśród zarośli. Po godzinie z okładem dotarliśmy do polany, na której stało blisko siebie kilkanaście chat krytych strzechą. Każda otoczona była niskim drewnianym płotkiem tworzącym kojec dla kur, a pod nieobecność dorosłych również dla dzieci. Oto miałem przed sobą wymarzony sielski zakątek, choć tak naprawdę było to tylko złudzenie uchodźcy rozpaczliwie pragnącego schronić się przed światem. Niemniej postanowiłem podtrzymać je w sobie tak długo, jak się da. Wiedziałem, że wcześniej

czy później i tak się rozwieje. Nawet gdyby w pobliżu nie toczyła się żadna wojna, to po dłuższym pobycie dostrzegłbym tu takie same utrapienia i bolączki, jakie widywałem wcześniej w stolicy i w moich rodzinnych stronach. Ale czasu było niewiele: wieczorem Joseph wraz ze swoją armią miał przypuścić atak na sąsiednią wioskę. Jeśli zwyciężą, to za kilka dni powrócą; jeśli zostaną rozgromieni, armia rządowa przybędzie wykończyć niedobitków ukrywających się w hotelu. Tak czy inaczej, niebawem nikt w okolicy nie będzie mógł się czuć bezpiecznie.

\*

W ciągu trzech dni, które spędziłem w tej odciętej od świata osadzie, przekonałem się, jaką przyjemność daje poczucie anonimowości. Jej czterdziestu pięciu stałych mieszkańców wiedziało o mnie tylko tyle, że się ukrywam i mam dość pieniędzy, żeby utrzymać swoje miejsce pobytu w tajemnicy. Mężczyźnie prowadzącemu mnie do wioski i jego synowi wyjawiałem prawdziwe imię; to otrzymane tuż po narodzinach. Obaj mieli uciechę, starając się je wymówić – każdy z nich przekręcał je na swój sposób. Zналиśmy tylko kilka wspólnych słów, więc milczenie nam nie ciążyło, a ja z rozkoszą oddałem się rozmyślaniam. Nim doszliśmy do polany, moje imię uległo przemianie. Stałem się Danielem jak biblijny prorok znany tutejszym wyznawcom chrześcijaństwa. Z przyjemnością słuchałem, jak wypowiadają to imię dzieciaki w osadzie; w ich ustach brzmiało niemal jak pieśń. To one najczęściej się do mnie odzywały. Pierwszego dnia nie spuszczały mnie z oczu. Ich zainteresowanie zdawało się niewyczerpane i wystarczyło, żebym się poruszył, a już wołały z niezmienną radością: „Cześć, Daniel!”, „W porządku, Daniel!”.

Zająłem chatę tuż obok tej, w której mieszkał mój przewodnik z synem i znacznie starszą kobietą, matką albo babką, jak się domyślałem. Osada ta tym różniła się od innych, że to kobiety stanowiły tu wyraźną mniejszość. Co więcej, ta garstka, która się uchowała, osiągnęła już, można by powiedzieć, jesień życia. Z kolei dzieci waleśało się tutaj całkiem sporo, zarówno chłopców jak i dziewczynek, więc niedobór kobiet musiał być zjawiskiem stosunkowo nowym. Mogłem się domyślać, jaki los spotkał młodsze mieszkanki osady, lecz nie zamierzałem w to wnikać. Pragnąłem nade wszystko spokoju, a tutaj go znalazłem.

Pierwszej nocy nie dawała mi spać myśl o Isaaku wyruszającym na wojnę. Na początku się modliłem, żeby wrócił cały i zdrowy, lecz stwierdziłem, że to by mnie nie zadowoliło; żeby on odniósł zwycięstwo, ktoś inny musiał ponieść porażkę, i odwrotnie. Nim zapadłem w sen, wymyśliłem prostą, uniwersalną modlitwę, niezależną od wyznania czy sprawy, o którą się walczy: „Zmiłuj się nad nimi wszystkimi”.

## HELEN

Matka pomachała nam na pożegnanie, drugą ręką przytrzymując drzwi. Stała na werandzie i patrzyła, jak wsiadamy do samochodu. Wyjechałam na ulicę, a ona wciąż nie ruszała się z miejsca. Byłam pewna, że będzie tam sterczeć, dopóki nie straci nas z oczu; dopiero wtedy usiądzie na wiklinowym krześle w rogu werandy albo na bujanym fotelu ustawionym na samym środku. Czy wybierze krzesło, czy fotel, będzie tam siedziała godzinę albo i dłużej. Taki miała zwyczaj. Rzadko przyjmowaliśmy gości, a kiedy już się zjawiali, matka na koniec odprowadzała ich do samochodu i patrzyła, jak odjeżdżają, a potem czekała na werandzie, jakby nie miała pewności, czy nie wrócą, albo po prostu nie chciała wchodzić do domu bez nich. Kiedy obejrzałam się i zobaczyłam ją na posterunku, domyśliłam się, że tym razem zostanie tam jeszcze dłużej niż zwykle; będzie się zastanawiać, czy na dobre mnie straciła, a jeśli tak, to jak długo wytrzyma sama w pustym domu.

\*

Bałam się, że Isaak źle odczyta moje milczenie, lecz kiedy spojrzałam na niego, też wydawał się nieobecny; wpatrywał się obojętnie w mijane pola soi. Kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, zapytał, czy mojej matce nie jest ciężko w tak wielkim domu. Chodziło mu o to, że była samotna, mimo że nie powiedział tego wprost; nie użył też określenia „wielki” w odniesieniu do domu. Dom z wielką liczbą pokoi, tak się wyraził, jakby istotna była nie powierzchnia, lecz sposób podzielenia przestrzeni. Nie słuchałam wtedy dość uważnie, żeby wychwycić ten niuans, lecz się domyślałam, że celowo dobrał takie właśnie słowa.

Prosta odpowiedź na to pytanie brzmiała: „Jest”, lecz ja niechętnie to przyznawałam. Samotność doskwierała matce na wiele różnych sposobów; jako córka znałam jej strapienia i starałam się zaradzić im na odległość.

– Dlaczego miałyby być ciężko? Jest jej w nim wygodnie, ma wszystko, czego potrzeba, poza tym ja też tam mieszkam.

Wygoda nie miała tu nic do rzeczy, a twierdzenie, że z nią mieszkam, było trochę na wyrost, o czym Isaak doskonale wiedział.

– Masz rację. Niepotrzebnie pytałem.

\*

Kiedy zbliżaliśmy się do centrum miasta, oznajmiłam Isaakowi, że chcę odwiedzić starszą panią, którą opiekuję się od dłuższego czasu. Pomyślałam o Rose w chwili, gdy postanowiłam, że pojedziemy do Chicago, lecz zamiar złożenie jej wizyty zrodził się znacznie później. Rose, tak jak moja matka, mieszkała samotnie, lecz była starsza i miała o wiele bardziej ograniczoną przestrzeń życiową. Od naszej ostatniej rozmowy minął miesiąc, ale nie widziałyśmy się znacznie dłużej.

– Tym razem możesz nie wychodzić z samochodu – powiedziałam. – To nie zajmie dużo czasu. Staruszka czuje się nieswojo w obecności obcych.

Spodziewałam się, że zastanę Rose w salonie, na kanapie, z wdziękiem przeglądającą stare fotografie. Powie, że u niej wszystko w porządku, że nic jej nie dolega, a ja oświadczę, że wybieram się z ukochanym mężczyzną do Chicago i na jej cześć zatrzymamy się w hotelu Knickerbocker; może w tym samym pokoju, w którym

kiedyś mieszkał Al Capone.

\*

David mówił mi już dawno temu, żebym oddzielała życie osobiste od życia swych podopiecznych. „Jeśli wszystko ci się wali, powiedział, nie łudź się, że możesz to naprawić, ratując życie innym. A zarazem, kiedy jesteś szczęśliwa, okazuj to. W tej pracy cierpiętnictwo nie jest wymagane”.

Na drzwiach swojego gabinetu przykleił kartkę z pytaniem: „Dlaczego nam/im\* się wydaje, że możemy ich uratować?”.

A pod spodem dopisek: \*„Właściwe podkreślić (w zależności od nastroju)”.

\*

Moje życie co prawda się nie waliło, lecz dobiegał końca bardzo ważny jego etap i chciałam, żeby to Rose, z jej starymi fotografiami i opowieściami, pokazała mi w możliwie jak najjaśniejszych barwach, jak będę go widziała z perspektywy czasu – za dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat.

\*

Jak tylko wjechałam w ulicę, przy której mieszkała Rose, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Od mniej więcej dwóch lat, w miarę jak w śródmieściu upadały kolejne działające od pokoleń sklepy, okolica stopniowo pustoszała. W sklepach tych albo w innych placówkach zależnych od ich właścicieli znajdowały zatrudnienie mieszkające w sąsiedztwie rodziny, które boleśnie odczuły utratę miejsc pracy. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam Rose, zauważyłam trzy tabliczki „Na sprzedaż” ustawione na okolicznych trawnikach, a teraz już z daleka dostrzegłam czwartą – przed jej domem. Mimo to nie zawróciłam. Istniała nikła szansa, że ją zastanę; żeby w to uwierzyć, wykręcałam się jak mogłam od odpowiedzi na narzucające się pytanie: Dokąd może trafić osiemdziesięcioletnia staruszka bez bliskiej rodziny, kiedy jej dom zostanie sprzedany?

\*

Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy, choć przed domem Rose nie stały żadne samochody. Cały budynek zmieściłby się z powodzeniem na parterze domu mojej matki. Niski i wąski, miał solidną konstrukcję i ściany w jaskrawych kolorach. Okna po bokach drzwi wejściowych były zabite deskami; wyglądało to tak, jakby dom został oślepiiony. Trudno było sobie wyobrazić, że jeszcze niedawno ktoś w nim mieszkał albo że wkrótce wprowadzi się do niego nowy lokator.

– To tu chciałaś przyjechać? – zapytał Isaak.

Nie odpowiedziałam wprost.

– Tu mieszkała kobieta, którą się opiekowałam.

Obawiałam się, że to, jak prezentuje się dom, jest odbiciem mojego stanu.

– A gdzie ona teraz jest?

– To była staruszka po osiemdziesiątce – odparłam. – To właśnie ona podsunęła mi pomysł, żeby wybrać się do Chicago.

Nie odjechałam od razu. Moja troskliwość wydała mi się podszyta fałszem i nie chodziło tylko o Rose. David wiedział o zamknięciu jej kartoteki, lecz postanowił nic mi o tym nie mówić. Wynikało to po części z umowy, którą zawarliśmy niemal rok temu.

Dopóki opiekowałam się Isaakiem, byłam zwolniona z wizyt w szpitalach i udziału w pogrzebach.

\*

Isaak złapał mnie za rękę i położył ją na dźwigni skrzyni biegów. Najwyraźniej uznał, że jestem pogrążona w żalu.

– Myślę, że w tej sytuacji tym bardziej powinniśmy wybrać się do Chicago – stwierdził.

## ISAAC

Czwartego dnia do wioski przybył długi pochód wlokących się znużonych i rannych uchodźców. Wkroczył na polanę tuż po świcie, wyłaniając się ze ścieżki na wschodnim skraju osady. Liczył ponad sto osób, z czego co najmniej połowę stanowiły dzieci, a jeśli chodzi o pozostałych, to z mojego stanowiska za ogrodzeniem widziałem, że wiele z nich, kobiety i mężczyźni, porusza się z trudem z powodu doznanych obrażeń. Mieszkańcy wioski wylegli przed chaty, wśród nich był mój przewodnik z synem. Mężczyzna przyciskał do piersi karabin, a chłopiec ciągnął za sobą kilof. Na mój widok wypuścił go z rąk, żeby do mnie pomachać, i zawołał: „W porządku, Daniel!”. Ojciec odwrócił się i złapał go za szyję, lecz było już za późno. Słowa podchwyciło z tuzin innych stojących przed chatami dzieciaków, które również zaczęły wymachiwać rękami i krzyżeć: „Cześć, Daniel!” albo „W porządku, Daniel!”. Uprzytomniło mi to osobliwy status, jaki miałem w wiosce – byłem obcym nie mile widzianym, a po prostu tolerowanym. To całkiem wygodna pozycja; jakbym siedział na wysokiej grzędzie. Poprzedniego wieczoru, kiedy po raz czwarty czy piąty próbowałem zapisać najogólniejsze spostrzeżenia poczynione tego dnia, zrozumiałem wreszcie, dlaczego ojciec nadał mi przydomek Ptaszek: nic nie sprawiało mi większej przyjemności niż spoglądanie z góry na toczące się życie, a w tej osadzie nie miałem nic innego do roboty. Poprzedniego dnia rano przyglądałem się starym kobietom rozcierającym ziarna kukurydzy, podczas gdy dzieciaki ryły w ziemi w poszukiwaniu mrówek i chrząszczy, a mężczyźni wychodzili do pracy na pole albo do miasteczka. Lecz tego ranka, kiedy dzieci witały się ze mną, drąc się na całe gardło, słyszałem, jak urojona wygodna grzęda, na której siedziałem, pęka z traskiem.

Przez chwilę znalazłem się w centrum uwagi mężczyzny, który przyprowadził mnie do wioski, oraz jego pobratymców stojących przed chatami. Wszyscy byli uzbrojeni – część miała karabiny, pozostali maczety, siekiery i motyki – i mogłem się założyć, że gdy tak na mnie patrzyli, każdemu z nich przeszło przez myśl podobne pytanie: Dlaczego pozwoliliśmy temu człowiekowi zostać u nas tak długo?

Pomachałem chłopcu i jego ojcu. Zignorowali mnie. Ich uwagę, podobnie jak pozostałych mieszkańców, bez reszty pochłonęli nowi przybysze. Stanowili zagrożenie – byli obcy i zdesperowani, a przez to dwakroć bardziej groźni – lecz kwestia, co z nimi począć, pozostawała otwarta przynajmniej jeszcze przez kilka minut.

W końcu ojciec chłopca, mój przewodnik, wyszedł przed ogrodzenie. Oznaczało to, że decyzja zapadła. Wszyscy pozostali mężczyźni dołączyli do niego. Wspólnie tworzyli linię obrony liczącą dwudziestu chłopca, przez którą nikt nie zdołałby się przedrzeć, choćby był nie wiem jak zdesperowany.

\*

Mogliby trwać na swych pozycjach, czekając, aż uchodźcy wycofają się do lasu; mogliby też ich odstraszyć, oddając salwę w ich kierunku. Lecz ani jedno, ani drugie nie rozwiązałyby problemu; istniało ryzyko, że odpędzeni powrócą, jeśli nie tego wieczoru to następnego. Isaak się mylił; niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie i z każdą godziną narastało. Kaci i ich ofiary istnieli również z dala od pól bitewnych.

Mężczyźni z wioski znali się na rzeczy. Musieli mieć ustalony plan obrony, a może podobną akcję przeprowadzili już wcześniej. Po krótkiej naradzie posiadacze

broni palnej wystrzelili w tłum uchodźców. Nie celowali do nikogo w szczególności. Zamierzali zabić wszystkich, więc nie miało znaczenia, kto zginie pierwszy.

Ci spośród przybyszów, którzy byli w stanie biec, rzucili się do ucieczki, nie oglądając się za siebie. Dostrzegłem może z tuzin kobiet i dzieci kryjących się w lesie. Inni po prostu stali albo siadali na ziemi, niektórzy kładli się na ciała zastrzelonych i czekali na śmierć. Kilku mężczyzn zdecydowało się dobyć noży i ruszyć do ataku. Od razu zostali ostrzelani, lecz pociski zamiast w nich trafiły w dwie stojące z tyłu kobiety. Gdyby atakujący trzymali się razem, mieliby większe szanse, lecz walcząc w pojedynkę, szybko zostali osaczeni i powaleni uderzeniami toporów i motyk.

W dobijaniu rannych leżących na skraju lasu brali udział wszyscy mężczyźni z wioski. Zadawali im mocne ciosy w głowę. Po sposobie, w jaki posługiwali się narzędziami, widać było, że są rolnikami. Kiedy skończyli, ustawili się jeden za drugim i pomaszerowali do lasu. Zabiją każdego, kogo napotkają, a resztę zostawią na pastwę losu. Nie zamierzałem czekać na ich powrót. Kobiety i dzieci wlokły trupy do lasu, a ja w tym czasie usiłowałem utrwalić na piśmie to, czego właśnie byłem świadkiem. Myślałem o tym, żeby policzyć zabitych, lecz to okazało się niewykonalne. Potem próbowałem opisać wygląd jednego z trupów, ale widziałem jedynie śmierć – nie twarz, nie oczy, ale ziejącą pustkę, której nie miałem odwagi bliżej się przyjrzeć. Kiedy więc i to mi się nie udało, zwróciłem uwagę na kobietę ciągnącą po trawie zwłoki starca, lecz zanim przyszły mi do głowy odpowiednie słowa, zniknęła mi z oczu, a po chwili wróciła już sama. W tym czasie pobojuwisko zostało niemal całkowicie uprzątnięte. Trupy ukryto w gęstwinie drzew; las wchłonie szczątki, nim ktokolwiek się zainteresuje i zacznie poszukiwania. Nie znałem imion tych ludzi, nie znałem nawet nazwy osady zbyt małej, by znalazła się na mapie. W tej sytuacji tylko jedno przyszło mi do głowy. Poczekalem na moment, gdy nikt nie zwracał na mnie uwagi, i wymknąłem się stamtąd. Wracając do rodzinnego miasteczka Josepha, sporządziłem mapkę przebytej trasy. Zaznaczyłem na niej każdy zakręt i rozwidlenie drogi, uzupełniłem je szkicami dawno porzuconych domostw ledwo widocznych z drogi. Dalekie to było od poezji, nie dorównywało pamiętnikowi, a jako świadectwo nie miało żadnej wartości.

## HELEN

Pamiętam z dzieciństwa jedną z nielicznych moich wspólnych zabaw z ojcem. Polegała na tym, że, pędząc samochodem przez miasto, udawaliśmy, że jesteśmy parą ściganych bandytów. Pytał mnie, czy słyszę wycie policyjnych syren, a gdy odpowiadałam, że tak, kazał mi zapiąć pas, ponieważ będziemy jechali tak szybko, że nikt nas nie dogoni. Kiedy ruszyliśmy spod domu Rose, przepełniała mnie wdzięczność za to miłe wspomnienie, któremu mogłam się teraz oddać. Nic nie mówiąc, bawiłam się w duchu jak za dawnych lat z ojcem: przed dwoma skrzyżowaniami zatrzymałam się tylko na chwilę, po czym przejechałam na czerwonym świetle, a na trzecie wjechałam na żółtym, choć dobrze wiedziałam, że nie zdążę na czas go opuścić. Gdy minęliśmy granice miasta, zatrzymałam się zaraz za tablicą z napisem, który nie zmienił się od czasu, kiedy miałam dziesięć lat: „Laurel, rok założenia 1872. Liczba mieszkańców 15 752”.

\*

Zapytałam Isaaka, czy chce po raz ostatni spojrzeć na miasto.

– Odwróć się i naciesz jego widokiem – powiedziałam. – Kto wie, kiedy znów je zobaczysz.

Po obu stronach drogi ciągnęły się świeżo uprzątnięte pola kukurydzy, a kilkaset metrów przed nami wznosił się srebrzysty silos. Na szosie nie było nikogo oprócz nas. Uwielbiałam wiejskie krajobrazy Środkowego Zachodu właśnie za tę pustkę.

Isaak posłuchał mojej rady. Odwrócił się i spojrzał na krajobraz za nami, właściwie niczym nieróżniący się od tego, co mieliśmy przed sobą. Kiedy już się napatrzył, ruszyliśmy dalej. Nie zdawał sobie sprawy, że wyjeżdża stąd na zawsze, więc odprawiłam w jego imieniu cichą ceremonię pożegnalną. Pożegnałam jego mieszkanie i pozostawione w nim książki, bibliotekę uniwersytecką, kupione wspólnie meble i wreszcie wszystkie miejsca, w których razem bywaliśmy, jakie tylko mogłam sobie przypomnieć: od urzędu pocztowego po sklep spożywczy i nieszczęsną restaurację Billa. Pożegnałam też w jego imieniu Davida, z którym nigdy się nie spotkał, i kartotekę, do której nigdy nie miał wglądu, a na koniec wszystkie dzielnice miasteczka, te znane mu i te zupełnie nieznane.

Skończyłam akurat wtedy, gdy dojeżdżaliśmy do autostrady. Nie było mi wcale do płaczu, jednak w pewnym momencie poczułam, że wilgotnieją mi oczy. Isaak dostrzegł łzy spływające mi po policzkach i otarł je kciukiem.

– Co się dzieje? – zapytał.

Wiedziałam dobrze, co chciałam mu powiedzieć: „Rozstaję się z tobą, powoli, po kawałku, tylko w ten sposób może jakoś to przeżyć”. Zamiast tego powiedziałam, że żal mi Rose.

\*

Kiedy wjechaliśmy na autostradę, poprosiłam Isaaka, żeby wyjął ze schowka atlas samochodowy i ustalił trasę. Położył sobie atlas na kolanach i zaczął go studiować. Stwierdził, że musimy kierować się na wschód, dokładnie tak, jak to sugerują znaki. Z rozbawieniem odczytywał z mapy nazwy amerykańskich miejscowości: Cairo, Athens, Paris, Rome.

– Co za kraj – stwierdził. – Czego wy tu nie macie?



Nie mieliśmy na przykład publicznych miejsc, gdzie taka para jak my mogłaby się zatrzymać i odpocząć, nie narażając się na nieprzyjazne spojrzenia. Kiedy jedliśmy lunch w restauracji przy autostradzie, mężczyźni popijający samotnie kawę przy stolikach nie spuszczaali z nas wzroku pełnego wrogości. Nim weszliśmy, siedzieli ślepi i głusi na otaczający ich świat, lecz z chwilą kiedy nas dostrzegli, każdy co do jednego gapił się na nas ponuro spod ronda kapelusza. Żaden się nie odezwał. Kelnerka, która była niemal w wieku mojej matki, zwracała się do nas z zawodową uprzejmością per „skarbie” i „kotku”. Isaak i ja zaczęliśmy się do siebie odnosić inaczej; może nie ozięble czy oschle, jak podczas tego okropnego lunchu u Billa, lecz tak, jakby rozdzielała nas niewidzialna, ale jak najbardziej rzeczywista bariera – nie wysoki, całkowicie odgradzający nas mur, ale raczej sięgający ramion płót umożliwiający kontakt wzrokowy i prowadzenie rozmowy. Staraliśmy się tym nie przejmować. Nie trzymaliśmy się za ręce, nie dotykaliśmy się, lecz przez cały ten czas, kiedy jedliśmy lunch i piliśmy kawę, ani na chwilę nie odrywaliśmy od siebie wzroku. W pewnej chwili, po dłuższym milczeniu, Isaak zaproponował: „Na trzy wybuchamy śmiechem”. Kiedy doliczył do trzech, zaczęliśmy chichotać: chichot, z początku nieśmiały, przerodził się w śmiech, który sprawiał nam autentyczną przyjemność. Wychodziliśmy z knajpy w nie najgorszym stanie ducha.

Zanim wjechałam z powrotem na autostradę, przyjrzałam się mapie. Początkowo miałam zamiar jechać prosto, a dopiero później odbić na północ, lecz uznałam, że lepiej będzie, gdy jak najszybciej opuścimy południową część stanu. Nie informując Isaaka, postanowiłam ruszyć na północ, a później skrócić na wschód.

– Chicago – powiedziałam.

Wyobraziłam sobie Isaaka i siebie w hotelu Knickerbocke, w towarzystwie ducha Ala Capone. My też byliśmy wyjęci spod prawa.

\*

Dotarliśmy do Chicago jeszcze przed zmrokiem. Droga wiodła wzdłuż linii brzegowej jeziora. Chciałam dojechać do hotelu Knickerbocker, ale nie znałam drogi.

– To niesprawiedliwe – odezwał się Isaak.

– Co takiego?

Wskazał jezioro za szybą.

– Macie ocean w środku kraju.

– To nie ocean.

– Wiem – odparł. – To, co dla was jest jeziorem, dla mnie jest oceanem. To, co dla was jest dżunglą, dla mnie jest lasem. Ameryka to świat, a nie kraj.

Od chwili kiedy na horyzoncie ukazało się Chicago, musiałam jechać znacznie wolniej. Nigdy nie byłam w mieście podobnej wielkości; nigdy nie widziałam tylu samochodów naraz. Na myśl o tym, ilu ludzi w nich jest, poczułam niepokój. Miałam wrażenie, że wjeżdżamy do ogromnej paszczy żywej istoty niczym zębiskami połyskującej białymi wieżyczkami na szczytach budynków.

Za każdym razem, kiedy zatrzymywaliśmy się na światłach, patrzyłam na Isaaka. Wyglądał na urzeczonego, tak jak się spodziewałam.

Wskazał najwyższy budynek przed nami.

– To musi być Hancock Center.

Pogłaskał mnie po przedramieniu. Odebrałam ten gest jako dowód na to, że nie

domyśla się, co zamierzam zrobić.  
– Będzie cudownie – orzekł.

## ISAAK

Wracając do rodzinnej wioski Josepha, nikogo po drodze nie spotkałem. Spodziewałem się nowych uchodźców, żołnierzy, jakichś oznak toczącej się w pobliżu wojny, lecz ścieżka była pusta, tak jak wtedy, kiedy szedłem nią po raz pierwszy. Kiedy dotarłem do rzędu domów wyznaczających zachodni skraj miasteczka, usłyszałem nadjeżdżające ciężarówki. Jeśli Isaak przeżył, to pewnie jechał którąś z nich. Zależało mi na tym, żeby się z nim spotkać, więc przyspieszyłem kroku, starając się nie sprawiać wrażenia, jakbym przed czymś uciekał. Kiedy doszedłem do głównej drogi, zobaczyłem trzy ciężarówki stojące między rzeźbą z brązu a hotelem. Na skrzyniach pierwszych dwóch siedzieli ciasno stłoczeni żołnierze. Tym razem tłumy nie wiwatowały na powitanie. Słyszac nadjeżdżające wozy, wszyscy mieszkańcy pochowali się w domach. Strach to w istocie jedyna wiedza będąca udziałem ogółu, a w tym przypadku wszyscy zareagowali tak samo.

Żołnierze niemrawo gramolili się z ciężarówek; tylko ja im się przyglądałem. Ci, którzy zeszli jako pierwsi, wyglądali na wyczerpanych; po zeskoczeniu na ziemię z trudem chwyтали równowagę, szli powolnym, niepewnym krokiem, lecz przynajmniej jako tako poruszali się o własnych siłach. Nie można było tego powiedzieć o pozostałych. Każdą kolejną grupę wysiadających stanowili żołnierze w coraz gorszym stanie. Pierwsi mieli lekkie obrażenia, widoczne rany cięte na ramionach i piersiach; następni odnieśli poważne urazy kończyn, ręce zwisały im na temblakach, uda były spowite w bandażę. Na koniec przysłała kolej na ledwo żywych, tych, którzy nawet jeśli się wylizają z ran, przez resztę życia będą cierpieć; ich trzeba było wynosić.

Trzecia ciężarówka stała na skraju drogi pod drzewem. Nie siedział na niej ani jeden żołnierz, lecz przez szpary w skrzyni zdołałem dojrzeć rękę, kępkę włosów, buty, skrawki spodni i koszuli w barwach maskujących. Nad ciężarówką unosiły się roje much; można się było spodziewać, że niebawem zlecą się też sępy, usiądą na drzewie i cierpliwie będą czekać na rozwój wypadków. Wypatrywałem Isaaka pośród żywych – najpierw wśród zdrowych, a potem wśród rannych. Nigdzie go nie dostrzegłem; stwierdziłem, że jeśli leży gdzieś między trupami na ostatniej ciężarówce, to ja nie chcę nic o tym wiedzieć. Gotów byłem zaakceptować jego śmierć, lecz nie na takich warunkach.

Nic tu po mnie, pomyślałem. Nie miałem pojęcia, dokąd pójdę, wiedziałem tylko, że moja noga już nigdy nie postanie w stolicy. Postanowiłem ruszyć główną drogą na południe, licząc na to, że może ktoś mnie podwiezie do następnej wioski. Ledwo uszedłem kilka kroków, gdy zatrzymało mnie dwóch żołnierzy. Jeden z nich wskazał ciężarówkę z trupami. Udawałem, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Chciałem odejść, lecz drugi żołnierz złapał mnie za ramię i szarpnął do tyłu.

– Masz się za kogoś szczególnego? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową. Dopiero teraz go rozpoznałem. To on, na rozkaz Isaaka, wyprowadził z hotelu na miejsce straceń wásacza z byczą głową.

– To dlaczego ci się wydaje, że możesz tak po prostu odejść? My dla ciebie narażamy życie, a ty chcesz nas zostawić?

Uśmiechnął się drwiąco, jakby nie chodziło o zabitych ludzi, lecz o dobre maniery i etykietę.

Odwrócił się do stojących za nim kompanów i wskazał domy po drugiej stronie

drogi. Żołnierze w pojedynkę wchodzili do zabudowań, a po chwili wylaniali się, wyprowadzając z nich mężczyzn i chłopców. Już nie byłem sam; zebrano się nas w sumie z pięćdziesięciu. Żołnierz, który trzymał mnie za ramię, wyciągnął rękę w kierunku ostatniej ciężarówki.

– Na co czekacie? Pochowajcie ich.

– Jest wśród nich Isaak? – spytałem.

Zmrużył oczy, jakby pytanie zbiło go z tropu albo wyprowadziło z równowagi; tak czy siak, nie miał pojęcia, o kim mówię. Nigdy nie słyszał o Isaaku. Znał go pod innymi imieniem, jak pozostali żołnierze.

– Kapitan – wyjaśniłem.

Popchnął mnie do przodu. Odwróciłem się, żeby zadać mu kolejne pytanie, lecz był już zajęty czymś innym; złapał młodego chłopaka za kark i prowadził niczym psa.

Najmłodsi z naszej grupy zostali wyznaczeni do wykopania mogiły, reszta utworzyła żywy łańcuch ciągnący się z ciężarówki do miejsca, gdzie jedno na drugim układane były ciała. Ja stałem na skrzyni. Tworzyłem drugie ogniwo tego łańcucha, razem ze znacznie starszym ode mnie mężczyzną, który miał szczupłe, lecz umięśnione ramiona. Jak wszyscy pozostali wykonywał swoje zadanie w milczeniu. Nie uważał się nad sobą, do pewnego stopnia wydawał się wręcz wdzięczny, że tylko tyle od niego żądano. Łapaliśmy kolejne ciała, które nam podawano, on za nogi, a ja za ręce, a to oznaczało, że chcąc nie chcąc musiałem patrzeć na ich twarze.

Nadal szukałem Isaaka, lecz już przy drugim trupie przestałem się przyglądać rysom twarzy. Zerkałem tylko po to, żeby się upewnić, że to nie Isaak, a do tego wystarczał ułamek sekundy. Jeśli zabity był wyraźnie niższy, wyższy czy tęższy niż Isaak, w ogóle nie patrzyłem na twarz. Po prostu chwytalem sztywne ramiona i przekazywałem je następnemu. Po piętnastym czy dwudziestym postanowiłem, że nadam im wszystkim wspólne miano – Adam – jakby byli jednym ciałem. Mówiłem do nich w myślach: „Byłeś dzielnym żołnierzem, Adamie... Matka i ojciec będą za tobą tęsknić... Trzeba było nie ruszać się ze swojej wioski, Adamie... Nie byłeś stworzony do wojaczki... Mogłeś pójść na studia i zostać lekarzem, Adamie”. A kiedy wyczerpały mi się pomysły, powtarzałem po prostu: „Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam, Adam”, dopóki nie wyladowaliśmy z ciężarówki ostatniego trupa. Dopiero wtedy pozwoliłem sobie odetchnąć z ulgą: wśród ponad setki Adamów nie natrafiłem na ani jednego Isaaka.

Złożyliśmy wszystkie zwłoki do wspólnego płytkiego grobu wykopanego za drzewem, które oddzielało mogiłę od wioski. Pracując na zmianę, zasypaliśmy grób. Kiedy skończyliśmy, sprowadzony ze wsi ksiądz odmówił modlitwę za zmarłych. Był niski i krępy, ubrany na czarno. Jedyne kolorowe akcenty w jego stroju stanowił purpurowy kołnierzyk. Odmówił modlitwę bez zaangażowania, jakby już dawno temu przestał wierzyć w swą misję albo uznał, że jego wiara nie obejmuje poległych na polu walki. Tak czy owak, odprawił ceremonię i nasze zadanie dobiegło końca. Żołnierze, którzy nas pilnowali, odeszli bez słowa, jakby właśnie byli świadkami ulicznego przedstawienia, które nieszczerze ich zaciekało. Sądziłem, że teraz już bez przeszkód mogę wyruszyć na południe, tak jak planowałem, lecz żołnierz, który wcześniej bez słowa wskazał mi ciężarówkę z trupami, przekazał mi informację, że w hotelu czeka na mnie pułkownik. Poszedłem za nim na dziedziniec pełen leżących; ich

nieopatrzone rany ropiały na słońcu.

– Pułkownik – powiedział, wskazując północno-zachodni narożnik galerii.

Na widok Isaaka spoglądającego na mnie z góry poczułem zaskoczenie, które po chwili całkowicie zdominowała ulga. A więc kapitan został pułkownikiem; kto wie, może kiedyś dochrapie się generalskich szlifów. Zasługiwał na to choćby tylko z tego powodu, że przeżył. Pomachaliśmy do siebie; ten drobny gest sprawił mi niezwykłą przyjemność. Żałowałem, że nie możemy machać do siebie dłużej, tak jak robią to krewniacy i kochankowie żegnający się albo witający na lotniskach i dworcach kolejowych.

Isaak dał mi znak ręką, żebym wszedł na górę. Po całym ranku spędzonym przy zbiorowej mogile wolałem mieć twardy grunt pod stopami, żeby uwolnić się od wrażenia, że ja też się zapadam. Pokazałem mu poplamione krwią dłonie i kiwnąłem, żeby zszedł na dół.

Jedyną źródło wody w hotelu stanowiła pompa stojąca w głębi dziedzińca. I tam właśnie odnalazł mnie Isaak. Nappełniałem wiadro, żeby się umyć, a on dał mi kostkę mydła ze słowami:

– Używaj oszczędnie. To może być ostatnie mydło, jakie się uchowało w hotelu.

Już wkładałem ręce do wody, lecz Isaak mnie powstrzymał.

– Masz brudne włosy – stwierdził. – Pochyl się.

Nachyliłem się obok wiadra, a Isaak polał mi głowę wodą z plastikowego naczynia, a potem namydlił mi włosy i spłukał pianę.

– Teraz kolej na ręce – zarządził.

Wyciągnąłem przed siebie dłonie wewnętrzną stroną do góry.

– Nie jesteśmy w Europie – roześmiał się. – Nie możemy tak szafować wodą.

Złączył mi dłonie i w powstałe zagłębienie nalał trochę wody, żebym mógł spłukać krew, zanim porządnie je umyję. Kiedy skończyłem, za mną stał już długi sznur czekających na dostęp do wody.

– Daj mi kilka minut – powiedział Isaak.

Odszedłem na bok, a moje miejsce zajął następny z kolejki. Podobnie jak mnie, Isaak pomógł doprowadzić się do porządku jemu i całej pozostałej dwunastce. Z ostatniej kostki mydła pozostał kawałek nie większy niż koniuszek palca. Isaak tarł mydło w dłoniach tak długo, aż rozpuściło się do końca, umył twarz i opłukał się resztką wody z wiadra. Na prawym policzku została mu smuga zaschniętej piany.

– Jak wyglądam? – zapytał.

– Wyglądasz na zmęczonego – odparłem. – I masz pianę na policzku.

Otarł twarz rogiem kołnierza, jedyną częścią munduru, której nie pokrywała wyraźna warstwa brudu i kurzu.

– Obawiałem się, że wrócisz – powiedział.

– A dokąd miałem pójść?

– Wszystko jedno, byle nie tutaj.

– Nie zamierzałem zostać długo.

– To dobrze. Do rana nie będzie tu już co zbierać.

Chwycił moją dłoń i opuściliśmy dziedziniec, trzymając się za ręce. Doszliśmy do drzewa, za którym w zbiorowej mogile spoczywali zabici żołnierze.

– Dlaczego zostali pochowani właśnie tutaj? – zapytałem.

– Ich towarzysze nalegali – odparł, wskazując głową hotel. – Powiedzieli, że jeśli

po tym wszystkim pochowamy ich na terenie wioski, ich dusze nigdy nie zazną spokoju. Możliwe, że mają rację.

Zauważył, że zerkam w stronę grobu.

– Nie użalaj się nad nimi – powiedział, biorąc moje zainteresowanie za litość. – Przynajmniej pomogłeś ich pochować.

Obszedł drzewo i stanął na kopcu usypanym w miejscu pochówku zabitych żołnierzy. Myślałem, że splunie na grób, lecz on tylko wbił obcas w miękką ziemię.

– Co się tam wydarzyło? – spytałem.

Udawał, że nie dosłyszał mojego pytania. Wwiercał się obcasem w ziemię coraz głębiej; czynność ta zdawała się pochłaniać całą jego uwagę.

Odezwał się dopiero po kilku minutach.

– Po co chcesz to wiedzieć?

Nie potrafiłem szczerze odpowiedzieć, więc zareagowałem w sposób, jaki uznaliby za stosowny. Wyciągnąłem notes, który od niego dostałem. Do tej pory zdążyłem zapisać sześć stron; na czterech widniały narysowane przeze mnie mapy, a na dwóch niedokończone zdania, lecz poza mną nikt o tym nie wiedział.

– Jeśli koniecznie chcesz coś napisać, to napisz coś miłego – powiedział. – Coś, co sprawi ludziom radość. O tym, co się naprawdę wydarzyło, nikt nie musi wiedzieć.

Wbił w ziemię drugi obcas i zaczął wiercić. Nie przerywałem mu. Odczekałem kilka minut, nim powtórzyłem to samo pytanie: „Co się tam wydarzyło?”. Może za drugim razem wyraziłem się nieco inaczej. Tak czy owak, sformułowałem pytanie niewłaściwie. Było oczywiste, „co” tam zaszło. Nie wiedziałem jedynie, jaki udział miał w tym Isaak.

Nie patrząc na mnie, machnął nogą w moją stronę i obsypał mi włosy ziemią. Odsunąłem się parę kroków, lecz to nie wystarczyło. Obszedłem go z lewej strony i stanąłem kilka metrów za nim. Spróbowałem jeszcze raz.

– Zabiłeś kogoś?

Zamachnął się prawą nogą, jakby znów chciał kopnąć ziemię, ale w chwili, gdy dotknął jej butem, rozmyślił się.

– Głupie pytanie. Powinieneś zapytać ilu.

– Ilu?

– Ilu ludzi zabiłem.

– Ilu ludzi zabiłeś?

– Nie wiem – odparł. – Straciłem rachubę. Na pewno zbyt wielu.

Czekałem, aż się odwróci, lecz on uparcie wpatrywał się w drzewo i dźgał obcasami ziemię.

– Zapytaj, jak ich zabijaliśmy.

– Jak ich zabijaliście?

– Nie strzelaliśmy.

– Wyrznięliście ich?

– Tak. Tłukliśmy ich czym popadło, paliliśmy. Zabrakło nam amunicji. Zapytaj, czy pochowaliśmy zabitych.

– Pochowaliście zabitych?

– Nie. Zostawiliśmy sępom i psom na pożarcie. A potem uciekliśmy, żeby nie patrzeć na swoje dzieło.

Prawą stopę miał zagrzebaną w ziemi po kostkę. Wreszcie dotarło do mnie, po co

to robi.

– Głęboki jest ten dół? – zapytał.

– Dość płytki – odparłem.

Wyciągnął stopę i otrząsnął z ziemi.

– To dobrze – stwierdził. – Na głębszy nie zasłużyli.

## HELEN

Obraliśmy kurs na widoczny z daleka Hancock Center. Isaak obserwował miasto przez boczną szybę po mojej lewej stronie, a ja raz po raz spoglądałam na jezioro widoczne po prawej. Wciąż byliśmy na Środkowym Zachodzie, ale brakowało mi stałego, twardego gruntu uchodzącego podobno za jego charakterystyczną cechę. Miasto kończyło się gwałtownie, zamiast przekształcać stopniowo w rozległe pola jak na przykład Laurel. Budziło to we mnie pewien niepokój. Wiedziałam, że Isaakowi zupełnie to nie przeszkadza, więc nie wspomniałam o swoich obawach. Trzymaliśmy się brzegu jeziora, omijając śródmieście. Za ostrym zakrętem, podążając za sznurem samochodów, wjechaliśmy na ruchliwą Michigan Avenue i zobaczyliśmy przed sobą Hancock Center. Isaak niemal przykleił nos do przedniej szyby, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wszystko tu wydawało mu się wspaniałe. Dostrzegał jedynie wielkie możliwości, jakie obiecywały te strzeliste budowle zwłaszcza ludziom takim jak on, którzy nie mają pojęcia, z czym wiąże się dotarcie na szczyt.

\*

Zaparkowaliśmy trzy przecznice od drapacza chmur, który tak bardzo urzekł Isaaka. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, oświadczyłam, że od tej chwili to Isaak przejmuje dowodzenie.

– Teraz to twój pochód – powiedziałam.

Uśmiechnął się. Nie miał pojęcia, co to oznacza.

– Teraz ty jesteś przewodnikiem – wyjaśniłam.

Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Jedynym punktem orientacyjnym był Hancock Center, więc Isaak ruszył w jego stronę tą samą ulicą, którą przyjechaliśmy.

– Chcę go dotknąć – oznajmił.

Zabrzmiało to tak, jakby przyznawał się do wstydlivej obsesji. Wyobraziłam sobie powierzchnię śliską i wilgotną, która zostawi na mojej dłoni trwałe ślad.

– No to chodźmy go dotknąć – powiedziałam.

Pokonywana na piechotę odległość wydawała się znacznie większa, odstęp między przecznicami dłuższe. Chodniki, szerokie i zatłoczone, bardziej przypominały jezdnie; sprawiały wrażenie niezbyt bezpiecznych. Isaak błędził wzrokiem po strzelistych budynkach, a ja przyglądałam się twarzom przechodniów. Choć nie trzymaliśmy się za ręce, szliśmy obok siebie. Ilekroć Isaak zobaczył coś, co go zadziwiło, odwracał się do mnie, żeby podzielić się odkryciem. Budynki zdobiły gargulce, gzymsy, iglice, dziwne ryty, które można było dostrzec pod warunkiem, że szło się z zadartą głową. Isaak podziwiał nie tylko budowle. A to zaintrygował go zabytkowy czerwony krążownik szos, zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy, a to fontanna; każdy mijany przez nas żebrak zasługiwał na uwagę, nawet jeśli nie budził jego ciekawości. Patrzyłam tam, gdzie mi kazał, i natychmiast sprawdzałam reakcję mijających nas przechodniów. Wyglądało na to, że jako para nie budzimy sensacji. Pomyślałam, że wreszcie wiem, jakie to uczucie być niewidzialnym, lecz kiedy w swych rachunkach od naszej pary odjęłam Isaaka, uzyskany wynik podpowiedział mi, że tak samo się czułam, zanim pojawił się w moim życiu. Byłam nie tyle niewidzialna, ile stanowiłam naturalny element tła, uprawniony do wszelkich przywilejów należnych z tytułu własności.

\*



Stanęliśmy przed budynkiem Hancocka. Isaak chciał go obejrzeć z różnych perspektyw, więc przeszliśmy na drugą stronę ulicy, wciskaliśmy się w rozmaite zakamarki, wyginaliśmy szyje we wszystkie strony, żeby nacieszyć oczy jego lśniąca czarną fasadą, aż zakręciło się nam w głowach.

– Jest niesamowity – stwierdził.

Jego zachwyty był autentyczny; nie miałam pojęcia, jak udało mu się tak długo go w sobie podsycać. Stanęliśmy przed głównym wejściem. Przyłożyliśmy dłonie do powierzchni ściany. Była gładka i ciepła, zaryzykowałabym stwierdzenie, że bardziej miękka, niż się spodziewałam.

– Wejdziemy do środka?

Isaak pokręcił przecząco głową.

– Wewnątrz na pewno nie przedstawia się tak imponująco – oświadczył, biorąc mnie za rękę. – Lepiej przejdźmy się gdzieś.

Wahaliśmy się przez chwilę, spoglądając nie na siebie, lecz na nasze splecione dłonie. W końcu zebraliśmy się na odwagę i ruszyliśmy. Szliśmy ulicą, trzymając się za ręce, i choć nie odnieśliśmy jakiegoś znaczącego zwycięstwa, przepełniała mnie duma. Towarzyszył jej jednak strach. Kiedy dotarliśmy do pierwszej przecznicy, byłam wdzięczna za to, że czuję w swej dłoni dłoń Isaaka, a nawet za lęk, jaki temu towarzyszył. Po dwóch kolejnych przecznicach wdzięczność zastąpił żal, że nie odważyliśmy się na to wcześniej. Przez cały ten czas, pomyślałam, osiągalni byliśmy w porывach tylko połowę tego, na co było nas stać.

Chciałam, żeby mogła nas zobaczyć teraz matka. Chciałam, żeby David przyglądał się nam zza rogu.

– Wszystko w porządku?

Nie płakałam, lecz wszystko widziałam jak przez mgłę.

– Czuję się świetnie. Znakomicie – odparłam.

Ścisnęłam mocno jego dłoń. Isaak odwzajemnił uścisk. Wierzyłam, że póki idziemy, nic nie może nas rozdzielić.

Kiedy dochodziliśmy do kolejnego skrzyżowania, światło zmieniło się na czerwone. Zatrzymaliśmy się, przy przejściu zaraz zaczął się zbierać tłum. Staliśmy przy samym krawężniku, zawsze to lepiej niż w środku tłumu, lecz i tak nie uniknęliśmy ciekawskich spojrzeń. Od razu zauważyłam, że mężczyzna obok Isaaka i kobieta stojąca przy mnie gapią się na nas; i nie tylko oni. Patrzyłam przed siebie, nie chciałam wnikać w to, co wyraża ich wzrok. Zresztą się domyślałam. Byłam jednak przekonana, że poza oburzeniem, politowaniem, pogardą, może nawet zawiścią, w ich spojrzeniach kryje się też odrobina podziwu czy wręcz zachwyty – w końcu przedstawialiśmy niezwykle widok.

Kiedy zapaliło się zielone światło, Isaak przytrzymał mnie; chciał, żebyśmy przeszli przez ulicę jako ostatni.

– Dokąd teraz? – zapytał.

To było oczywiste. Pokazałam ręką przed siebie. On nacieszył się swoim drapaczem chmur, teraz przyszła kolej na moje jezioro. Miasto maskowało jego ogrom drzewami, budynkami i obwodnicą i z miejsca, w którym staliśmy, jezioro wydawało się miniaturką przestworu, jaki oglądaliśmy wcześniej przez szyby samochodu.

– Powiniennem cię chyba uprzedzić, że nie umiem pływać – powiedział Isaak.

– Nie przejmuj się – odparłam. – Moja opieka nad tobą polega między innymi na tym, żeby uratować cię przed pójściem na dno.

\*

Poszliśmy do samego końca Michigan Avenue za grupą idących pod rękę plażowiczów. Nieśli koce i kosze piknikowe, ubrani byli w szorty albo pastelowe letnie sukienki w delikatne wzorki, na nogach mieli sandały.

– Zupełnie tak jak my – stwierdziłam. – Ale jeśli chodzi o ubiór, mamy nad nimi przewagę.

Powiedziałam to na głos, lecz nie kierowałam tych słów do Isaaka. Chodziło mi o sprawdzenie, jak sobie radzą pewne prawdy, kiedy przestają być własnością prywatną i wkraczają w przestrzeń publiczną.

Podążając za plażowiczami, weszliśmy do przejścia podziemnego pod Lakeshore Drive, prowadzącego do jeziora. W tunelu znalazło się nas ponad trzydzieścioro – ruch odbywał się w obie strony, lecz wracających z plaży było zdecydowanie więcej. Jakiś mężczyzna na przedzie ryknął, żeby usłyszeć echo. Podchwycili to najpierw jego towarzysze, a potem cała reszta z Isaakiem włącznie. Spojrzeliśmy na siebie i krzyknęliśmy. Szliśmy dalej, wydzierając się na całe gardło. Popatrzyliśmy w górę na sklepienie i ryknęliśmy na przejeżdżające nad nami samochody. Rycieliśmy na wracających z plaży, a oni odpowiadali nam tym samym. Gdy zbliżaliśmy się do wyjścia z tunelu, ryknęłam na otwierającą się przede mną przestrzeń, na drzewa, na piasek i na wodę. Słyszałam swój głos – odległy i zdaniem Isaaka znacznie groźniejszy, niż wskazywałby na to mój wygląd.

– Jeszcze jedno, co w tobie uwielbiam – powiedział, kiedy wyszliśmy z tunelu. – Twój głos.

\*

Szliśmy alejką wysadzaną drzewami, która na początku odbijała łukiem w stronę jezdni, a potem gwałtownie skręcała w kierunku plaży. Widziałam ją wcześniej z samochodu, lecz teraz po raz pierwszy miałam postawić na niej stopę. Chciałam nacieszyć się tą chwilą. Kiedy wzrok przestał mi się mącić, zobaczyłam, że chodnik się urywa, a zaraz za nim zaczyna się piaszczysta plaża. Zrozumiałam wtedy, że niepotrzebnie wcześniej się niepokoiłam. Nie było powodu do obaw. Miasto przystawało na skraju wody tylko na chwilę, by zaraz biec dalej wzdłuż brzegu.

Szukałam słów, żeby przekazać tę myśl Isaakowi. Zatrzymałam go, nim weszliśmy na piasek.

– Nie kończy się tak nagle, jak mi się wydawało – powiedziałam.

Wskazałam budynki ciągnące się całymi kilometrami na północ. Spojrzał na roztaczający się przed nami widok.

– Tak. Z daleka miasto wydaje się znacznie mniejsze, niż jest w rzeczywistości – odparł, drocząc się ze mną, udając, że chodzi mi o architekturę.

Objął mnie i razem weszliśmy na piasek.

– Podobno chodzenie po plaży w butach przynosi pecha.

Wymyśliłam to na poczekaniu i słusznie; porzekadła i kuchenne mądrości, wśród których dorastałam, miały ograniczone zastosowanie. Usiedliśmy, zdjęliśmy buty i skarpetki. Zagłębiliśmy bose stopy w piasku. Okazał się twardszy i zimniejszy, niż się

spodziewałam.

– Nie umywa się do budynku Hancocka – stwierdziłam.

Pokazałam palcem w dół, żeby wiedział, o czym mówię.

– Masz na myśli piasek?

Miałam na myśli to, że człowiek często coś sobie wyobraża, a potem się przekonuje, iż jest odwrotnie.

– Sądziłam, że piasek na plaży będzie mięciutki i złocisty, może nawet biały. Że można będzie na nim spać. A na tym się nie da. Jest za twardy. Nawet kolor ma nie taki.

– Czujesz się rozczarowana?

– Nie. Raczej oszukana.

Wyraziłam się niezręcznie, biorąc pod uwagę nasze wcześniejsze wspólne doświadczenia.

– Przykro mi to słyszeć.

– Oszustwo nie zawsze musi być złe – dodałam.

Uśmiechnął się półgębkiem i wbił wzrok w piasek. Nabrał pełną garść i rozcierał ziarenka w dłoni.

– Co zapakowałaś do walizki? – zapytał.

Przypomniałam sobie, że to on zaniósł walizkę do samochodu; musiał wyczuć, że jest niemal pusta. Nadeszła odpowiednia chwila, żebym ujawniła swoje zamiary.

– Wiesz, dlaczego chciałam cię tu przywieźć?

– Mogę się tylko domyślać.

– Wydawało mi się, że mam plan. Pomyślałam, że jeśli wywiozę cię z Laurel, sam zrozumiesz, że nie ma sensu tam wracać. Chciałam, żebyś tu został. Pomogłabym ci się urządzić.

– A potem?

– A potem obiecałabym, że będę cię tu odwiedzać do czasu, aż staniesz na nogi i zaczniesz nowe, samodzielne życie. Do tego właściwie od początku sprowadzało się moje zadanie.

– Zawdzięczam ci znacznie więcej.

– Naprawdę tak uważasz? Takie miasteczko jak Laurel z czasem staje się zbyt ciasne. Wolałam pomóc ci wyjechać, niż patrzeć, jak nasz związek powoli tam dogorywa.

– Nie dopuściłbym do tego.

– Ale może ja sama bym do tego doprowadziła. Może nie da się tego w żaden sposób powstrzymać, i to właśnie przeraża mnie najbardziej.

Przykrył moją stopę swoją i wcisnął ją w piasek.

– Ja martwię się o nas przez cały czas – powiedział. – Patrzę na tych facetów na drugim końcu plaży i się boję, że zaraz wstaną i ruszą w naszym kierunku. Boję się – kiedy przychodzisz do mnie i kiedy wychodzisz – że zauważy cię jakiś twój znajomy. Jeszcze nie tak dawno przejmowałem się tym, o czym myślisz, budząc się w moim łóżku. Bałem się myśli, które chodzą mi po głowie, kiedy śpisz obok. Wyobrażam sobie straszne rzeczy, z którymi nie da się żyć. Dlatego spakowałem wszystkie swoje rzeczy, tak jak kazałaś.

– Bo miałaś już dość Laurel.

– Nie, wcale nie dlatego. Henry nauczył mnie prowadzić po to, żebym mógł wyjechać z Laurel, kiedy już do tego dojrzeję. Mówił, że gdy skończy mi się wiza, mogę odstawić samochód na lotnisko i zniknąć albo zatrzymać go na dłużej i zostać w Stanach,

dopóki nie uznaję, że jestem gotów wyjechać. „Nie chcę, żebyś czuł się tu uwięziony”, oświadczył. „To poczucie może być tak koszmarnie jak piekło, przez które przeszedłeś”. Wtedy właśnie mu powiedziałem, że poznałem ciebie. Zalecał ostrożność. Radził, żebym był wobec ciebie szczery i żebym mocno stąpał po ziemi. Nie rozumiałem tej ostatniej rady. Myślałem, że mam zostać w kraju z tobą, i obiecałem mu, że tak zrobię. „Dlaczego miałbym stąd wyjechać?”, pomyślałem. „Przecież tu jest tyle ciekawych miejsc do obejrzenia”. Wtedy postanowiłem kupić ci te pamiątki. Zanim ci je wysłałem, pokazałem Henry’emu. „Życzę, żeby udało się wam odwiedzić choć jedno z tych miejsc”, powiedział. Zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc, żebym mocno stąpał po ziemi. Ale i tak nadałem tę przesyłkę. Chciałbym mu przekazać, że mylił się co do nas – wspólnie zaszliśmy dalej, niż przewidywał – ale to nie jest takie ważne. Najważniejsze, że jesteście tutaj; razem. Przebyliśmy długą drogę.

– To samo powtarzam swoim podopiecznym. Tłumaczę, że jeśli zrobili wszystko, co w ich mocy, to nie powinni sobie robić wyrzutów. Mówię to, kiedy się obwiniają o niepowodzenia albo zadręczają.

– Ty nie musisz o nic się obwiniać ani się zadręczać.

– Łatwo powiedzieć.

Isaak wstał, chwycił mnie za rękę i pomógł mi się podnieść.

– Jeszcze nie spacerowaliśmy po plaży – stwierdził. – Przejechaliśmy taki kawał drogi. Szkoda byłoby tego nie zrobić.

Widok, jaki się przed nami rozciągał, nie sprostował moim oczekiwaniom. Wyobrażałam sobie, że podczas mojego pierwszego spaceru po plaży słońce będzie zachodziło nad połyskującą wodą. Tymczasem słońce zdążyło już zniknąć za horyzontem, a na niebie pozostały tylko purpurowe chmury i rozproszone, jasne smugi, ale one nie zdołały rozświetlić jeziora. Woda wydawała się szara i zimna, przy niej niebo wyglądało wprost urzekająco; to ono przyciągało wzrok.

Stanęliśmy nad wodą, która omywała brzeg, delikatnie, jakby nieśmiało, po czym się wycofywała.

– Taki widok bardziej ci odpowiada? – zapytał Isaak.

– Bardziej przypomina mi rodzinne strony – odparłam. – Przywykłam do płaskich terenów, rozległych przestrzeni. Lubię widzieć, co jest przede mną.

Roześmiał się, odchylając głowę, najwyraźniej szczerze rozbawiony.

– Wyrażasz się okrężnie – stwierdził.

Teraz ja nie rozumiałam. Domyśliłam się, że o to właśnie mu chodziło.

– Źle przetłumaczyłem. To powiedzenie mojego ojca. Oznacza, że ktoś nie mówi wprost tego, co myśli. Na przykład, kiedy ktoś mówi, że chmury na niebie są ciemne, tak naprawdę chodzi mu o to, że czuje się zmęczony, głodny albo samotny.

– A o co mi naprawdę chodziło?

To było proste pytanie, a odpowiedź narzucała się sama. Jak wielu ludzi, może nawet większość, chciałam wiedzieć, co będzie dalej. Zanim poznałam Isaaka, zawsze mogłam z grubsza przewidzieć, co mnie czeka za chwilę.

– Nie mogę powiedzieć, przyniosłoby ci to pecha.

– Sam to wymyśliłeś?

– Oczywiście.

\*

Złapałam go za rękę i zaczęłam nią wymachiwać – początkowo ostrożnie, a potem, kiedy Isaak podchwycił pomysł, unosiliśmy ramiona wysoko nad głowy niczym ptaki machające skrzydłami. Zrozumiałam, co musimy zrobić niezależnie od tego, czy zostaniemy tutaj, czy wrócimy do Laurel. Musimy wymyślić nowe sentencje, nowe zasady i nowe aksjomaty, według których będziemy żyć.

Machaliśmy tak długo, aż rozboleły nas ramiona. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło. Ściemniło się już i Isaak zapytał, co dalej.

Popatrzyłam w dół, na piasek. Rozejrzałam się, zobaczyłam plażowiczów, za którymi szliśmy w tunelu, mężczyzn, którym Isaak przyglądał się ukradkiem przez cały czas.

– Już nic nam nie zagrozi – stwierdziłam.

Isaak ścisnął mi dłoń.

– Damy radę.

Źle to wszystko zaplanowałam. Było jeszcze inne zakończenie, którego nie brałam pod uwagę, bo brakowało mi odwagi.

– Nie zostawię cię tu samego – oświadczyłam.

– Co masz na myśli?

– To, że dopóki jesteś przy mnie, niczego się nie boję.

Myślą wybiegłam kilka dni w przód: wyobraziłam sobie, jak sama jadę do Laurel, a potem wracam do Chicago z walizkami i pudłami, które przechowywałam w piwnicy.

Wciąż trzymając go za rękę, zaczęłam znów wymachiwać ramionami najpierw nieśmiało, a potem coraz mocniej. Wyrzucałam je wysoko w powietrze na znak triumfu, bo właśnie odnieśliśmy zwycięstwo i ogłaszaliśmy to światu. Wygraliśmy, lecz na tym nie koniec – będziemy dalej nieustannie walczyć, żeby tego naszego zwycięstwa nie zaprzepaścić.

Kiedy uniosłam ramiona wysoko nad głowę, Isaak zapytał:

– Co dalej?

Znów zaczęłam machać.

– Nie widzisz? – odparłam. – Wzbijamy się do lotu. Wreszcie odrywamy się od ziemi.

## ISAAK

Uznałem, że nie mamy zbyt wiele czasu, i podałem Isaakowi rękę, ponaglając go w ten sposób, żeby zszedł z kopca. I już jej nie puściłem; szliśmy, trzymając się za ręce. W stolicy nie mieliśmy takiego zwyczaju, choć wszyscy znani mi rówieśnicy lubili chodzić pod rękę i to nie tylko z najlepszymi przyjaciółmi. Isaak prowadził, a ja szedłem posłusznie tam, gdzie on. Od głównej drogi odchodziła kręta ścieżka, wzdłuż której stały stłoczone jedno obok drugiego domostwa. Spodziewałem się, że lada chwila się zatrzymamy i rozstaniemy, a ja bez sprzeciwu udam się tam, dokąd wyśle mnie Isaak, tak jak ostatnio, choć tym razem nie dostanę na drogę osła.

\*

Droga była pusta. Ta część miasteczka wyglądała na całkiem opuszczoną; zewsząd otaczała nas głucha cisza, w powietrzu nie unosiły się żadne zapachy. Z wyglądu przypominała mi dzielnicę nędzy, w której kiedyś mieszkaliśmy, tyle że jej zabudowania wydawały się trwalsze, przynajmniej z założenia. Przecinały ją takie same dróżki, po których spływały strumyczki nieczystości. Nauczyłem się poruszać w takim terenie, kierując się słuchem i węchem. Wyhodek, dom pełen dziecięcego gwaru, zapach jedzenia – to były moje drogowskazy. Dotychczas nie zdarzyło mi się znaleźć w samym środku slumsów i nie odbierać żadnych wrażeń zmysłowych. Chciałem podzielić się spostrzeżeniami z Isaakiem.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytałem.

Rozejrzał się, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie brak jakichkolwiek oznak życia.

– Mnie się tak podoba – stwierdził. – Jest bardzo... – Szliśmy dalej i dopiero po dłuższej chwili dokończył, jakby wreszcie znalazł odpowiednie słowo: – ...spokojnie.

\*

Ścieżka, którą szliśmy, zataczając łuk, łączyła się z szerszą, pokrytą czerwonym pyłem drogą na skraju wsi. Biegł tędy stary, sięgający czasów poprzedzających przybycie Europejczyków szlak handlowy, który prowadził do targowiska. Znałem to miejsce. Pierwszy raz trafiłem tu przypadkiem, drugi raz wybrałem się celowo. Dwukrotnie spędziłem tutaj niemal cały ranek i część popołudnia, obserwując tłum, którego liczebność wahała się w zależności od pory dnia według ustalonego rytmu. W całej Afryce można było znaleźć tysiące takich targowisk; postanowiłem je opisać, po to właśnie przyszedłem tu za drugim razem. Stałem w pobliżu straganu z warzywami, otworzyłem notes i napisałem na pierwszej pustej stronie: „Istnieją setki takich miejsc jak to”. Nie wierzyłem, ale przelanie tych słów na papier poprawiło mi wtedy samopoczucie. Teraz, gdy ciasno poustawiane obok siebie drewniane kramy, gdzie wcześniej wisały półcie mięsa, były puste, a maty i dywaniki, na których wystawiano na sprzedaż warzywa i nadwyżki zapasów, zniknęły, pożałowałem tych słów.

Szukałem pozostawionych przypadkiem śladów dawnego tętniącego życiem bazaru – cząstki owocu, gnijącego okrawka mięsa – lecz wszystko zostało ogołocone do czysta i dokładnie sprzątnięte.

Isaak puścił moją rękę. Wszedł między puste, poznaczone plamami krwi kramy, stukając w nie po kolei, jakby podejrzewał, że ktoś się w nich ukrywa.

– Joseph obiecał nam po powrocie wspaniałą ucztę. Powiedział, że szybko podbijemy tamto miasteczko i wrócimy w chwale jak bohaterowie. A podczas uczyty będziemy jeść, aż nic nie zostanie.

Zapukał do dwóch kolejnych straganów.

– Miał rację, że nic nie zostanie – stwierdził.

– Gdzie on teraz jest? – zapytałem.

– Może gdzieś tu się chowa – odparł Isaak, wskazując ostatnie sąsiadujące ze sobą kramy.

Uznałem, że w ten sposób daje mi do zrozumienia, iż Joseph nie żyje. Myśl o jego śmierci musiała wywołać na mojej twarzy wyraz ulgi, gdyż Isaak natychmiast dodał:

– Nic mu nie jest. Wkrótce przyjedzie.

Słowa te zdawały się sprawiać mu ból. Nie wzdrygnął się, lecz wyglądał tak, jakby przeszył go wewnętrzny dreszcz. Znów wziął mnie za rękę, ściskając mi środkowe palce.

– Chodź, muszę ci coś pokazać – oznajmił.

Doszliśmy do końca drogi prowadzącej na targowisko, która klucząc i zwężając się stopniowo, łączyła się ostatecznie z główną brukowaną drogą biegnącą od pomnika do hotelu. Usłyszeliśmy zebranych wokół rzeźby żołnierzy, choć jeszcze ich nie widzieliśmy. Zatrzymaliśmy się tuż przed skrzyżowaniem.

– Sprawdź, co tam się dzieje, tylko ostrożnie – szepnął mi do ucha Isaak. Schował się w cieniu domu, a ja wyjrzałem zza węgła.

Wokół pięści z brązu zgromadzili się wszyscy żołnierze, którzy tego ranka o własnych siłach wysiedli z ciężarówek. Tworzyli krąg, a w środku, tuż przy pomniku, stał żołnierz, który kazał mi grzebać trupy. Przemawiał spokojnie, lecz żarliwie, z prawą dłonią zaciśniętą w pięść. Opisałem tę scenę Isaakowi i czekałem na wyjaśnienie.

– Postępuj dokładnie według planu – stwierdził.

– To właśnie chciałem ci pokazać?

Wziął mnie za rękę.

– Nie. Mam ci do pokazania coś znacznie ciekawszego.

Wróciliśmy na targowisko. Kiedy doszliśmy do ostatnich straganów, Isaak skręcił w wąski przesmyk prowadzący do ledwo widocznej ścieżki, która, jak się zdawało, biegła prosto do lasu. Porastająca ją wysoka po pas trawa wkrótce ustąpiła miejsca gęstwinie drzew. Spodziewałem się lada chwila usłyszeć od Isaaka, że nie pozostało mi nic innego, jak schronić się w leśnej głuszy tak jak ci uchodźcy, których widziałem rano. Lecz las skończył się gwałtownie i naszym oczom ukazała się szeroka, okrągła polana średnicy ponad trzydziestu metrów. Pośrodku stał parterowy dom z betonu i drewna, pomalowany na biało.

\*

Osobnym kluczem, który nosił w bucie, Isaak otworzył drzwi frontowe; wyrzeźbione na nich znaki i symbole sprawiały wrażenie, jakby pełniły tu funkcję dekoracyjną wbrew swemu pierwotnemu przeznaczeniu. Poprowadził mnie do środka. Wszystkie okiennice były zamknięte, lecz salon oświetlały promienie słońca wpadające przez liczne świetliki w dachu. Nieumeblowane pomieszczenia tchnęły pustką. Podłogi wykonane były z tego samego drewna co drzwi i belki dachowe; błyszcząły, mimo że pokrywała je warstwa kurzu.

– To właśnie miałem zobaczyć?

– To jeszcze nie wszystko – odparł.

Stanął na środku pokoju, ukucnął i palcem stał z podłogi odrobinę kurzu.

– Podobne podłogi Joseph miał w swoim domu w Kampali – stwierdził. –

Szkoda, że ich nie widziałeś. Kazał je sprzątacze szorować na kolanach, i to codziennie. Powiedział mi, że drewno sprowadził z Brazylii. Zapytałem, gdzie to jest. Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim kraju, myślałem, że leży gdzieś w Afryce. Pokazał mi Brazylię na mapie i obiecał, że wybierzemy się tam kiedyś razem.

Lecz w tym domu zastosowano inne drewno, wyjaśnił mi Isaak. Joseph użył miejscowych gatunków drzew. Podłogi w Kampali zrobione były z mahoni.

Isaak pokazał mi pozostałe pokoje mieszczące się w dwóch oddzielnych skrzydłach, do których przechodziło się z salonu. Wszystkie pomieszczenia wyglądały niemal identycznie – drewniane podłogi, białe ściany, okna wychodzące na tyły domu – lecz miały spełniać rozmaite funkcje i to je od siebie odróżniało, mimo że były nieumeblowane. Isaak kolejno je nazywał.

To miała być jadalnia.

To pokój dla służby.

To kuchnia.

To biblioteka.

Podobnie Isaak przedstawił mi pokoje mieszczące się w drugim skrzydle domu, lecz tym razem w każdym zatrzymywał się dłużej.

– To są pokoje gościnne – oświadczył. – Josephowi zostało niewielu krewnych, ma za to mnóstwo przyjaciół na całym świecie. W Europie... nawet w Ameryce.

Następny pokój przeznaczony był dla Josepha. Nie wchodziliśmy do środka; staliśmy w progu, jakbyśmy nie chcieli zakłócać snu śpiącej tam osobie.

– Joseph wybrał sobie najmniejszą sypialnię w całym domu. Zapytałem, po co budować dom z tyloma pokojami, jeśli samemu zajmuje się najmniejszy. Odparł, że powinienem myśleć o nich nie jak o pokojach, lecz jak o różnych wymiarach życia. Jeden miał mu służyć do pracy, inne przeznaczone były dla przyjaciół, dla gości, a jeden do tego, żeby spędzać czas w samotności.

Przeszliśmy do ostatniego pomieszczenia, znacznie większego niż sypialnia Josepha, najjaśniejszego w całym domu; światło wpadało tu z trzech stron przez szczeliny w okiennicach. Tym razem Isaak wszedł do środka.

– Ten pokój miał być mój – oświadczył.

Przez chwilę rozważał w myślach wypowiedziane słowa, po czym zwrócił się do mnie:

– Wiesz, po co ci to wszystko mówię?

Odparłem, że tak, nawet się nie zastanawiając, czy to prawda. Dopiero później pojąłem, że to nie było wyznanie; Isaak dawał mi w ten sposób do zrozumienia, jak wiele przyjdzie mu utracić.

Zaczął chodzić po pokoju wolnym krokiem.

– Joseph chce, żebym pojechał na studia do Ameryki. Wszystko załatwił. Mówi, że gdy wrócę, w kraju będzie już bezpiecznie, walki ustaną. Zdaje sobie sprawę, że nie wygra tej wojny, ale liczy na to, że Brytyjczycy doprowadzą do zawieszenia broni, a jego mianują ministrem albo wiceprezydentem. Joseph uważa, że tylko taką przyszłość ma przed sobą demokracja w Afryce. Jest przekonany, że zostanie kiedyś prezydentem, że to



tylko kwestia czasu, a wtedy będzie mógł robić, co zechce. Ale to zwykle mrzonki. Nigdy nie będzie prezydentem. Nie ma domu z tyloma pokojami, żeby nas wszystkich pomieścić. Zapytałem go raz, „Jaki rewolucjonista zatrudnia sprzątaczkę do szorowania podłóg u siebie w domu?”. Roześmiał się i odparł: „Po to ludzie zostają rewolucjonistami – żeby inni szorowali im podłogi”. Co mogłem na to odpowiedzieć? Mieszkałem wtedy u niego. Pierwszy raz w życiu ktoś o mnie dbał: kiedy się budziłem, czekały już czyste ubrania, mogłem liczyć na dwa, trzy posiłki dziennie i jeść do woli. To mi uświadomiło, że moja rewolucja już się zakończyła.

Isaak otworzył okna w pokoju, który kiedyś miał należeć do niego. Rosnący przed domem bananowiec łagodził żar i przepuszczał chłodnawy wietrzyk, którego powiew czuć było nawet w środku. Isaak pochylił się i wystawił głowę za okno.

– Myślisz, że jestem w połowie drogi do Kenii, ale ja chciałem jeszcze raz zobaczyć ten dom. Żaden z nas nigdy w nim nie zamieszka: ani on, ani ja.

– Nic nas już tu nie trzyma – stwierdziłem.

– Wkrótce wyjedziemy, obiecuję.

Pokój spowijała złocista mgiełka słonecznego blasku. Ostatni raz czułem taki spokój pierwszego dnia w domu Josepha w stolicy. Obaj wiedzieliśmy, że nie należy go zakłócać. Usiedliśmy na podłodze i oparli plecami o ścianę, nie ruszaliśmy się, dopóki nie zaczęło zmierzchać. Wpadające do środka światło słońca zmieniło barwę na czerwonoróżową, co oznaczało, że w powietrzu unosi się pył nawiewany przez silny wiatr.

Isaak wstał pierwszy.

– Chodźmy już – powiedział. – Joseph zaraz wróci do hotelu. Muszę go uprzedzić, że wyjeżdżam.

Nie sprzeciwiałem się; nie miałem nic przeciwko temu, żeby się z nim pożegnał, jeśli taka miała być cena jego wolności. Wybraliśmy najkrótszą trasę prowadzącą z powrotem do głównej drogi. Pył w powietrzu sprawiał, że zwykły zachód słońca przeistoczył się w feerię czerwieni na niebie, o odcieniach budzących podziw albo grozę. Stanęliśmy na rozstaju dróg i przyglądaliśmy się widowisku rozgrywającemu się nad naszymi głowami. Po jakimś czasie usłyszeliśmy ryk potężnego silnika i zobaczyliśmy nadjeżdżającą ciężarówkę, a za nią samochód osobowy.

– Jadą – powiedział Isaak.

– Najwyższy czas się stąd zabierać.

– Ale najpierw musisz zobaczyć coś jeszcze – odparł.

Dotarliśmy do hotelu przed Josephem i jego ludźmi. Isaak kazał mi się ukryć w którymś z pokoi i zaczekać, aż rozmówi się z Josephem.

– Przyjdę po ciebie we właściwym czasie – obiecał.

Dziedziniec nadal zapełniony był rannymi; w ciągu dnia trzech zmarło, ich zwłoki okrywały błękitne hotelowe prześcieradła. Na miejscu pozostało nieco ponad dwudziestu sprawnych mężczyzn. Nigdzie nie zauważyłem żołnierza, który rano zapędził mnie do grzebania trupów.

Isaak mi poradził, żebyśmy wybrał jakiś pokój na piętrze, kręciło się tam mniej ludzi. On pozostał na dziedzińcu, a ja wszedłem na górę. Miałem się stamtąd nie ruszać, dopóki po mnie nie przyjdzie, lecz nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby ostatni raz popatrzeć na Josepha.

Oba pojazdy: wypełniona żołnierzami ciężarówka i jadący za nią samochód,

zatrzymały się przed hotelem. Isaak stał z założonymi rękami na środku dziedzińca; wyglądał jak właściciel hotelu oczekujący gości. Kiedy otoczyli go żołnierze, mierząc do niego z rewolwerów i karabinów, sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego sytuacją niż zaniepokojonego. Stanęli w półkolu, po chwili dołączyła do nich kolejna grupa. W końcu na dziedzińcu wszedł Joseph w asyście żywej tarczy – ochroniarzy. To byli ci sami ludzie, którzy pilnowali jego domu w stolicy – rośli, krzepcy mężczyźni, za których lojalność sownie zapłacił. Rozstąpili się i mogłem lepiej przyjrzeć się Josephowi. Zamiast munduru miał na sobie ciemny trzyczęściowy garnitur, co świadczyło o tym, że porzucił wojażkę i wrócił do wcześniejszej roli polityka.

Podszedł do Isaaka, który miał już być przecież daleko stąd. Z uśmiechu na twarzy Josepha można było wywnioskować, że ucieszył go jego widok. Położył mu rękę na ramieniu i obaj, w towarzystwie ochroniarzy, przeszli do pustego pokoju na parterze.

Stałem w drzwiach i czekałem, aż stamtąd wyjdą. Po godzinie położyłem się do łóżka i zupełnie nieoczekiwanie zasnąłem. Na materacu podpartym drewnianymi skrzynkami śniłem, że znajduję się w ogromnym domu niedaleko centrum miasta. Umówiłem się z kimś na spotkanie i już byłem spóźniony, lecz nie mogłem się wydostać z labiryntu pomieszczeń. Błąkałem się pośród niezliczonych pokoi sprawiających wrażenie identycznych i powtarzałem sobie w myślach: „Byłem już tu wcześniej, musi być stąd jakieś inne wyjście”. Sen miał wszelkie znamiona koszmaru, gdyż wydawało się, że nigdy się od niego nie uwolnię, a mimo to się nie bałem. Choć z desperacją szukałem wyjścia, cząstka mnie wierzyła, że wszystko skończy się dobrze, że człowiek, z którym mam się spotkać, zaczeka na mnie tak długo, jak będzie trzeba. Śniłem w najlepsze, kiedy do pokoju wszedł Isaak. Wciąż jeszcze zamroczony snem pomyślałem, że miałem rację, nie wpadając w panikę, gdyż Isaak rzeczywiście na mnie czekał. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie obudziłem się do końca. Dopiero kiedy usłyszałem głos Isaaka proszącego mnie, żebym nie wstawał z łóżka, otworzyłem oczy. Ponieważ w pokoju było ciemno, widziałem jedynie zarys jego postaci. Nie posłuchałem i wstałem. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie, używając imienia, które ojciec nadał mi, gdy przyszedłem na świat.

– D..., nie wstawaj. Nie ruszaj się stąd. Niedługo będzie po wszystkim.

Słyszałem żołnierzy krzyczących po angielsku i w narzeczu kiswahili.

Rozumiałem groźby i przekleństwa wypowiedane to w jednym, to w drugim języku.

– Nie bój się – powiedział Isaak. – To się zaraz skończy.

Wchodząc do pokoju, nie zamknął za sobą drzwi i na przekór temu, co mówił, wcale nie próbował mnie powstrzymać. Wyszedłem na galerię i zobaczyłem Josepha otoczonego resztką swojej armii. Szybko odszukałem wzrokiem jego ochroniarzy. Stali w przeciwnym końcu dziedzińca i prowadzili ożywioną rozmowę. Nie sprawiali wrażenia zaniepokojonych ani przygnębionych. Odwróciłem się do Isaaka; został w pokoju i wyglądało na to, że nie zamierza się z niego ruszać.

Joseph nadal miał na sobie ten sam elegancki garnitur. Wyglądał nienagannie; jedynie krawat był lekko przekrzywiony. Przyjrzałem się otaczającym go żołnierzom i uzmysłowiłem sobie, że od naszego powrotu do hotelu przybyło sporo nowych. Wśród nich rozpoznałem tego, który przemawiał pod pomnikiem. To on objął dowództwo i to właśnie chciał mi pokazać Isaak.

Żołnierz podszedł do Josepha, na co wszyscy pozostali się uciszyli. Stanął przed nim na baczność i coś do niego mówił. Choć nie słyszałem słów, domyśliłem się, że

wymienia zbrodnie popełnione przez poprzednika.

W ogóle nie przyszło mi na myśl, żeby zamknąć oczy. Nawet nie mrugnąłem, kiedy nowy dowódca podniósł rękę i strzelił Josephowi w głowę, ani się nie odwróciłem, kiedy stanął nad jego ciałem i oddał jeszcze dwa strzały w pierś. Chociaż tyle mogłem dla niego zrobić, poza tym tego właśnie nauczył mnie Isaak – patrzania.

Nie opłakiwałem Josepha, ale jego śmierć boleśnie mnie dotknęła. Ścisnąłem balustradę tak mocno, że niemal popękała mi skóra na dłoniach. Wróciłem do pokoju; Isaak siedział na łóżku i spokojnie mi się przyglądał. Było dość widno, żeby dostrzec, że płacze.

– Trzeba było to zrobić. Nie mieliśmy wyboru – stwierdził.

Uwierzyłem, ponieważ wiedziałem, że kochał Josepha.

Przesunął się, żeby zrobić mi miejsce na łóżku. Podał mi coś, co wyglądało na portfel. Przyjrzałem się z bliska; to był kenijski paszport.

– Brakuje w nim zdjęcia – powiedział. – Twoja w tym głowa, żeby po przekroczeniu granicy go uzupełnić. Jest twój.

Na pierwszej stronie widniało imię Isaaka połączone z nazwiskiem Josepha: Isaak Mabira.

– Joseph dał mi go jeszcze w stolicy. Wykupił mi bilet na samolot i załatwił wizę, ale powiedziałem, że nie chcę wyjeżdżać. Miał nadzieję, że we właściwym czasie zmienię zdanie, ale to przecież mój kraj. Kim będę, jeśli go opuszczę?

Nie sprzeczałyśmy się długo. Nie był to gorący spór. Nie podnosiliśmy głosu. Spokojnie błagałem Isaaka, żeby zmienił zdanie. Obiecywałem, że wyjadę do Ameryki, jeśli do Kenii pojedzie razem ze mną, lecz żaden wartościowy człowiek nie odstępował tak łatwo od swoich przekonań, ja zaś gotów byłem wyrzec się każdego, byle tylko się stamtąd wyrwać.

Podał mi torbę, która leżała na podłodze. W środku znalazłem notes; taki sam, jaki dostałem od niego w szpitalu.

– Weź to ze sobą. Na dnie są pieniądze. W notesie zapisałem ci wszystkie potrzebne informacje. A teraz po prostu odejdz i obiecaj, że się jeszcze spotkamy.

Wstał i wyszedł na galerię.

– Dalej nie mogę z tobą iść. Pożegnajmy się tutaj.

– Obiecuję, że wkrótce się spotkamy – powiedziałem.

Objęliśmy się i ucałowaliśmy w oba policzki. To nam jednak nie wystarczyło i ścisaliśmy się tak długo, aż rozboleły nas ręce.

Na dziedzińcu odwróciłem się i spojrzałem na galerię na piętrze, ale Isaaka już nie było. Wchodząc do pokoju, zamknął drzwi, więc nie słyszał odjeżdżającego samochodu Josepha. Rozstanie ze mną nie było najboleśniejszą stratą, jaka go tego dnia spotkała; pocieszałem się też tym, że przynajmniej ulotniłem się po cichu, nie zakłócając spokoju.

Dotarcie do granicy z Kenią zabrało mi dwa tygodnie. Pierwsze kilkaset kilometrów udało się przejechać samochodem, a dalej musiałem radzić sobie sam; szedłem pieszo, a jeśli miałem szczęście, podwoziła mnie ciężarówka wypełniona podobnymi do mnie uciekinierami. Joseph nie był odosobniony w swym zamiarze oswobodzenia ludu. Mijałem opustoszałe wioski, pozostawione przez inne wyzwolenicze armie. Ich widok towarzyszył mi przez całą drogę, nad niektórymi unosił się jeszcze dym. Kiedy znalazłem się w końcu w Nairobi, zajrzałem do notesu, który dostałem od

Isaaka. Rzeczywiście, znalazłem w nim wszystkie niezbędne informacje związane z podróżą do Ameryki: numer wizy czekającej na mnie w ambasadzie, nazwę linii lotniczych, a nawet wskazówki, jak odszukać człowieka o imieniu Henry, kiedy już będę na miejscu. Środkowe strony zawierały zapiski Isaaka przeznaczone specjalnie dla mnie. Na jednej z nich umieścił naszą listę Zbrodni Przeciwko Państwu, uzupełnioną o nowy punkt: „To Zbrodnia Przeciwko Państwu zapomnieć o tym, co się wydarzyło”. Na innej zapisał wszystkie imiona i przydomki, jakie mi nadał: Profesor, Langston, Ali, a na końcu imię i nazwisko z paszportu, odtąd nasze wspólne: Isaak Mabira. Dokonany przez niego zapis naszego życia przewyższał moje dotychczasowe nieporadne próby. Wiedział, po co to robi. Pisał z myślą o mnie. Ostatnie zdanie zanotował rano w dniu naszego rozstania. Czytałem je raz po raz przez całą drogę do Ameryki, a potem wyrwałem tę kartkę z notesu i nosiłem przy sobie wetkniętą między strony paszportu. Przeczytałem je, stojąc samotnie na jednej z ulic w Chicago, a chwilę wcześniej zacytowałem je Helen, jeszcze zanim się ze mną pożegnała, obiecując, że wróci.

Nikt nigdy nie pokocha nikogo bardziej niż my siebie.

## Podziękowania

Mam ogromny dług wdzięczności wobec moich rodziców, Hiruta i Tesfaye Mengestu; siostry, Bezawit; oraz rodziny w Etiopii, Ameryce i Francji. Moim drogim przyjaciółom kolegom i redaktorom: Markowi Binellemu, Jonathanowi Fungenowi, Jonathanowi Hickmanowi, Steve'owi Toltzowi, Julien Chatelin, Pierre'owi Scipionowi, Manuelowi Gonzalesowi, Stanislasowi Wang-Ghen, Johnowi Freemanowi, Eliahowi Affreyowi, Francisowi Geffardowi, Pervaiz Shallwani, Aamer Madhani, Julii Holmes (zdobywczyni Kanału Eriel), Jessica Lamb-Shapiro, Marceli Valdes, Shawnowi McGibboneyowi, Nam Le, Christianowi Lorentzenowi, Megan Lynch, Mih-ho Cha, Michaelowi Bronnerowi, Bhakti Shringapure i Brianowi Plazasowi – składam serdeczne podziękowanie za wsparcie, jakiego udzielali mi przez tyle lat. Pragnę podkreślić, że wiele zawdzięczam wspaniałej księżce Andrew Fuce'a *The teeth may smile but the heart does not forget*, a także błyskotliwemu esejowi Marka Cevissera *Edenvale*, oraz kolegom i koleżankom z Georgetown University, zwłaszcza Carolyn Forche, Davidowi Cewanterowi, Henry'emu Schwarzowi, Normie Tilden, Markowi McMorrisowi, Penn Szitty i Jessice Williams. Jestem również zobowiązany Patrickowi Lannanowi, Jo Chapman i całej Fundacji Lannana, jak też Janowi Vilcekowi, Maricy Vilcek i Fundacji Vilceków; Fundacji Baton Rouge Area oraz Fundacji MacArthura za pomoc okazaną w ostatnim okresie. Pracownikom Wydawnictwa Knopf, a szczególnie Caroline Bleeke i Gabrielle Brooks – dziękuję wam za wkład, jaki wnieśliście w przygotowanie tej książki. Mojemu agentowi P.J. Markowi oraz mojej redaktorce Jordan Pavlin – wasza cierpliwość, mądrość i wsparcie były nieocenione. I oczywiście, przede wszystkim, Gabrielowi, Louisowi-Selassie i Anne-Emmanuelle.